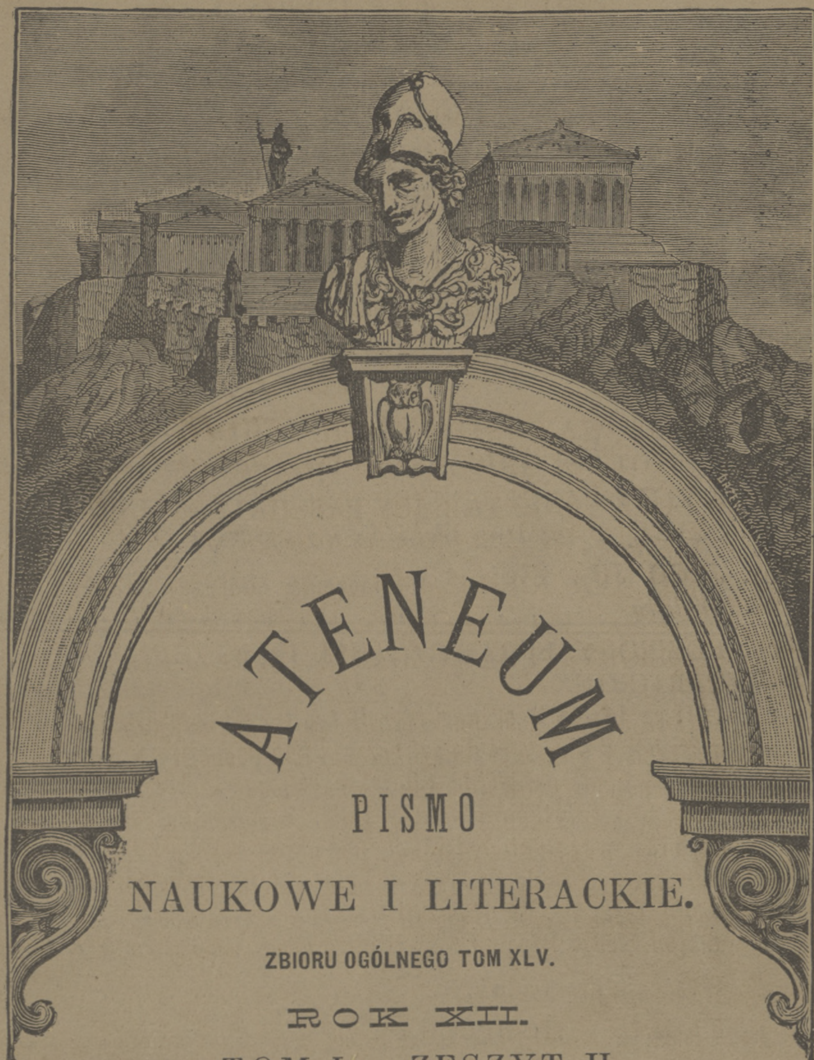


ATENEUM

PISMO

NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XLV.

ROK XII.

TOM I. — ZESZYT II.

Luty.

WARSZAWA.
Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1887.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 3 Lutego 1887 r.



DLA ŚWIĘTÉJ ZIEMI.

NOWELLA.

I.

Zatrąbiono. Sześćdziesięciu młodych ludzi, jak poruszone sprężyną maszyny, zerwało się ze swego legowiska. Legowiskiem były długie prycze zasłane siennikami, ciągnące się po obu stronach obszernéj sali koszar.

Zatrąbiono raz drugi. Kaprale wyprowadzili żołnierzy z sali na dziedziniec—dwa wyciągnięte szeregi stanęły. Przyszedł oficer, zakomenderował w prawo i dwójkami przez bramę wyprowadził oddział na wielki plac, zwany placem alarmu.

Wiara stanęła, oczy im świeciły radością, twarze ożywione, przyciszone rozmowy i szepty zdradzały niecierpliwość. Oficer z założonemi po za siebie rękami przechadzał się po przed szeregiem. Mgła okrywająca ziemię powoli rzedła, przytulała się do drzew, z drzew opadła na ziemię, przylegając do trawników i zbóż uginających się pod ciężarem rosy.

Wschód oróżowił wąski pas nieba, wydobywający się z po za szarych chmur, w górze powoli rozjaśniały się błękity. Na skłonie widnokręgu świeciła jedna tylko gwiazda poranna, promieniejąc srebrnemi blaskami. Żołnierze wpatrywali się w nią z uczuciem nieokreślonéj czci i naiwnéj wiary. Różowy pas rozszerzał się aż buchnął purpurą, purpura zmieniła się w złoto. Jasność zamajaczyła krótką chwilę i rzuciła snop białego światła na ziemię. Szmer radości przeszedł szeregi, oficer zobaczył pułkownika otoczonego sztabem, wyprostował się i donośnym głosem zakomenderował:

— Baczność!

Żołnierze stanęli jak wryci w ziemię. Powoli zbliżali się do nich pułkownik, doktór, major i adjutant batalionowy, trzymając złożony papier w ręku.

Pułkownik kazał rozstąpić się szeregom, wszedł między żołnierzy, rozmawiał z nimi pytając, czy im się służba wojskowa podobała. Doktór każdego z osobna oglądał.

Stanął przed szóstym z kolei.

Chłopak wyglądał blado, pod płowemi oczami rysowały się ciemne obwódki, wargi miał spieczone, skórę na twarzy wyciągniętą.

— Wojsko ci nie lubuje?—spytał doktór czeską polszczyzną.

— Lubuje — odpowiedział, — tylko tak jakoś dwie noce nie spałem.

— Radbyś bieżał do matusi — pomacał mu muskuły na rękach.

— Ej nie — szepnął chłopak.

— No, no, odpasiesz się na mleku, kapuście i ziemniaczkach.

Poszedł daléj, chłopak odetchnął.

Pułkownik stanął przed frontem.

— No, moje dzieci, idźcie do domu, a pamiętajcie dobrze się sprawować, żebyście mi wstydu nie robili. Żeby tu was żandarmy nie sprowadzali, bo będzie źle. A teraz bywajcie zdrowi!

— Hura! — odpowiedziała wiara.

— A gdy zawołają, nie spóźnić się ani minuty. Idźcie z Bogiem.

— Hura! — powtórzyły szeregi.

Pułkownik odszedł otoczony swym nielicznym sztabem, zostali batalionowy adjutant i służbowy oficer. Adjutant rozłożył papier, czytał imiona i nazwiska urlopowanych, pytając każdego z osobna, do któréj stacyi chce jechać koleją.

— Józef Sidor — zawołał.

— Tu — odpowiedział blady chłopak.

— Dokąd?

— Do Ropczyc.

Adjutant naznaczył. Gdy przeszedł całą listę, przemówił:

— Po oddaniu broni i mundurów w magazynie, dostaniecie laufpasy i karty na koléj.

Pożegnał oficera i szybko odszedł.

— W lewo! — zakomenderował oficer. Oddział zwrócił się w lewo.

— Marsz!—Żołnierze, jak maszyna o dwustu nogach, poruszali się miarowo.

Wrócili do koszar w chwili rozdawania śniadania.

— No, chłopcy, ostatni raz komiśna strawa przełazić wam będzie przez gardła, ostatni raz cesarskie jadło pakujecie w brzuchy —

zawołał kapral, bratając się z urlopnikami w nadziei poczęstunku przy rozstaniu.

Urlopnicy rozśmiali się głośno z wdzięczności dla pana kaprala i za jego łaskę przemawiania do nich serdecznie.

— Gdyby to ostatni raz — zrobił uwagę Józef Sidor.

— Ha, mój bratku — odparł pan kapral — gdy cię zawołają, żarty się skończą. Nie będziesz wtedy na sienniku w koszarach legiwał. Przyjdzie nieraz i w błocie się przespać i surowe końskie ścierwo zębami rwać. Tak samo rychtyk było pod Königsgrätzem.

Pan kapral zaczął szeroko opowiadać swe przygody pod Königsgrätzem, żołnierze zbierali manatki. Niecierpliwość, wewnętrzny niepokój i błyski radości malowały się na ich twarzach, zdradzały w ruchach. We drzwiach stanął manipulacyjny feldfebel.

— Sakum pak do magazynu — zawołał i wyszedł.

Wiara zarzuciła tornistry, płaszcze przewiesiła przez ramiona, karabiny w ręce.

— Wszystko? — spytał kapral.

— Wszystko.

Po odbytym przeglądzie pomaszerowano do magazynu i tam zaczęła się przemiana z żołnierzy na cywilów, a raczéj na parobków wiejskich. Zdejmowano po kolei z każdego z nich co było cesarskiego, zacząwszy od koszuli, a skończywszy na butach. Znikały mundury, a na ich miejsce okrywały plecy wojaków płócienne świty, białe i granatowe sukmany, kapelusze słomiane, czerwone rogatywki i baranie czapki.

Żołnierze patrząc na siebie żartowali i śmiali się. Śmiał się i pan kapral z panem feldfeblem, przedrwiwiając się z cywilów a najwięcéj z tych, którzy musieli wracać do domu boso.

— Dorobiłem się na cesarskiéj służbie — odezwał się Maciek, gdy mu odebrano buty, a własnych nie miał.

— Ty sobie nie wycieraj gęby cesarską służbą, rozumiesz! — krzyknął feldfebel.

— A nie mówiłem — dodał kapral — Maciek szparuj na buty.

— Z czego? — spytał cicho chłopak.

— Z tego, coś przepił. Sidor zaszparował i ma, patrz jakie? Ale Sidor nie pił.

— Sidor masz. Feldfebel rzucił Sidorowi w darze starą koszulę.

Chłopcu na koszuli nie wiele zależało i darował ją Maćkowi, na którym jego własna, odebrana z magazynu, w fantastycznych festonach wisiała.

— Bóg ci zapłać Sidor — szepnął Maciek — przynajmniéj człek nie przyjdzie jak dziad do chaty.

Z magazynu zaprowadził kapral wiarę do adjutanta, tam odebrali laufpasy, karty i już prosto pomaszerowali na dworzec kolei żelaznéj.

Na pożegnanie znaleźli się kaprale z całéj kompanii, — zaczęto pić wódkę i piwo, a palić papierosy. Braterstwo z kapralami było szczere, po każdym wypitym kuflu przybywało ochoty i serdeczności. Rygor wojskowy rozluźniał się, rozmowy stawały się głośniejsze, ruchy swobodniejsze.

Jeden z żołnierzy ujął pana kaprala za szyję i pocałował.

— Szymfowałeś boś szymfował, natłukłeś się dosyć, ale ujdzie z ciebie chłop — odezwał się wesoło.

Wiara onieśmielona zuchwałością kolegi, patrzała zdziwiona na kaprala.

Kapral otarł rękawem oślinione miejsce na twarzy i odpowiedział spokojnie.

— Moi chłopcy, służba to ci taka sakramencka, zakamieniała rzecz, że choćby człek nie chciał...

Ogólna radość i śmiechy zagłuszyły mowę kaprala, popularność jego była zdecydowaną. Wiara powtarzała sakramencka i zakamieniała, trącała się kuflami z kapralami i cieszyła się ich łaskawością.

Odgłos kolejowego dzwonka rozległ się po salach, elektryzując wiarę włożoną do bębnów i trąbek.

— Do szeregu! — zakomenderował kapral.

Wesoła gromada rozwinęła się szybko w dwa szeregi, portyer drzwi na oścież otworzył. Poprzedzeni przez kapralów, urlopnicy wymaszerowali na peron. Konduktor oddał im trzy puste wagony, wiara weszła po porządku i rozlokowała się. Kaprale żegnali ich skinieniem rąk, wiara odpowiedziała po trzykroć:

— Wiwant!

Pociąg ruszył wśród okrzyków i śpiewów, wesołych rozmów i dowcipów, na które koledzy odpowiadali kolegom lekkiemi uderzeniami w karki, na znak swego zadowolenia.

W jednym kącie wagonu siedział zamyślony Maciek, marszczył brwi i spluwał, w drugim rogu Józef Sidor.

— Maciek, i czego ślepia wytrzeszczasz i plujesz, jak gdybyś medycynę zażywał, a tyś przecie piwo pił? — zagadnął go kolega.

— Daj mu pokój, on żałuje swéj koszuli — odpowiedział za Maćka jeden z towarzyszy. — Takie miała frendzle, że chciał ci ją zawieść za chustkę Marynie.

Głośny śmiech wypełnił wagon.

Na każdéj stacyi ubywało po paru kolegów, żegnano ich żartami i głośnem — hura!

— Ropczyce! — Konduktor otworzył drzwi, wyszedł Józef Sidor, dźwigając na plecach zawiniątko.

— Serwus! — wołali za nim towarzysze. — Pokłoń się Kaśce!..

Sidor się odwrócił, uśmiechnął, kiwnął głową i zniknął w drzwiach kolejowego budynku.

Po drugiéj stronie sztachet, zasłonięty gałęziami kasztanów, zatrzymał się i patrzał na ostatnie wagony, w których życie wrzało jak w kotle. Żal jakiś i tęsknota przykuły go do miejsca. Trzy lata przepędził z kolegami, zawsze razem, trzy lata bez troski o kawałek chleba i chociaż się rwał do domu, nie mógł oczu oderwać. Patrzał i słuch wytężał, aby chwytać ostatnie wykrzykniki, zmieszane z wybuchami śmiechu.

— Gotów!... Pociąg powoli ruszył z miejsca, wagony ciężko jedne o drugie uderzały i zaczęły się wolno poruszać. Rozległ się świst lokomotywy długi, przeraźliwy, koła coraz szybciéj się obracały, wagony jedne po drugich mijały kasztany, przytłumiony turkot odbijał się echem z pobliskiego lasu, na stacyi zrobiło się pusto i smutno, żywéj nie zostało duszy. Józek poprawił zawiniątko, czapkę nasunął i poszedł, mijając miasto znanemi sobie ścieżkami w stronę gór.

Szedł szybko, myśląc o matce, Kaśce, znajomych i własném gospodarstwie.

Raptownie, jakby na komendę, przystanął i obejrzał się. Sam— obok niego nikogo. Nie ma ani kaprala, ani frajtra, nie potrzebuje iść „z nogi“, sam jeden na całym widnokręgu. Spojrzał mimowoli na ramię—nie dźwigał karabina, pomacał się po boku—nie było ładownicy... Pierwszy raz po trzech latach uczuł się wolnym, odetchnął głęboko ręce wyciągnął i wstrząsnął się, jak gdyby chciał cały militaryzm zrzucić z siebie. Przyśpieszył kroku, tęsknota w sercu jego wzrastała, rad był jak najprędzéj dostać się do wioski rodzinnéj.

Podrywało go, aby co prędzéj powitać Matusię i Kaśkę. Kaśka była dla niego dobra, odejmowała sobie od ust, ciułała i co mogła chociaż po parę grajcarów posyłała mu. On téż niósł jéj w podarunku aż za cztery papierki korali, a matusi białą chustkę na głowę. Co to będzie uciechy!...

Zwrócił się w wąską dolinę. Środkiem płynęła rzeczka, szumiąc po kamieniach i wijąc się w rozlicznych zagięciach. Po obu stronach wznosiły się góry, których szczyty pokryte świerkowemi lasy czerniały. Falujące się stoki przedstawiały różnobarwną szachownicę złotych kolorów zbóż, przetykanych ponsowemi maki, ciemnozielonych łodyg ziemniaków i pooranych ugorów. Wśród nich wiły

się wydeptane ścieżki, gubiące się w sadach śliw. Niebieskawe dymy, powoli unoszące się w górę, i szarawe płaty dachów, wyglądające z po za drzew, wskazywały siedziby ludzkie.

Józek znał całą okolicę, wiedzial i pamiętał kto w któréj chacie mieszka, do kogo każdy skrawek ziemi należy. Na końcu doliny w górze stoi chata jego matki do niéj przytyka kawał gruntu, jego dziedzictwo po ojcu.

Rzeczka przecinała drogę, obejść było niepodobna. Józek stanął nad brzegiem, przenosząc wzrok z mętnéj wody na swe błyszczące jak lustro buty. Rad był je zdjąć, a wstydził się.

— A nuż go kto zobaczy? Trzy lata chodził w butach, a teraz miałby je zdjąć....

Mimo tych rozumowań, oszczędność i zdrowy rozsądek wzięły górę, usiadł na murawie, ściągnął je, przypatrzył się im z zadowoleniem, zawinął wyżéj kolan spodnie, buty nawdział na kij i powoli stąpając, wszedł do rzeczki. Zimna woda ochłodziła go. Doznał przyjemnego uczucia, nasuwającego mu na myśl czasy jego młodości. Po téj saméj rzeczce brodził za kaczkami, chlustał wodą na Kaśkę i od niéj wzamian odbierał ten sam poczęstunek, a potém oboje wśród obopólnéj zgody suszyli się na słońcu. Wstrząsnął nogą, woda rozprysła się, krople jéj padły na trawnik i nadbrzeżne kamienie.

— Tak samo — pomyślał — jak dawniéj i poszedł daléj.

Boso było mu raźniéj, nogi wykąpane w wodzie zrobiły się czerwone i lekkie.

Słońce przechylało się na drugą połowę jasnego błękitu, powietrze przepełnione było wonią, w przestrzeni brzęk i śpiewy łączyły się przy akompaniamencie szumu rzeczki. Stanął na wyniosłości, skąd widać było całą dolinę: tłem był ciemny las, kolorytem szmaragd łąk oświecony słońcem i złoto dojrzewających zbóż. Patrzał — nie umiał odczuć piękności widoków, lecz serce jego wypełniało się tajemną radością, wspomnieniami i pragnieniem życia wśród tego słońca, zieloności, wśród tych gór, na swym kawałku ziemi.

Pomknął daléj,— rad był dostać się jak najprędzéj do rodzinnéj wioski. Pierwsze jéj chaty już widać było przyczepione do parowów, otoczone zielenią drzew. Droga zbiegała na dół, zmieniając się w stromy, waski wąwóz. Po nad nim wznosiły się łany pszenicy z jednéj strony, wypełnione promieniami słońca, z drugiéj zieleń i bławaty łączyły się z błękitem. Łagodny, południowy wietrzyk chłodził rozpaloną jego twarz i wzruszał kłosami pszenicy, które uderzając się wzajemnie, wydawały cichą, tajemniczą, pełną szeptów muzykę, ożywioną śpiewem skowronka w górze i przepiórki ukrytéj w zbożu.

Sidor stanął, słuchał i patrzał.

— Ej, to ino kłosy pszenicy się tłuką. Pszenica ziarnista i sucha, woła aby ją żąć. Czy ino moję zżęto? Wielki czas, przepiórka woła a skowronek przyśpiewuje....

Zanim doszedł do chaty, wspomnienia dziecinnych lat, wpływ przyrody i budzące się troski przemieniły go z żołnierza cesarskiego w chłopa polskiego. I już mu się więcéj na myśl nie nasuwały koszary, kapral i mustra. Gdy buty zdjął, nie maszerował już z nogi. Stawiał szerokie kroki, pochylając się naprzód, aby swobodniéj oddychać. Szedł, jak chodził jego ojciec, jak chodzą wszyscy górale, zniecierpliwiony długością drogi i roztargniony nawałem myśli.

Po za wąwozem szumiała po kamieniach ta sama rzeczka, rozlewając się w niewielki staw. U przeciwnego brzegu czernił się młyn i woda z hałasem na szczeble koła spadała.

— Serwus! — rozległ się głos zakończony śmiechem.

Józek spojrzał w stronę głosu. Nad brzegiem stał młynarz, łowiąc siecią ryby.

— Serwus! już tak prędko!—Młynarz służył w wojsku, podobno dobił się stopnia frajtra i dumnym był z tego zaszczytu. Z całéj wojskowości został mu „serwus“, używał go téż jak mógł najczęściéj.

— Serwus — powtórzył Józek i przyśpieszył kroku.

Przywitali się jako koledzy uściśnieniem rąk.

— Jak się macie? — spytał Józek wesoło.

— Chwalić Boga, pcha się biedę i już. Aleź się téż z ciebie zrobiło kawał chłopa. Chodź, spocznij se. Cóż tam na świecie słychać?.. Gospodyni! — zawołał na żonę.

Wybiegła młynarka, ocierając sobie twarz zapaską.

— Józef Sidor! a niechże cię! Tyżeś-to? anibym cię poznała. Prosty jak świéca i niczego z ciebie chłopak.

— Wojak i jeszczeby mu co brakowało—odparł z dumą młynarz.

Sidor pocałował młynarkę w rękę.

— Cóż tam na wsi? matusia — zapytał nieśmiało.

— Ha, niedaleko masz, to się dowiesz wszystkiego.

— Cóż się ma dowiedzieć—przerwała ostro mężowi młynarka.— Matka, Bogu dziękować, zdrowa, z Kaśki zrobiła się dziewka aż miło spojrzéć. Dobytek nie zdycha i tyla.

Sidor z odpowiedzi młynarza zmiarkował, że jest coś, lecz bał się rozpytywać.

— Cóż stryk? — zapytał.

— Bogacz i już—odpowiedziała krótko i urwała.—Pijże mleko, a tu masz chleb.

— Co tam wojakowi mleko — wódka....

— On zaraz wódka — pochwyciła gospodyni.

Młynarz zamilkł zawstydzony, a Józek dziwił się jego pokorze i również się nie odzywał. Wtedy młynarka rozpuściła język jak pytel, i dalejże opowiadać historyą wioski.

— Wiesz, Kubowskiemu się zmarło, majątek zapisał żonie. Kobiéta nie młoda, a chłopa do gospodarstwa potrzeba. Ale to pani: sześć sztuk bydła, garnkami co tydzień masło wozi do miasta. A stroi ci się: pończochy, trzewiki, haftowane chustki, spódnice w kwiaty, koszule długie i Bóg wié nie co. Pono sobie parasolkę zamówiła z Dembicy.

Józek pił mleko, jadł chleb, słuchał, a niepokoił się, co mogło stać się w domu, o czém młynarka zabroniła mówić mężowi.

Gdy gospodyni przestała, aby chwilę odpocząć, powstał, pożegnał się i poszedł. Młynarz wracając do nastawionéj sieci odprowadził go.

— Józek w niedzielę w Tatarczonce przypomnimy sobie wojackie czasy....

— Czegóż się to dowiem, gdy do chaty zajdę? — zapytał cicho chłopak.

— Czego? wszystkiego, co ci potrzeba.

Chłopak popatrzał smutno na młynarza, powiedział: „serwus“, podał mu rękę i poszedł.

Z drogi skręcił na znaną ścieżkę, wdział buty i przez łąki pańskie dostał się w sam środek wsi. Przyśpieszał kroku i stawał, zamyślając się. Rad był być już w chacie, cieszyć się matką i Kaśką, a bał się.

Słońce się zniżało, szmaragdowe łąki kąpały się w purpurze, wierzby i osiki rosnące nad rzeczką stroiły się w złoto. Jedne świerki stały czarne i ponure, odpychając szmaragd łąk, błękity nieba i purpurę słońca.

Szedł coraz prędzéj. Krople potu ściekały mu po twarzy, nie zważał na nie; ptaki świergotały wesoło żegnając słońce, nie słyszał ich, — smutne przeczucia świdrowały mu mózg i tłoczyły serce.

— Józek wrócił! Sidor wrócił! — wołały dzieci, pędząc bydło z pastwiska. — Józek! wojak! — rozległo się dokoła.

Jeden z gromady poleciał naprzód, dopadając do chaty Sidorowéj krzyknął:

— Józek wrócił!.. jest pod chatą Klisia.

— Wrócił! idzie! — wołała uradowana i wylękniona kobiéta.

Kaśka wybiegła z izby i puściła się pędem, lecz się zatrzymała, czekając na gospodynią.

— Chodź, chodź, Kaśka, chłopca trzeba powitać — ucieszy się.

Kaśka, blada ze wzruszenia, szła obok gospodyni, nogi pod nią uginały się, oddech w piersi zapierał. Postępowała wolno, chociażby rada ze skóry wyskoczyć.

Zaledwo uszły kilkadziesiąt kroków, zobaczyły go.

Schodził ze stoku wzgórza otoczony dziećmi. Spotrzegł matkę i Kaśkę, przyśpieszył kroku, kobiety biegły ku niemu.

— Józek, nijakiéj wiadomości nie dałeś, a tobym przyleciała naprzeciwko do miasta. To ci się z niego zrobił chłop jak trzcina.— Spojrzała mu w twarz. — Przybiedniałeś moje dziecko—ujęła go za szyję i ucałowała.

— Jak się macie?—mówił wzruszony chłopak,—Kaśka, jak się masz?..

Kaśka pokraśniała i odpowiedziała cicho lecz serdecznie.

— Tak ta; a wyglądamy cię, a czekamy niemal od czterech niedzieli.

— Trzy lata, całe trzy lata nie widziały cię moję oczy, zawodziła matka. Taki kawał i jak zleciało. Poszedłeś chudziak a wracasz chłop, aż miło popatrzyć. Kaśka, prawda?

Kaśka spuściła oczy.

— Ale i z Kaśki dziéwucha,—odparł Józek wesoło.

— Dajno zawiniątko, poniosę choć ten kawałeczek, — przerwała mu dziewczyna.

— Weź Kaśka, weź, biedaczek nadźwigał się dosyć.

Kaśka ściągnęła tobołek z pleców chłopaka, zarzuciła go na swoje i razem szli drogą. Z chat wybiegali ludzie, gospodynie stawały na progach.

Józek gospodarzy witał „serwus“ a kobiety pochwalonym Chrystusem. Matka czuła się dumną z syna, Kaśka szczęśliwa i wzruszona.

Weszli do chaty.

— Spocznijże se, mój panie wojaku,—zapraszała matka, ścierając zapaską ławkę.—Kaśka, nie ma co, ino złap i zarznij czubatą i tak ci jaj nie niesie.

— Daruj Kaśka życie czubatéj, a mnie zgotujcie zaciérkę z mlékiem. Mam jakoś smak na zacierkę, trzy lata nie miałem jéj w gębie.

— A to i lepiéj.

Kaśka dorzuciła wiórów na ogień, matka usiadła przy synu i gładziła go ręką po twarzy.

— No cóż, no cóż moje dziecko, jakże ci tam było w tém wielkiem mieście i jakże ci podobała wojaczka?

— A u was co słychać?

— U nas stara biéda,—podchwyciła Kaśka i z całych sił dmuchnęła na ogień, płomień się wydobył, rzucając złotawe światło na izbę.

— Zaciérka będzie migiem,—dodała rada, że jéj się udało odwrócić ciekawość Józka.

Chłopak pociągnął ku sobie zawiniątko i zaczął je powoli rozwijać. Matka patrzała ciekawie, Kaśka rwąc zaciérkę, rzucała niespokojne spojrzenia.

Naprzód wyjął białą z haftowanym rogiem chustkę i podał ją matce, z papiera wydobył korale i oddał Kaśce.

— Pamiętałyście o mnie obie, to i ja téż o was pamiętałem.

— Patrzajcie,—zawołała matka—jaki to dobry chłopak jaki ci to syn, Boże, Boże, nie przehulał z wojakami, nie przepił ze starszyzną, ino ciułał, aby udarować matkę i dziéwuchę.

Oglądała chustkę.

— Kaśka a przymierzże korale.

Kaśka wpatrywała się w korale, lecz przymierzyć ich jakoś się wstydziła. Stara wzięła korale, zawdziała jéj na szyję i zawiązała.

— A toś jéj dogodził. Korale ją lubują; patrzno, jak ci zczerwieniały na jéj szyi; a ona?

Józef spojrzał i rozśmiał się, rozśmiała się dziewczyna.

— Wiedziałeś ty, czém jéj dogodzić, a i starą uradowałeś—mój Boże?

Kaśka w koralach na szyi wsypała zaciérkę do wrzącego mléka, wrzuciła szczyptę soli, zamieszała raz i drugi, dmuchnęła na ogień, garnek odstawiła, war wylała do miski i postawiła ją na stole, a sama poskoczyła po blaszane łyżki.

Przy wieczerzy obie kobiety wyścigały się w opowiadaniu zaszłych wypadków w wiosce.

Józek znał je potrosze od młynarki, lecz mimo to słuchał z zajęciem i przyjemnością. Dobrze mu było wśród swoich, ciepło i serdecznie. Nie słyszał trąbki wygłaszającéj mu rozkazy, nikogo się nie bał, i na nikogo nie oglądał. Śmiał się głośno i mówił głośno, a tymczasem noc zapanowała głucha.

— Józek, dziecko moje, idź już spać, koguty północ wypiały. W stodole w sąsieku jest siano, pachnie jak ruta, połóż się tam i prześpij.

Usłuchał, pocałował matkę w rękę, do Kaśki się zwrócił, i powiedział serdecznie.

— Dobra noc ci, Kasiu.

— Dobra noc, odpowiedziała cicho dziewczyna...

— O Boże, Boże, a to chłopak mój gada ci jak miastowy kawaler; a niechże cię—zawołała wesoło matka.—No idź, idź, jutro gdy zaciérkę uwarzę, zbudzę cię sama.

Chłopak poszedł, matka z Kaśką patrzały za nim, póki nie zniknął we wrotach stodoły.

— Kaśka,—szepnęła gospodyni,—ale co będzie jutro, jak pójdzie w pole i zajrzy do obory. Co będzie, mów, bo mi głowa pęka.

— Cóż ma być? Cóż to przepiliście czy co? Musi się zgodzić, abo niech znajdzie radę.

— Mnie żal chłopaka i cierpnę ze strachu.

— Będziemy się bronić.

Ułożyła starę w łóżku, przykryła pierzyną i wyszła z izby.

Ciemna noc, ciepła i cicha otulała ziemię, gwiazdy migotały, mleczna droga blado świeciła. Dziewczyna nie wiedziała, po co wyszła, co ją wyprowadziło z izby. Jakiś niepokój ogarniał ją, a serce się radowało. Obejrzała się dokoła i powoli, aby nie zrobić żadnego szelestu, podeszła do stodoły, stanęła we wrotach i słuchała. Miarowe chrapanie rozlegało się.

— Dobranoc ci, Kasiu,—szepnęła i uśmiechnęła się.—A może i lepiéj, że jesteś biedakiem. Gdybyś był bogacz, możebyś i nie spojrzał na mnie. Ja się pracy nie boję, choćby najcięższéj, bylebyś ty przy mnie był.

Zawróciła ku chacie, lecz nie miała ochoty wejść. Błąkała się po nocy, kąpiąc nogi w rosie. Radość tajemna wypełniała jéj serce i sen odpędzała.

— Dobranoc ci, Kasiu,—powtórzyła patrząc w niebo. Gwiazdy mrugały na nią wkoło, mleczna droga blado świeciła. Nic nie przerywało szeptu jéj myśli i radości. Zaledwo rosa szeleściała strącana z traw stopami dziewczyny.

— Prosiak się zabiera—myślała,—podpasę go na ziemniakach i na odrobinie jęczmienia. Żeby to chociaż wziąć za niego ze trzydzieści papiérków. Podatek by się zapłacił i jeszcze parę grajcarów zostałoby przecie... Bała się dokończyć. Zaplotła ręce, spojrzała w niebo. Gwiazdy się w nią wpatrywały mrugając wesoło, mleczna droga blado świeciła, cisza ją obejmowała, łagodzona szmerem rosy strącanéj z traw jéj stopami. Podeszła do chlewka, uderzając ręką we drzwi. Prosiak zbudzony krząknął.

— Jest, — szepnęła i uspokoiła się. — Muszę ci go dobrze wypaść,—zdecydowała.—Co tam podatek fracha, ale wesele... rozśmiała się. Chłopak jak świeca, a jaki ci grzeczny, przychlebny.

— Dobranoc ci, Kasiu,—powtórzyła z rozkoszą i upojeniem.—Ty musisz być moim,—szepnęła z mocą—bośty mi przeznaczony przez Boga i ludzi.—Odetchnęła głęboko, jak gdyby jéj ciężar spadł z serca, i poważna, zamyślona, poszła do obórki, położyła się na posłaniu ze słomy, obok krowy i zasnęła. Krowa ją obwąchała, polizała ostrym językiem, przeżuwając poważnie zjedzoną trawę przy doju.

II.

Na samém zaraniu zdawało się Józkowi, że słyszy pobudkę i głos kaprala. Zerwał się, przetarł oczy, spojrzał dokoła. Przez uchylone drzwi stodółki wciskało się blade światło pierwszych brzasków dnia. Zobaczył siano obok siebie, nad głową krokwie i słomianą strzechę. Ocucił się, przypomniał sobie, że jest we własnéj stodole, przeciągnął się i padł na siano. Oczy zamrużył, lecz nie mógł usnąć. Zagadkowe wyrazy młynarza i wczorajszy niepokój matki, olbrzymiały w jego wyobraźni. Nie mógł uleżéć. Cisza przerywana świergotem ptaków więcéj go jeszcze rozdrażniała. Zsunął się z siana na boisko, poszedł do studni, wyciągnął wiadro wody, wylał je do koryta, umył się, twarz otarł chustką i rzeźwiejszy, nie zaglądając do izby, poszedł w pole.

Widziała go Kaśka przechodzącego, zadygotała ze strachu, lecz biorąc na odwagę powiedziała sobie.

— Co ma być, niech się stanie—i zabrała się do dojenia krowy.

Józek minął wrótka, skręcając w stronę swych pól. W dolinach zaległa mgła, w górze widniało niebo jasne i przezroczyste. Księżyc podobny do białéj chmurki tonął, rozpływając się w błękitach. Słońce bez promieni jak kula ognista płynęło po szafirach, mknąc w górę. Mgła bielała, lekki, ledwo uczuty wiatr spychał ją w parowy, rozdzierając na szmaty.

Józek się radował, widząc, jak słonko i wiatr spychają mgły z jego pola, aby je lepiéj mógł ujrzéć.

Z przeciwległego wzgórza, z zabudowań Sobka Sidora, wynurzyła się gromadka ludzi z gospodynią na czele, trzymając sierpy w rękach.

Józek patrzał ciekawie. Gromadka zwróciła wprost na jego grunta, rozłożyła się pod jego pszenicą i żąć zaczęła.

Chłopcu krew uderzyła do głowy, dusiło go w gardle, pięście ściskał, nie mógł wydobyć głosu.

— To moje,—szeptał,—moje, nie dam...

Jakaś siła popychała go, zlatywał z góry, że aż ziemia dudniała.

— To moje,—wrzasnął,—rabusie, złodzieje, precz!—pochwycił kamień.—Precz!—podniósł rękę w górę. Kobiety z krzykiem zaczęły uciekać i nie zatrzymały się aż na granicy.

Sobkowa ujęła się pod boki i odpowiedziała.

— Ten będzie zbierał, kto siał.

— To nie siéj na cudzém,—wrzasnął Józek.

W téj chwili stary Sobek wyjeżdżał parą koni i pługiem z za wrót i słyszał odpowiedź chłopaka.

— Ja ci dam,—krzyknął—kamieniami ludzi zabijać. Lećcie po wójta i po żandarmów. Wrócisz ty, zkąd przyszedłeś, ale cię żandarmi zaprowadzą. Kto zapłacił w urzędzie, to tego jest,—rozumiész...

— Ja tu pan na swoich śmieciach. Mnie nie zapłaciłeś, ja nie zezwalałem.

— Nie zezwalałeś, ale byś zezwolił na to, żeby cię jak psa z chałupy wygnali, gdybym się nie ulitował. Nie zezwoliłeś ty, ale zezwolił wójt, rada i matusia twoja. Hanka, biegnij po wójta i radę, niech mi z nim porządek zrobią.

Jedna z kobiét oderwała się od gromadki i pobiegła drogą.

Józek stał w miejscu jak wryty, patrząc na starego Sobka i zbite w gromadkę kobiéty. Kamień mu wypadł z rąk, odwrócił się, głowę pochylił na piersi i powoli szedł pod górę. Dolatywał go śmiech kobiet, i żarty starego Sobka. Krew w nim wrzała, przyśpieszał kroku i gdy dostał się na równinę biegł, bez upamiętania aż zdyszany rozszalały z bólu i gniewu wpadł do izby.

— Oddajcie mi ojcowiznę,—krzyknął ochrypłym głosem, przyskoczył do matki i pochwyciłby ją za gardło, gdyby nie Kaśka.

Kaśka jednym skokiem stanęła między nim, a matką i odepchnęła go tak, że się potoczył i padł na ławę.

Zerwał się i nie śmiejąc rzucać się na matkę i Kaśkę, zaczął ubranie na sobie targać i włosy z głowy drzéć. Stara złożyła ręce jak do modlitwy i szeptała.

— Jezusie Nazereński, ulitujże się nademną sierotą.

Kaśka odważniejsza krzyknęła.

— Wściekasz się, a sam nie wiesz czego.

— Czego? wrzasnął.—Zrobiłyście ze mnie dziada, zatraciły ojcowiznę i gdzie się teraz podzieję?... rozpłakał się.

— Dziecko moje jedyne,—zaczęła stara żałosnym tonem,—a czemuż to twój ojciec wziął z Banku pieniądze i nie oddawał ich. Kary rosły, procenta rosły i gdy mu się zmarło, z czegóż to ja biedna wdowa miałam płacić? z czego? zalała się łzami. A czym to jadła abo piła, abo się stroiła? Obieśmy z Kaśką palice pourabiały, nogi zachodziły, aby uratować te dwie morgi, które zostały i to obejście co jest.

Józek rozpaczał, rwał włosy na głowie i wydawał dzikie głosy. Kaśka i matka truchlały.

Kury słysząc krzyk w chacie, zbiegły się jedna po drugiéj, postawały w otwartych oknach i słuchały.

Nadeszła Joskowa.

— Józek, — odezwała się, — czy tobie się zdaje, że targaniem włosów wytargasz swój grunt? Jakiś ty głupi...

— Stul pysk,—wrzasnął chłopak, przyskakując do okna.

Kobiety przestraszone cofnęły się.

— Nie stulę,—krzyknęła żydówka.—A ty, żeś u żołnierzy służył, to myślisz, że ci wolno na ludzi szymfować i że cię się tu kto zlęknie. Żebyś miał rozum, a nie był głupi, tobyś nie ryczał jak byk, nie targał ze łba włosów, a pieniędzy szukał. Chodźcie matki, warto to z głupim się wdawać.

Kumy dziwując się odwadze żydówki i jéj rozumowi, poszły za nią.

Joskowa, propinatorka z pobliskiéj karczmy, właścicielka sześciu morgów gruntu i pięciorga dzieci, córka piekarza z Wielopola, chodząca w jedwabnéj sukni w szabas, miała prawo być obrażona na Józka za brak dla niéj szacunku.

Przemowa żydówki podziałała na rozpacz chłopaka. Zmęczony siadł na ławie, głowę zwiesił, sapał, a łzy jak groch ściekały mu po twarzy.

Kaśka nie mogła dłużéj wytrzymać, zbliżyła się, przytuliła jego głowę do piersi, fartuchem obcierała mu twarz z łez i mówiła cicho.

— Nie bój się, nie; co ojciec stracił, to syn odrobi.

— Czém?—odezwał się żałośnie,—temi dziesięcioma palicami?

— Cicho,—krzyknęła, nabierając odwagi.—A dwie morgi gruntu, krowa, jałówka, wieprzek co się pasie—to nic. Zbierze się przecie coś z pola, tyś młody, zdrów i dasz sobie radę.

— Ale straconego nie odbiję. A jaka ci pszenica złocista, a jaka kapusta!

I znowu mu ból i żal ścisnął serce i wytoczył z oczu potok łez.

— Cicho, cicho: straconego nie odbija się żalami,—pocieszała Kaśka.—Ino się weźmy rzetelnie do roboty, a zobaczysz. Matusiu, zwróciła się do gospodyni—żyto na garściach nie związane, słonko rosę wypiło, na odwieczerz Kliś przyjedzie z furą.

— Oj śpieszmy się, moja Kasiu.—I zaczęła się krzątać po izbie, szukać sierpa, chustkę na głowie wiązać. Kaśka wylała zaciérkę na miskę, wyjęła z łyżnika drewnianą łyżkę, podając Józkowi.

— Jak se poisz, zajrzyj do nas. Tuż będziemy przy Banasiowéj drodze.

— Pomożesz nam wiązać?—spytała go stara.

— Przyjdź, przyjdź—prosiła Kaśka.

Józek ponury i milczący czekał, póki nie wyszły, i dopiero wtedy zabrał się do jadła. Kluski i mleko gorzkie mu były; głowę oparł na ręku, jadł powoli i długo. Zaledwo do połowy miski dosięgnął, łyżkę położył, oparł się plecami o stół, nogi wysunął, ręce mu zwisły, głowa opadła na piersi i dumał. Serce ściskał żal, gniew wy-

buchał, wstrząsał nim nerwowo i cichł powoli, ustępując miejsca żalowi i rozrzewnieniu.

— Na dziada wyszedłem, na dziada—powtarzał.

Nie umiał inaczéj oznaczyć swego żalu za straconym kawałkiem ziemi.

Zmęczony zamknął oczy. Na ciemném tle nocy przesuwały się w jego umyśle zagony pszenicy o złotych kłosach i wielkie głowy kapusty; owies poruszany wiatrem szeleściał, drżał i kołysał się, jak gdyby go witać chciał. Zbite w gromadkę kobiéty śmiały się z niego. Śmiech ten palił mu serce, szarpał nerwy. Zerwał się, schwycił się za włosy i znowu usiadł. Łzy świeciły w oczach, tęsknota brała go pod swe panowanie. Nieznane mu dotąd uczucie rodziło się w głębi jego piersi. Czuł, że zaczyna kochać utracony kawałek ziemi. Z miłością wzrastała gwałtowna, niczém niepohamowa chęć zdobycia go.

— Muszę go mieć,—szepnął,—muszę go mieć,—zawołał i uderzył pięścią w stół.—Muszę, choćbym starego udusił, zagrodę jego spalił... I cóż? jest baba, są dzieci.

— Muszę,—szepnął z mocą,—choćbym miał sobie palice pourabiać, nogi uchodzić, muszę.—Wstrząsnął ręką.

Pocieszony tém postanowieniem, pochwycił czapkę, nakrył nią głowę i wyszedł. Zajrzał do obórki, była pusta; przez zrobiony otwór we drzwiach chléwka przypatrzył się wieprzakowi, spojrzał na nawóz, chatę, stodołę, drzewo ułożone w stértę, popatrzał na kury rozgrzebujące piasek, kaczki żerujące w gnojówce i sześcioro gęsi spacerujących poważnie z wyciągniętemi szyjami.

— Jest czém zacząć,—zdecydował, i jakby żałując straconego czasu, ruszył żywo na Banasiową drogę, wijącą się jak złota wstęga, wśród kłosów zboża i zagonów ziemniaków.

— Jesteś, mój chłopcze,—zawołała matka—to i dobrze. Wiążże snopy, a my ci garście będziemy nakładać.

Józek nic nie odpowiedział, pochwycił za powrósło pierwszego snopa, związał snopek postawił, ogarnął go i poszedł do drugiego.

— Toś ty, bez te trzy lata nic se nie zapomniał,—mówiła z przymileniem Kaśka.—Patrzajcie matusiu, jaki ci to snop, aż miło go w garść wziąść. Ej, ej Józek prześcigniesz ty wszystkich parobków. Do gumniskiego dworu wołali w niedzielę przed kościołem na jutro do kośby. Idą Madéj, Purchla i Gawlik...

— Jest w domu kosa?—przerwał Józek.

— A zkądby się wzięła? Gospodarz coś na dwa miesiące przed śmiercią, zastawili u żyda—dokończyła cicho Kaśka.

— Nakładajcie chyżo,—zawołał.

Matka z Kaśką składały snopy, on je wiązał. Robota szła ochoczo i szybko. Józek zdejmował czapkę, obcierał chustką pot z czoła, a wiązał i wiązał. Zaledwo mu Kaśka nastarczyć mogła. Matka zmęczona ustała i pod pozorem gotowania obiadu poszła do chaty.

Zostali sami. Józek milczał, Kaśka nie śmiała pierwsza przemówić. Przed samém południem ostatni snopek związano i zmęczony Józek siadł na nim, Kaśka obok niego na drugim.

— Będzie trzy kopy?—spytał się.

— Będzie z półtrzeciéj, odpowiedziała.

— Snopy wielkie.

— Wsypie się do sąsieka pięć korcy. Wystarczy na chléb do nowego.

Zamilkli. Józek patrzał na zaprzepaszczone swoje pole, ciągnące się długim pasem ku górze; Kaśka na Józka, jego bladą twarz i niebieskie oczy.

— Niby jaki panicz, — myślała, — taki ci biały i taki delikatny. Dobranoc ci, Kasiu—powtórzyła w duchu, i dużoby dała, gdyby do niéj chociaż raz jeszcze tak przemówił.

— Kasiu,—zaczął Józek cicho.

Kasia zadrżała i pokraśniała.

— Wiele się twoich pieniędzy zostało?

— Moich?... nie wiele, mój Józku.

— I te zmarniliście,—odezwał się z wymówką.

— Jakże było nie zmarnić,—odpowiedziala żałośnie,—kiéj ostatnią krowinę wyciągali za podatek. Abo jak przyszło te raty płacić do banku, a gospodarz zaczął kląć, toby się z pod żebra ostatni grosz wydarło i oddało. Tatusiowie twoi przygarnęli sierotę do siebie, sąd pieniądze oddał, i jak tu nie dać, kiéj wołają, krzyczą i pomstują. Dawałam na podatek, dawałam na raty, ale na wódkę zawzięłam się i nie dałam. Powiedziałam, że wybrali wszystko i już.

— Dużo zostało?—spytał chciwie chłopak.

— Ośm dziesiątek.

— Tylko?

— To i tak wiele. A żebyś wiedział, com się nie naszamotała, nie napłakała. Raz to ci mnie tak zdzielili pięścią w kark, żem padła na ziemię, krew mnie zalała, myślałam, że nie doczekam bożego dnia. Alem nie dala. Myślałam, że jak wrócisz, to będą dla ciebie.

Józek zamyślony nic nie odpowiedział, patrzał na swe pole ciągnące się długim pasem ku górze, a Kaśka patrzała na niego.

Dziewczyna nie mogła znieść długiego milczenia, coś ją podrywało i odezwała się znowu.

— Wieczorem, gdy gospodyni położą się spać, oddam ci je. Trzeba będzie jakie bydlątko kupić na zimę, może parę ciołków, to i zarobek będzie inny. A cóż my dwie głupie, mogłyżmy to dać sobie jaką radę?

Józek przyjął ofiarę w milczeniu. Był wzruszony lecz nie śmiał dziękować i wstyd mu było rozczulać się po tylko co minionéj rozpaczy...

— Jutro, mówisz, kośba we dworze,—zapytał.

— I cztery szóstek jak nic bez dzień zarobisz.

— A to trzeba lecieć do miasta po kosę.

— Po co do miasta. Mordko na Kamieńcu ma cosik aż dziesięć kos, wybierzesz jednę, poklepiesz, grabki są w komorze, przymocujesz i jutro staniesz na pańskim łanie.

Powstała, zerwał się i Józek. Chłopak szedł naprzód, dziewczyna za nim.

— Nie frasuj się, mój Józku,—mówiła.—Młody jesteś, do roboty ochotny, jest się na czém wesprzeć. Dorobisz się i ojcowiznę wykupisz.

To samo myślał Józek, lecz po tak wielkiéj i głośnéj rozpaczy nie chciał się do tego przyznać. Żal jego był jeszcze zbyt świeży, strata wielka i ciężka.

Słońce białe, palące, mknęło w górę, wiatr się skrył w lesie, ptaki umilkły, muchy tylko i bąki brząkały rozkoszując się promieniami słońca z upałem. Chłopak szedł żywo, dziewczyna biegła za nim. Stanęli na szczycie wzgórza. Dębowy krzyż wyciągnął ramiona, przy nim na straży stał ciemny świerk. Zmęczony chłopak oparł się plecami o drzewo, dziewczyna zatrzymała się opodal niego. Przed ich wzrokiem na przeciwległéj górze rozciągał się zbity w ciemno-zieloną masę liściasty las, otoczony niebieskawą gazą wilgotnego powietrza. Józek widział tylko długi ciągnący się w górę pas zabranéj mu ojcowizny, Kaśka tylko Józka.

— Pójdę do Mordka po kosę,—odezwał się.

— A masz pieniądze?—spytała go Kaśka.—Żyd nie borguje.

— Mam,—odpowiedział i poszedł. Dziewczyna została, patrząc za nim.

— Wlubiły się w ciebie moje oczy,—szepnęła—i gdybyś ty nie był moim?... Dreszcz ją przeszedł. Dobranoc ci, Kasiu, powiedziała półgłosem i rozśmiała się głośno, serdecznie, że aż echo z przyległego lasu odpowiedziało jéj. Przelękła się w wobec Józka swéj wesołości i uciekła ścieżkami do chaty.

— Cóż Józek?—pytała ją stara.

— Musi przyjąć, co Bóg dał. Jutro idzie do dworu kosić.

— Chłopak do rany przyłóż,—choć mu ojciec ciężką krzywdę zrobił.

— Wié ci on, że głową muru nie przebije. I cóż ma robić?

— Inny by wrzeszczał, pomstował i pił.

— Ale nie Józek,—odparła z dumą Kaśka i wyszła ze skopkiem doić krowę.

Józek wrócił, zjadł obiad, kosę wyklepał, kosisko przyprawił, rączkę wystrugał i dopasował, grabki założył, drutem je zmocował i na próbę jak kosa chodzi, skosił ćwierć morgi matczynéj pszenicy.

— Pokosy, jakbyś je z pod sierpa ręką układał, leżą gładziutkie i równe,—pochlebiała mu matka.

Chłopak na pochwały matki nie odpowiadał. Kosę schował do komory i gdy Kliś z Kaśką przywieźli żyto, układał je w sąsieku stodoły.

Wieczorem, o samym zachodzie słońca wymknął się z obejścia, obejrzał się, czy go kto nie widzi, zbiegł szybko na dół, przypadł do własnego zagona i pełen żalu i tęsknoty rzucił się na ziemię. Obejmował ją rękami, tulił się do niéj

— Wydarto mi ciebie,—szeptał,—zagubiono, przepito. Ale cię odbiorę, odpracuję, choćbym miał paść i zmarniéć.

Przysięgi uspokoiły go nieco. Oparł głowę na łokciu i zaczął plany układać, liczyć, oszczędzać. Dziesiątki zmieniały się w stówki. Stówka jedna po drugiéj przyrastały i suma potrzebna do wykupna jakby z pod ziemi rosła i urosła. Skowronek się wyrwał z roli, śpiewał i leciał w górę, póki nie zniknął w błękitach. Świerszcz w trawie ukryty zaczął świerszczyć i weselić się, przepiórka, zawołała „pójdźcie żąć“ i zamilkła, wróble na gałązkach wierzbiny zaświergotały i przytulone do gałązek zasnęły, słońce czerwone i duże jak rozpalona kula utonęło w fijoletowém morzu. Nastała cisza przerywana krótkim urywanym świstem świerszcza, szumem rzeki w dolinie i rżeniem koni pasących się na błoniu. Parobek na wygonie zagwizdał, dziewczyna niosąc wodę ze studni, zaśpiewała. Józek się zerwał, nie mogąc znieść samotności przerywanéj wesołością ludzką. Patrzał na długi łan swéj ojcowizny ginący w mroku i znowu żal ścisnął mu serce, schwycił go za gardło a gniew i chęć zemsty paliły w nim krew. Podbiegł ku chacie Sobka, lecz zatrzymał się.

— I cóż-że go spalę — pomyślał — czy bez to odbiorę grunt? Spalę dziś, a jutro mnie wezmą.

Zawrócił do domu. Szedł obok zasadzonych ziemniaków. Wysokie, bujne krzaki, zbite w ciemną masę, stały jak mur.

— Moje ziemniaczki, nie ja was kopać będę—szepnął żałośnie. Schylił się, poderwał krzak i ręką szukał w ciemnościach.

— Sześć, ośm, dziesięć, dwanaście — liczył. — Dwanaście pod jednym krzakiem! — zawołał i wściekłość go opanowała. Święta ziemia rodzi dla tego cygana, dla tego zbója, a ja na łyżkę strawy muszę ciężko pracować. Był oburzony na ojca, matkę, Kaśkę, świat cały i sprawiedliwość ludzką. Gdyby się nie bał, spaliłby całą wieś, a gdyby miał tyle sił, wymordowałby wszystkich ludzi.

Szedł pod górę do chaty, złość i wściekłość dodawały mu sił.

— Józek — usłyszał blisko siebie szept i stanął.

Kaśka zbliżyła się do niego.

— Józek! to ty! Czekałyśmy z wieczerzą i nie przyszedłeś?

Chłopak chciał iść daléj, zatrzymała go.

— Czekaj, są tu te ośm dziesiątek, gospodyni śpią, wyjęłam je ze skrzynki; masz. — Wzruszona i zawstydzona wsunęła mu je w rękę. Pieniądze zelektryzowały chłopaka, ściskał je mocno.

— Kaśka — szepnął — klnę się na wszystko, że ci je oddam.

— Ja nie chcę, żebyś mi oddawał — zawołała i uciekła. Łkanie wydobywające się z jéj piersi chciała zagłuszyć odgłosem własnych nóg.

— I czego ona ucieka, głupia — mówił do siebie, lecz jéj nie przyzywał i nie gonił.

Sierp księżyca poprzedzony złotawą łuną wychylił się z południa. Światło jego czerwone nie rzucało promieni, na szarém niebie gwiazdy blado świeciły, wiatr zachodni gorący zrywał się i milkł, ani jedna kropla rosy na spieczoną ziemię nie spadła. Józek usiadł na murawie i liczył pieniądze. Każdą dziesiątkę oglądał przy księżycu, gładził na kolanie, odkładał, potém razem je przeliczył, schował do kieszeni i poszedł do domu.

Przez drzwi obórki patrzała na niego Kaśka i widziała, jak się zapędził do chaty, lecz w połowie drogi zawrócił; potém popatrzał na obórkę, podszedł pod same drzwi, postał chwilę i prosto skierował się do stodoły.

Dziewczyna odetchnęła i uspokojona położyła się spać, rozważając, co Józek z jéj pieniędzmi zrobi.

III.

Cały tydzień chodził z kosą do dworu kosić jęczmień i pszenicę. Kaśka w dwojakach przynosiła mu obiad na pole. Wieczorami klepał kosę, naciągał druty na grabki i kładł się wcześnie. Wszystkie go stawy bolały. Zdawało mu się, że nazajutrz rąk nie podniesie w górę, lecz o świtaniu zrywał się, brał kosę na ramię i odchodził.

Taka zawziętość w nim była. Gdy się rozmachał, ból się rozchodził po kościach, ręce przyzwyczajały się do kosy. Schudł, zczerniał od wiatru i słońca, zostały mu tylko oczy duże, świecące; mimo to był zdrów, choć smutny i milczący.

Kobiety, jak kobiety, gwarzyły w chacie; gdy Józek wchodził, milkły i smutniały.

Nocami, gdy księżyc świecił, zbiegał na ojcowiznę patrzéć czy jest, jak była, czy mu jéj nie rozszarpali i nie zagubili. Długi, wązki łan ciągnął się w górę, ginąc w cieniach nocy.

— Musisz ty do mnie wrócić—powtarzał. Wtedy serce mu biło, coś grało mu w piersiach, ręce się trzęsły, miłość do kawałka ziemi i namiętność posiadania go szarpały nim.

Na Bartłomieja obębniono wielki jarmark w Dębicy.

Józek miał zarobionych piętnaście papierków od kośby, dołożył je do ośmdziesięciu wziętych od Kaśki i świtaniem, nie mówiąc nic nikomu, poszedł.

— I po co? — pytała matka Kaśki.

— On ta wie lepiéj — odpowiedziała.

— Coś go urzekło, ani gęby nie otworzy, chodzi jakby zamroczony.

— Urzekły go ośm morgów ojcowizny. Nocami lata na zagon.

— Widziałaś? Słyszałaś?...

— Com nie miała widziéć. Śpię ci w obórce, burek na podwórzu zaszczeka a potém zaskomli, zrywam się, patrzę. Józek wyłazi ze stodoły, ogląda się i za bramę. Ciekawość mnie zdjęła gdzie on leci. Noc była ciemna, miesiączek się schował, otuliłam się starą płachtą, bo ci już niemal czarna i zdaleka idę za nim, a on prościusieńko na swe pole. I jak ci się nie zacznie skarżyć, wydziwiać, pomstować, płakać, całować świętą ziemię, — strach i wielka żałość mnie zdjęły i uciekłam.

Stara nic nie odpowiedziała. Należało skarżyć się na nieboszczyka męża, a bała się.

Józek na jarmarku pracował, chodził między bydłem, szukał, oglądał, wybierał i wybrał dwa młode ciołki, które już od wiosny w jarzmie chodziły, stargował je za dziewięćdziesiąt dwa papierki, zapłacił, ciołki zabrał i pognał drogą.

Przy przecięciu gościńców stoi murowana karczma „pod Krakusem." Zdaleka widać nad jéj drzwiami malowany szyld. Na niebieskiém tle, w kierezyi i czapce czerwonéj stoi krakus, prawą ręką trzyma krakowiankę, lewą ujął się pod bok. Szyld ten posiada wielki dar przyciągania ludzi. Patrzą, dziwują się i wchodzą. Dziś oprócz szyldu wabiła muzyka, wylatująca na pola przez otwarte okna.

Józek wpędził woły do stajni, kupił dla nich porcyą koniczyny i poszedł do karczmy.

Rojno tam było i gwarno, zaledwo niewielkie kółko do tańca zostało. Na stole siedziała bogaczka wdowa w żółtéj spódnicy, w wielkie czerwone kwiaty i aksamitnym gorsecie, przy niéj stała młynarka, wełniana chustka spadała jéj z ramion.

— A no, panie wojaku, wiele za ciołki?— zawołała młynarka.

Józek pocałował ją w rękę, zapłacił kufel piwa i podał go jéj do upicia. Kobieta upiła parę łyków i podała wdowie. Czarne oczy wdowy spoczęły na chwilę na twarzy Józka, usta jéj rozśmiały się; z po za grubych warg ukazał się szereg białych, dużych zębów. Upiła parę łyków i oddając kufel Józkowi, odezwała się wesoło:

— Panie wojak, pokażcież jak to w Tarnowie tańcują.

Dała znak muzyce i zsunęła się ze stołu.

— Ludzie, rozstąpcie się! — wołał żyd z za szynkwasu.

Józek trzymając w pół wdowę, obszedł z nią wkoło, ludzie im się ustępowali, — za nimi poszła młynarka z kołodziejem i kilka innych par.

Józek stanął przed muzyką, wsunął w skrzypce dwie szóstki i zaśpiewał:

„Kupiłem se konia, a na konia derę,
Ludzie się dziwują, skąd pieniądze bierę.“

— A dziwują się, dziwują!— zawołała młynarka—zkądeś wziął na woły, chudziaku.

Józek nie miał czasu na odpowiedź. Wdowa położyła rękę na jego ramieniu i puściła się w wir tańca. Chłopak tańczył delikatnie, w takt, i drobił jak panna, wdowa tuliła się do niego i pociągała ku sobie. Żyd z za szynkwasu klaskał w ręce, gospodarze paląc fajki, mówili o jarmarku, dziewczęta chwaliły taniec Józka i opowiadały o wdowie dziwy i ramoty.

Klarnecista zadął przeciągle, długo i urwał; muzyka zamilkła, wdowa usiadła na stole, chłodząc się chustką, młynarka stanęła przy niéj.

— Piwa!—zawołała bogaczka na żyda i podanym kuflem przepiła do Józka.

— Tarnowskie wojaki siarczyście tańcują — odezwała się, pokazując białe zęby.

Józek się uśmiechnął i odpowiedział:

— Wojaki muszą tańczyć po wojacku, taki już rozkaz mają.

Upił trochę piwa z podanego kufla, oddał go młynarce, zapalił krótkiego za dwa centy i poszedł do wołów.

Koniczynę zjadły i leżąc, żuły w spokoju. Pogładził je ręką po tłustych karkach, zaprowadził do studni, napoił i drogą w górę pognał do domu.

Wdowa patrzała za nim przez okno.

— Chłopak jak malowany — rzekła — ale jakiś dziwny, zamroczony, czy co?

— Stracić taki majątek, to może zamroczyć — odpowiedziała młynarka.

— Delikatny, jakby jaki panicz — mówiła półgłosem więcéj do siebie wdowa.

— Jaki, jaki—dogadywała jéj młynarka—na całą okolicę drugiego takiego nie znajdzie, bo i prawda.

Wdowa się zamyśliła. Do karczmy wszedł chłop barczysty i zuchwały z batem w ręku, czapką nasadzoną na ucho. Na jego widok klarnecista zadął, skrzypki zawtórowały wesoło, ludzie się rozstąpili.

Ożenił się Kuba kóli (1) opierunku
I narobił sobie niemało frasunku,
Bo go jego Magda nie słucha w téj mierze,
Lecz miasto koszuli, to po pysku pierze.

zaśpiewał, bat oddał młynarce, objął wdowę w pół, zsadził ze stołu, puścił się w taniec, a za nim, kto mógł i umiał wcisnąć się wkoło.

— Jeżeli Bartek nie złapie wdowy, to już nikt, bo on nikogo do niéj nie dopuści,—mówili ludzie, patrząc jak Bartek obraca wdowę, a ona trzymając rękę na jego ramieniu, mruży oczy i usta odchyla, pokazując białe, duże zęby.

Samym wieczorem Józek wpędził woły na dziedziniec. Stanęły, obejrzały się i zaryczały żałośnie. Krowa odpowiedziała im z obórki. Ryk wołów wywabił matkę i Kaśkę z izby.

— Czyjeż to? — spytała matka.

— Najprzód boskie — odpowiedział. Nie śmiał dokończyć wobec Kaśki, że potem jego.

— Bój się Boga, a zkądżeś ty wziął tyle pieniędzy?...

— Dużoś dał? — przerwała Kaśka.

— Zgadnijcie?

Kobiety zaczęły oglądać i głaskać bydlęta, głowami kręcić, namyślać się.

— Dałeś stówkę i dziesięć?.. — spytała Kaśka.

— Stówkę, ale brakowało do niéj ośm papierków.

---

(2) Kóli — gwoli.

— Bój się Boga! — zawołała matka — a toś ty się chyba na przelewacza (1) urodził. I dalejże zaczęły obie z Kaśką pieścić bydlęta, gładzić je po szyjach, rozmawiać z niemi, wynajdując coraz to nowe przymioty. Nogi grube, karki, twarde, szerokie w krzyżach.....

— Gdzie ty je, mój biedaku podziejesz? — frasowała się matka. Obórkę takie hamany w lot rozwalą.

Józek zaprowadził je do stodoły, dał siana i mając po bokach matkę i Kaśkę, w tryumfie poszedł do izby.

— I nie powiesz, zkądeś wziął tyle pieniędzy— nalegała matka.

— Dała mi śliczności dziewucha — odpowiedział żartobliwie.

Na Kaśkę buchnęły ognie, czuła je na twarzy, i aby ich nie zobaczono, poskoczyła do komina.

— Pleciesz, a zkądby się taka głupia wzięła.

— Abo mi to co brakuje? — odparł dumnie.

— To się chyba będziesz musiał z nią żenić, co?

— A cóżto? nie wolno mi?

Matka pokazała oczami na Kaśkę, Józek się rozśmiał, a Kaśce serce tłukło się o żebra tak głośno, że aż ją lęk zbierał, żeby w izbie nie było słychać.

Józek pierwszy raz od powrotu z wojska rozochocił się i rozgadał, pierwszy raz zapomniał o ojcowiźnie i żartował.

— Lżéj będzie — mówił — bo przecie bydlątka teraz zaczną na człowieka pracować: ludziom orać zagony, sągi do miasta wozić.

Kaśka ze swéj strony dowodziła, że co innego ludzka, a co innego bydlęca praca. Obliczali i para wołów miała dwie stówek dochodu na rok przynieść.

Późno w noc matka i Kaśka odprowadziły Józka do stodoły, aby jeszcze raz zobaczyć bydlątka, które im wniosły do zagrody zgodę, uśmiech szczęścia i nadzieję.

— Patrzajcie jak se to leżą, jak jacy hrabiowie—zawołała matka. A gdy Kaśka zaczęła jednego z nich głaskać, wyciągnął łeb do niéj i z nozdrzy wyrzucał parę, co wiele uciechy sprawiło.

Józek rad był zostać z Kaśką, lecz dziewczyna jakoś się bała i wstydziła. Nie chciała, aby jéj dziękował za woły, gdyż przecie i ona uważała je za swoję własność. Chłopak był dziś serdeczny, gdy spojrzał na Kaśkę, ogień mu strzelał z oczu, gdy uśmiechnął się do niéj, coś ją chwytało za serce, że aż się jéj w oczach mroczyło. Dlatego dziewcze bało się zostać z nim samo i bało się wracać z izby do obórki. Gospodyni dała jéj poduszkę, położyła się na stole i przez otwarte okno wpatrywała się w uchylone drzwi stodoły. Rada była

(1) Handlarz bydła.

z siebie, dziękowała Bogu, że choć ją stary katował, pieniędzy mu nie dała. Szczęście rozsadzało jéj serce, ogień ją palił i nie dał oczu zmrużyć.

O północy zaskrzypiały wierzeje na rozcież, dziewczyna przestraszona patrzała. Józek wyprowadził na powrózku woły i znikł, noc go przykryła. Wstała, wysunęła się przez okno i pobiegła za nim na ścieżki. Noc bez księżyca cicha i gorąca nie pozwoliła jéj widziéć daleko. Wytężyła słuch. Z doliny dochodziły ją miarowe odgłosy stąpań wołów. Wystraszona chciała biedz, nie śmiała, chciała wołać, bała się aby hałasu nie zrobić. Wróciła do obórki, rzuciła się na słomę i dygotała nie mogąc oczu zmrużyć.

Józek wprowadził woły na grunt ojcowizny.

— Posmakujcie z mojego pola koniczu—szeptał —to może raźniéj będziecie się brać do roboty i grunt rychło wykupię. Wtedy samę koniczynę będziecie jadać. Położył się przy nich i patrzał z rozkoszą jak młode ciołki chciwie i żarłocznie rwały trawę, wypełniając nią pyski.

— Widzicie, tak to moja ziemia rodzi, a jakie słodkie, jak pachnie. . . .

Woły radosném mruczeniem odpowiedziały, nie odejmując pysków od ziemi.

Gdyby go w téj chwili Sobek napadł, zabiłby go. Na samę myśl, krew kipiała, gniew wstrząsał nim.

— Moja, moja — szeptał — wpił palce w ziemię i twarzą przytulił się do wilgotnéj ziemi; a woły rwały żarłocznie koniczynę z obawy, aby ich nie odpędzono.

— Muszę cię odebrać, z prawa i ojcowizny moją jesteś. I nie legnę spokojnie w grobie, aż cię wyrwę z pazurów starego. Woły wgryzały się coraz daléj zachodząc w zagony, objedzone ciężko sapały. Chłopak się zerwał, pomacał je ręką, przeląkł się, odciągnął z całéj siły i gnał pod górę do domu. Szły, oglądając się i mrucząc żałośnie. Coraz większa na ziemi zalegała ciemnica, ciepły deszcz drobnemi kroplami zaczął cicho padać. Zdaleka psy naszczekiwały, nocni stróże na rogach żałośnie trąbili. Jeden drugiemu podawał odzew, głosy mknęły daleko i nikły za wodą.

Nazajutrz stary Sidor stojąc nad zjedzoną koniczyną, klął i pomstował okrutnie. Głos jego rozlegał się po całéj dolinie. Szukał śladów dokoła, lecz napróżno. Gniew jego srożył się, przekleństwa wzrastały.

Kaśka wpadła do stodoły, Józek spał.

— Słyszysz—zawołała. Chłopak oczy otworzył. — Słyszysz jak stary klnie, zdaje się, że święta ziemia drży. Józek, raz to nic, ale teraz Sidor będzie sypiał przy koniczynie.

— To i cóż? — spytał Józek.

— A nic, tylko zabiłbyś starego, jakbyś go w ciemności zdybał.

— To niech mi nie włazi w drogę.

— Pójdziesz do cienia i oko cię ludzkie więcéj nie ujrzy.

Odwróciła się aby ukryć wzruszenie.

— To i cóż?...

Dziewczyna załkała i wybiegła ze stodoły.

— Kaśka! — wołał za nią.

Nie odwróciła się.

— Do cienia — powtórzył; — radby on mnie zamknąć do cienia, ale nie zamknie. Wołom rzucił garść siana i poszedł do izby na śniadanie. Głos Sidora przycichł, czasem tylko odbijając się od lasu wlatywał przekleństwem na dziedziniec.

(D. n.). *Sewer.*





LUDY ZNIKŁE I GINĄCE.

3.

Czarna wojna nie zapełnia całkowicie dramatu odbywającego się na ziemi Van-Diemen od czasu osiedlania się na niej Anglików do pamiętnego roku 1835, w którym na Tasmanii ostatecznie Tasmańczyków nie stało.

Naród, który wydał Szekspira i Byrona, który pierwszy poczuł się do krzywd wiekowych, wyrządzonych innemu, i dąży do ich naprawienia, nie tylko przez wyrzutków społeczeństwa swego i wojsko zawiązuje stosunki z obcymi, a dla nieprzyjaciół słabszych a zwłaszcza pokonanych coś więcéj nad najemnych niszczycieli chowa.

Czarna wojna wrzała głównie na wschodniém i północném wybrzeżu wyspy, w promieniu zwłaszcza dwóch pierwszych i najgłówniejszych osad, gdzie osiedlali się pojedyńczo koloniści. Zachodnie i zachodnio-południowe brzegi nie były jeszcze przez Anglików zajęte. Na zachodzie więc i południu chroniły się niedobitki ze zniesionych gromad Tasmańczyków; tam koczowały nieznane i nietknięte rody; ztamtąd występowały posiłki i coraz nowe oddziały, na zmianę walczących, na zastąpienie zniesionych.

Dwadzieścia wszelako sześć lat tępienia ciągłego dokonały swego: z tysięcy pozostały setki zaledwie. Więc chociaż tysiące gromad z setek osób złożone i również grożące z ich strony niebezpieczeństwo istniały tylko w wyobraźni wylękłych lub w interesie zawsze i w każdym kraju pojawiających się *bushranger'ów*, jednakże dopóki na zachodzie wyspy pozostawali krajowcy w takiém usposobieniu jak poprzednio, dopóty była usprawiedliwiona obawa napadów, dopóty wojna ciągnąć się mogła a eksterminacya pomyślnie rozpoczęta musiała dosięgać celu.

Pożądanéj zmiany w usposobieniu, zupełnego uspokojenia, tak pożytecznego dla stron obu, dokonał jeden człowiek. On pierwszy do krajowców przemówił w ich języku, przemówił jak należy przemawiać do ludzi na takim stojących poziomie rozwoju, a przy zetknięciu się postępkami dowiódł, że im szkodzić nie zamierza wcale.

Na początku tego roku, w którego drugiéj połowie wielka obława przekonać mogła każdego, że koniec wojny jeszcze daleki, w zatoce Davey, na zachodnio-południowym brzegu wyspy, wylądował w towarzystwie syna, kilku białych i kilkunastu krajowców Jerzy August Robinson. Gromadka ta była zupełnie bezbronną; nawet psów z sobą nie mieli. Celem wylądowania jéj było przebieganie kraju, spotykanie krajowców, przekonywanie ich o bezużyteczności walki, nakłanianie do porzucenia obecnego sposobu życia, pociąganie za sobą.

Dokąd-że przekonanych i powolnych obietnicom zaprowadzić mieli?

Dwóletnie wyprawy oddziałów łowieckich kilkudziesięciu dostarczyły rządowi porwanych żywcem krajowców. Założył on dla nich kolonią na wysepce Bruni, leżącéj na przeciw ujścia rzeki Derwent. Kolonia owa nazwaną zostala *Establishment for the civilisation of the Aborigines.* Robinson był w niéj dozorcą. Łagodném postępowaniem swojém zjednał sobie miłość i zaufanie dozorowanych. Powziął więc zamiar do takich kolonii przesiedlić resztki pozostałych przy życiu. Do tego pomagać mu mieli sami krajowcy, którzy do Anglików już się byli zbliżyli. Zwłaszcza kobiety misyą pokojową przejęte zostały.

Wśród gromadki wędrującéj po zachodniém wybrzeżu Tasmanii największego używali szacunku Unreddy, naczelnik rodu zamieszkałego na wysepce Bruni, żona jego Trugunina, zachwycająca swemi wdziękami i dla tego przezwana Lalla-Rook, Manalagana, wojownik znany z odwagi i męstwa, który poznawszy Robinsona zaczął podzielać jego plany i żona jego Tanlebonejer, przewyższająca wszystkie swe rodaczki sprytem i godnością. Te i inne kobiety, przybrane w stroje europejskie, niosły z sobą zapasy świecidełek dla przynęty.

Czas atoli źle był dobrany na uspakajanie. Obława burzyła umysły, niecila popłoch. Bezbronna gromadka, przedzierając się ku północy, nigdzie złego przyjęcia, nieprzyjaznych czynów nie doświadczyła. Ale bezskutecznemi pozostały jéj namowy. Rok następny był już pomyślniejszy. Na początku roku zyskał dla swéj sprawy Robinson ród jeden cały, którego naczelnik Multealerguna wsławił się ja-

ko *łowca białych*. Następnie jeszcze z trzynastu rodami traktował; rezultatem czego było ujęcie 123 osób.

Następujący wypadek dokładniejsze niż inne może dać pojęcie o tém, jak się zawiązywały stosunki. Rzecz się odbywała na środkowém płaskowzgórzu.

Rody krajowców otrzymywały od Anglików rozmaite nazwy. Najczęściéj od miejsca zamieszkania. W czasie wojny zasłynął był ród z nad rzeki Uz, dopływu rzeki Derwent. Na czele jego stał waleczny i śmiały Montpeliata, postrach wielki kolonistów. Robinson ze swoją gromadką zetknął się ze strasznym wrogiem.

Montpeliata szedł na przodzie, trzymając w ręku ośmnasto stopową dzidę. Za nim piętnastu wojowników z dzidami i maczugami. Wydawali oni okrzyki bojowe, poruszali ze wściekłością bronią. W ich oczach wrzała nienawiść. W postaci całéj przebijała się gotowość rzucenia się na wrogów. Wódz zaledwo powstrzymał ich gestami i głosem. Otaczało ich sto kilkadziesiąt psów, warcząc i skomląc. Za niemi szły kobiety, dźwigające zapasy broni. Nakoniec Montpeliata zwrócił się do Robinsona z zapytaniem, kto są, czy mają strzelby i dzieci strzelby (pistolety); usłyszawszy, że ani broni palnéj nie mają, zwrócił się do kilku starszych ze swego otoczenia. Przyłączyły się do nich kobiety. Po krótkiéj naradzie te trzykrotnie wzniosły ręce do góry. Był to znak pokoju. Wnet dzidy i maczugi zostały odrzucone. Z okrzykami radości i łzami rzucili się ku gromadce Robinsona. Nie jeden z wojowników znalazł wśród téj gromadki swojego dawnego znajomego. Nie jeden usłyszał wieści o swoich. Nastąpiła uczta, zawarto przyjaźń wieczną, cały ród udał się za Robinsonem. Składało go 16 meżczyzn, dziewięć kobiet i jedno dziecię (1). A był to ród zaprawiony do walki z Anglikami, o którego dzikości i okrucieństwie potworzyły się legendy, którego członków na setki liczono.

W Hobart-Town zapanowała radość wskutek przybycia Robinsona w takiém otoczeniu. Rządca kraju Arthur przyjął go ze wszystkiemi honorami wojskowemi. Wyprawił ucztę w domu rządowym dla niego i wszystkich z nim przybyłych krajowców. Prasa miejscowa wystąpiła ze świetnymi artykułami, głoszącymi jego zasługi. Miejscowi poeci opiewali jego czyny w odach i sonetach. Wdzięczny ogół nazwał go *uspokoicielem* (conciliator).

Jeszcze lat trzy trwały wędrówki po zachodniéj części wyspy. Każda kończyła się sprowadzeniem do Hobart-Town kilku, kilkunastu lub nawet kilkudziesięciu krajowców. W roku ostatnim dotarł

---

(1) Bonwick: The last of the Tasmanians, 225—6.

był Robinson do tych rodów, które w pierwszym obojętnie słuchały jego przemówień i dowodów, i jeszcze do innych, które były zupełnie nieznane, nie przyjmowały udziału w wypadkach, jako zamieszkałe najdaléj od ich widowni, na zachodnio-północnym cyplu wyspy, w porzeczu rzeki, która otrzymała uastępnie nazwę Arthur. I te pociągnął za sobą.

Dnia 22 stycznia 1835 r. wprowadził Robinson do Hobart-Town ostatnich wolnych *ośmiu* Tasmańczyków. Gdy tych ośmiu posadzono na okręt, Tasmania już nie posiadała dawnych swych mieszkańców! Dramat dziejowy został zakończony...

Lecz znamy i epilog.

Zakład dla cywilizowania krajowców, w skutek zwiększania się liczby poddających się cywilizowaniu, z maleńkiéj wysepki Bruni w 1832 roku został przeniesiony na znacznie większą wyspę Flindersa, leżącą w cieśninie Bassa. Tam już przeto odsyłano sprowadzonych przez Robinsona do Hobart-Town.

Zakład był urządzony na sposób więzienia a raczéj koszar, z rygorem obowiązującym w tego rodzaju zakładach. Pierwszym dozorcą w nowéj miejscowości był niejaki Wight, sierżant dymisyonowany. On nigdy nie chciał w pupilach swoich uznać wtajemniczanych w dobrodziejstwa cywilizacyi dzikich, lecz zawsze ich miał za jeńców wojennych, za pokonanych wrogów, którzy przedtém tyle strachu wzbudzali w jego rodakach. Odpowiednio więc do swoich poglądów znalazł dla pomieszczenia ich miejscowość, na brzegu zupełnie otwartym, gdzie ni las ni wzgórza od wiatrów nie zasłaniały, a nawet wody słodkiéj nie było. Odpowiednio téż do swego usposobienia i postępował z nimi. A ponieważ zawsze do pomocy miał przebywających na wyspie rybaków, w okrucieństwie więc nawet obawą odwetu z ich strony nie był wstrzymywany. Lecz dzicy, działając pod wpływem instynktów jeszcze zupełnie nie stłumionych, zrobili rokosz. Sprawa doszła do rządu. Przewódcy zostali ukarani. Ale sierżanta odwołano.

W doborze nowych dozorców zakładu rząd dowiódł rzeczywiście dobréj chęci. Wight'a zastąpił kapitan Darling, człowiek dobry i wykształcony. Następcą zaś jego został w 1835 r. Robinson. Rzeczy się zupełnie zmieniły. Osadę przeniesiono w głąb wyspy nad brzeg jeziorka. Pobudowano małe ale schludne domki, otoczone ogródkami. Po domkach tych rozmieszczono rodziny krajowców. Sprowadzeni duchowni chrzcili ich, nadawali imiona, wtajemniczali w praktyki religijne. Na każdą godzinę wyznaczono stosowne zajęcie lub zabawę. Ścisły rygor bronił od wszelkich nadużyć. Dorosłych chłopaków i dziewczęta chłosta wstrzymywała od zdrożnych

w obec nowych zasad moralności postępków, prowadziła do moralności i przyzwoitości. Zapanował zupełny porządek.

Dorośli i starsi uczyli się rękodzielnictwa, uprawy roślin; dla przyzwyczajenia się do hodowania zwierząt domowych obdarzeni zostali owcami i krowami. Dla młodszych wiekiem i dzieci założono szkołę; uczyli się w niéj czytania, pisania, rachunków, geografii, historyi. Zwłaszcza wielki postęp robiła dziatwa w katechizmie.

Przechował się protokół egzaminu. W najniższéj klasie jeden z uczniów tak odpowiadał na zadane pytania. „Czy kochasz dyabła? Nie. Czy kochasz Boga? Tak. Czy możesz widzieć Boga? Nie. Co jest dyabeł? Ojciec kłamstwa. Co Bóg zrobił z żebrem Adama? Uczynił żonę mu.“ W wyższéj klasie zadawane były zapytania trudniejsze. I na nie odpowiedź trafną zawsze była: „Co jest w niebie? Bóg, aniołowie, dobrzy ludzie i Jezus Chrystus. Co jest niebo? Miejscem pięknem. Co jest piekło? Miejsce mąk. Co cierpią w piekle? Ogień wieczny.. Jaki tekst Mr. Dove czytał w przeszłą niedzielę? Parabolę o dziesięciu dziewicach“ (1).

I nikt by zapewne nie poznał w siedzących w ogrodzie na ławach pod domami, nad robotą ręczną, w wymytych, ostrzyżonych, w europejskie suknie przebranych, kobietach i mężczyznach a tych ostatnich nawet ogolonych, owych dzikich, którzy przed laty trzydziestu mogli jeszcze wszystkiego zazdrościć europejczykom, na których ci z taką wyższością słusznie spoglądali. I zdawało się, że ci ludzie dopiero teraz poznali co stanowi życie, gdzie leży jego urok. Patrząc zaś na dziatwę schludną, rozsadowioną w szkole w porządku, przez ich pilność, uwagę i postępy w naukach wskazanym, na zatopionych w tekst książki lub z chciwością śledzących każdy wyraz światłego nauczyciela, który nie tylko o rzeczach dawnych i dalekich, ale o wieczności całéj wykładał, że dopiero z téj szkoły wyjdą ci, co potrafią resztki ludu wprowadzić na nowe drogi.

Zaszło atoli coś, co świadczyło o pewnéj nieprawidłowości w ich rozwoju. Zasadnicze prawo wymiany, utrzymujące istnienie społeczeństw, zostało naruszone. Stosunek zwykły pomiędzy wypadkami śmierci i urodzeń zmienił się. Dorastający, dorośli i starzy wymierali szybko i gwałtownie, a liczba nowonarodzonych nie zrównoważyła ilości pogrzebanych, ilość urodzeń do normy zwyczajnéj nie dochodziła nigdy.

Wymierali, chociaż ściany domów i pokrycie zabezpieczały ich od wichrów i deszczów, a ubranie utrzymywało ciało w jednakowéj temperaturze, schludność oddalała pierwiastki szkodliwe dla zdrowia

---

(1) Bonwick: The last of the Tasmanians, str. 261—264.

od osób i z otoczenia; wymierali, chociaż pożywienia nigdy im nie zbrakło, a przyprawa pokarmów była bardziéj zastosowaną do organizmu ludzkiego. Nawet i opieka jeszcze bardziéj troskliwa, roztoczona nad młodzieżą szkolną, nie zabezpieczała ich życia. Nikt z uczących się nie doszedł wieku dojrzałego. Jedno tylko z dzieci sprowadzonych przez Robinsona dobiegło lat człowieka dorosłego, lecz ono dla braku zdolności do szkoły nie zostało przyjętém.

Nie rodzili się, chociaż nad czystością związków rodzinnych czuwały zasady religii chrześciańskiéj, chociaż wzajemnych ku sobie praw małżonków strzegły artykuły kodeksu cywilnego.

Osady tasmańskie porównać możemy do rozsianych po miastach europejskich ogrodów zoologicznych. A one wszak nie dla utrzymania gatunku zwierząt są zakładane.

Robinson dostarczył osadzie do dwóstu; połowę téj liczby — oddziały łowieckie. Tymczasem według urzędowych dat w 1835 na wyspie Flindersa było Tasmańczyków 100. W 1848 zwiedzający osadę Strzelecki zastał ich 54. W 1847 było tylko 44; mężczyzn 12, kobiet 22, dzieci 10, od lat 4 do 14. Cyfry te uderzały.

Garstka dogorywających krajowców zaczęła zwracać na siebie uwagę wielu i wysoko postawionych osób. Ich osobiste przymioty, powolność zupełna, spokój tchnący rezygnacyą, zjednywały życzliwość. Odwiedzał ich często *Governor* Denison, biskup Dixon, rozmaici podróżnicy, uczeni, różni szperacze naukowi. Przyjaciele ich sądząc, że zmiana miejscowości może korzystnie na ich zdrowie oddziałać, a powrót do rodzinnych miejsc ożywić, wyrobili u rządu postanowienie przeniesienia ich na Tasmanią. Denison przeznaczył na nową osadę wybrzeże w zatoce Ostryg. Byli atoli tacy, że w tym kroku rządowym dojrzeli niepotrzebnéj słabości, a dla kolonii wróżyli groźne ztąd następstwa. Anglików było już podówczas przeszło 80,000.

W październiku 1847 roku 44 pozostałych przy życiu Tasmańczyków stanęło na brzegach dawnéj swéj ojczyzny. Lecz ich ojczyzna dawna stała się dla nich obecnie domem pogrzebowym. Może i sami zbliżając się do niéj łudzili się, że warunki ich bytu zmienią się, może nie przypuszczali tylu i tak gwałtownych zmian na niéj. Tymczasem takie same domki, otoczone z ogródkami ich i w *Oyster Cove* przyjęły w swe ściany, taki sam porządek pochłonął ich istoty, a z dawnych wspomnień nic rzeczywistość nie budziła obecna. Może i zewnętrzne wpłynęły okoliczności. Niektórzy z ich przyjaciół powymierali, inni ich wraz z Tasmanią opuścili. Dla dozorców swoich stali się znowu przedmiotem do strzeżenia; ich istnienie—polem dla drobnych interesów i oszczędności. Dość, że stan rzeczy jeszcze się bardziéj pogorszył. Dawniejszy spokój przeszedł

w rozpacz. Mocne napoje stały się koniecznemi dla podtrzymania życia. Na nie szły zarobki wszelkie; w braku oszczędności nabywano je za ubranie i sprzęty, któremi obdarzał ich zarząd osady.

W 1859 r. odwiedzający osadę Bonwick zastał tylko 15 (6 mężczyzn i 9 kobiet). W 1869 umarł ostatni Tasmańczyk.

Był nim Wiliam Lanné. Ciekawe są losy jego. Rodzina jego stanowiła owych ośmiu ostatnich wolnych Tasmańczyków, których Robinson w 1835 r. sprowadził do Hobart-Town. Miał wtedy on lat do dziesięciu. Przewieziony na wyspę Flinders, uczęszczać do szkoły nie mógł dla braku zdolności. Wzięty jednakże na okręt stał się zdolnym marynarzem i lubionym przez towarzyszów kolegą.

W 1877 umarła ostatnia Tasmanka. Losy pozwoliły przeżyć wszystkich swoich téj, która tak gorliwie wspierała Robinsona w jego misyi uspakajania. Była to Truganina.

Krótkie zetknięcie się Tasmańczyków z Anglikami, oraz charakter stosunków zaszłych między obu ludami, przeszkodziły nawet powstaniu pokolenia metysów.

4.

Z jakiegokolwiek bądź punktu patrzylibyśmy na człowieka, przyznać zawsze musimy, że cechą główną jego jest twórczość. Ona pozwoliła mu istnieć, kiedy wszystko wokoło ginęło i przeobrażało się. Ona stanowi istotę rozwoju i podstawę cywilizacyi. Niszczenie, jako antyteza twórczości, budzi w nim wstręt i boleść.

Polem twórczości jest życie. Instynktowo więc boimy się śmierci. Celem twórczości — doskonalenie życia. Instynktowo więc cofamy się przed wszystkiém, co powstrzymuje owo doskonalenie. Instynkt stał się sumieniem. Sumienie nie pozwala odwrócić się od ofiary, owszem zmusza przypatrywać się jéj, poznawać ją, badać wszystko co się jéj tyczy, odkrywać prawdę częstokroć nawet wbrew swemu interesowi. W tym akcie właśnie leży kara.

Gdy ostatni Tasmańczycy dogorywali, James Bonwick, przybyły do Tasmanii by poznać ich i zbadać przyczyny wojny, zapytywał J. E. Caldera, długoletniego widza wszystkich wypadków, czy zdolni oni byli dojść do cywilizacyi. „Jes, undoubtedly" (tak, bezwątpienia) brzmiała odpowiedź (1). Gubernator G. Arthur, za którego zarządu wysyłane były *oddziały łowieckie* i urządzona *wielka obława*, w urzędowem sprawozdaniu przedstawił ich jako prostą lecz bitną i, jak się zdaje, szlachetnemi popędami obdarzoną (noble minde)

(1) Bonwick: The last of the Tasmanians, str. 352.

rasę" (1). Na czém więc było oparte twierdzenie pierwszego, określenie drugiego?

Podróżnicy, zwiedzający Tasmanią przed osiedleniem się na niéj Anglików, opisywali, chociaż to było owocem dorywczych tylko spostrzeżeń, obraz życia zewnętrznego jéj mieszkańców, tak jak się ono im w codziennym swoim biegu przedstawiało. Nie mając w znajomości języka klucza do ich pojęć, zadawalniali się tém, co widzieli, i podnieść zasłony z życia umysłowego nawet się nie kusili. W zupełnie odmiennych warunkach znaleźli się ci, którzy się zbliżali do Tasmańczyków osiedlanych w koloniach. Na co tamci patrzyli, dla tych już przestało istnieć. Regulamin więzienny zastąpił krajowcom dawniejszy tryb życia. Stosunki ich społeczne rozbiła utrata wolności i kraju. Lecz za to byli oni w stanie porozumiewania się z Tasmańczykami mową. Niektórzy bowiem z krajowców mówili po angielsku, niektórzy z Anglików nauczyli się języka tasmańskiego. Ta okoliczność otwierała nakoniec zakryty dotychczas przed obcymi świat wewnętrzny ginącego ludu, pozwalała wniknąć w ich życie umysłowe.

Lecz czy otwarła rzeczywiście? Czy chwila była stosowna do tego?

Życie, które prowadzili Tasmańczycy w osadach, przygnębiało ich. Wszelkie przygnębienie oddziaływa zgubnie na umysł, pozbawia go jasności, zacieśnia granice, tamuje polot. Jakże więc mogli wtajemniczyć innych w to życie, którém sami nie żyli w całéj jego pełni? Następnie Tasmańczycy zaniechali wszystkich praktyk odbywanych na swobodzie, utrwalonych przez zwyczaj, jako to rozmaitych zabaw, obrzędów. Z praktykami wiążą się pojęcia pewne. Zaniechanie praktyk pozbawia te pojęcia ich siły i treści. Nie będąc symbolizowane w czynach, zamierają. Daléj, od czego Anglicy zaczynali kształcenie Tasmańczyków. Od przekonywania ich, że wszystko co dotychczas wiedzieli, myśleli, czuli — jest błędném. Odkrywając więc swoje przekonania, Tasmańczycy bronić by je zarazem byli powinni. Przegrawszy zaś jedną walkę, jakże mogli występować do drugiéj? A czyż zresztą fakta same za Anglikami nie przemawiały? Przytém trwożliwość, konieczna w ich położeniu, zmuszała ich kryć się z wielu rzeczami. A nawet, pomimo zaufania do niektórych osób, czyż nakoniec mogli oni zapomnieć czém są Anglicy dla nich; czy przy takich stosunkach byli oni w stanie otworzyć przed niemi swą duszę, wyjawić im swe tajemne wierzenia, skryte myśli, odżywiające marzenia?

(1) Bonwick: The daily life of the Tasmanians, str. 9.

Z drugiéj strony sami ci Anglicy, którzy się stykali z Tasmańczykami, nie byli uzdolnieni do zrozumienia, a témbardziéj do odtworzenia życia ich umysłowego. Zwalczywszy z biegiem czasu odrazę ku nim lub niechęć, pokonawszy pod wpływem okoliczności obojętność, wnet przystąpili do uczenia. Uczenie zaś to zarazem z przekonania, jak też dla skuteczniejszego oddziaływania, oparli na podkopaniu i wykorzenianiu wszystkiego, co czas mógł wyrobić w umysłach, do czego naturalny rozwój doprowadzić. Podkopując zaś i wykorzeniając, czyż dbać mogli o to, co niszczą, czy na to, według ich widzenia, warto było nawet zwracać uwagę. W najlepszym razie wszystkie pojęcia Tasmańczyków i wierzenia były dla Anglików *superstitions* (przesądy, zabobony) (1).

Wszystkie więc wiadomości otrzymane tą drogą, inną zaś drogą otrzymanych nie mamy, przedstawiają się jako spostrzeżenia luźne, jako okruchy zaledwo. Razem zebrane nie odtwarzają całkowitéj treści życia umysłowego. W każdym jednakże razie starczą, by wywnioskować na ich podstawie, że Tasmańczycy wstąpili już byli w ten okres rozwoju, od którego rozpoczyna się życie umysłowe w każdym narodzie.

Nie był Tasmańczykom obcy kult zmarłych. Ciała grzebali. Rozmaite były sposoby grzebania, stosownie do zwyczajów rodowych. W jedném miejscu ciało wraz z bronią zmarłego wkładano do wydrążenia w drzewie i otwór drzewem zakładano. W drugiém składano je na ziemi w postaci siedzącéj, usypywano nad niém mogiłę, następnie ogradzano płotem; w innén zaś palono, a kości zpopielałe starannie przechowywano. Zapytywani, po co kładą dzidę z ciałem, jedni odpowiadali, że tak zwykle robią czarni, drudzy twierdzili, że na to, by zmarły miał się czém bronić. Jedni wskazywali na gwiazdy, jako na miejsce pobytu zmarłych. Drudzy opowiadali o oddalonéj wyspie, na którą wędrują zmarli, gdzie się spotykają ze wszystkiemi przodkami, gdzie się stają białymi.

W kulcie zmarłych przeważała obawa nad innemi uczuciami. Nigdy imienia zmarłego nie wymawiali wyspiarze, a to z bojaźni, by przypadkowo wymówione swe imię zmarły nie poczytał za przywoływanie do życia, lub za niewłaściwe lekceważenie siebie, co mogło by wywołać jego zemstę. Ta ostrożna przezorność spowodo-

---

(1) J. Bonwick, oprócz kilkakrotnie wzmiankowanego dzieła *The last of the Tasmanians*, napisał drugie, poświęcone obyczajom, życiu społecznemu i umysłowemu Tasmańczyków: *Daily life and Origin of the Tasmanians.* W znaczeniu dla przedmiotu nie ustępuje ono pierwszemu. W rozdziale *Superstitions* znajdujemy obraz rozwoju umysłowego.

wala dziwny zwyczaj. Albo wyraz, który służył za imię zmarłego, wyrzuconym zupełnie bywał z użycia w mowie i zostawał zastąpiony innym; albo też przy obrzędzie wprowadzenia dorastającego młodziana lub dziewczyny do towarzystwa dojrzałych osób, na którym dopiero nadawano imiona, przewodniczący w obrzędzie szeptał na ucho wtajemniczonym wybrane dla nich imiona prawdziwe, które pozostając w taki sposób nieznane nikomu, po śmierci nie mogły być wymawiane; ci zaś nosili poprzednie nazwy, za właściwe imiona nie uważane.

Kult zmarłych nie był zjawiskiem oderwaném. Jak wszędzie pozostawał i na Tasmanii w ścisłym związku z kultem duchów wogóle. Wierzyli oni w istnienie duchów i aniołów stróżów. Pierwsze zawsze były źle dla ludzi usposobione. Zamieszkiwały jaskinie po górach, drzewa wewnątrz puste, doliny samotne. Jedne z nich były potężniejsze od drugich, a więc stanowiły już hierarchią. Aniołami stróżami zostawali ludzie zmarli, jeżeli ku żyjącym byli przychylni. W przeciwnym zaś razie również jak i duchy szkodzili żyjącym.

Wynalazłszy duchów, przyznawszy im władzę nad sobą, możność szkodzenia sobie, zdobyć się musiał człowiek i na sposoby zaradcze przeciw nim. Niemi są zamawiania, modlitwy, ofiary. Powstają więc obrzędy coraz bardziéj komplikujące się z czasem, obrzędy wymagają już ludzi biegłych, poświęconych im zupełnie. Ztąd powstają zaklinacze, wróżbici, kapłani. Tasmańczycy kapłanów jeszcze nie mieli. Lecz zaklinacze byli im już znani. Odpędzali złych duchów, leczyli chorych.

Zaklęcia i modlitwy nie improwizują się. Raz powstałe, ujęte w pewną formę odmienną od mowy zwykłéj, przechodzą z ust do ust, przechowują się od pokolenia do pokolenia. One to dają następnie początek poezyi religijnéj, z któréj powstawała zwykle powszechna. Istnienie pieśni religijnych u Tasmańczyków jest rzeczą dowiedzioną.

Porwane przez rybaków angielskich kobiety tasmańskie w czasie nieobecności długiéj swych mężów, śpiewały pieśni z żywą i jakby do osoby jakiéj zwróconą gestykulacyą. Melodya tych pieśni była rzewna i przyjemna (1).

Nie zawsze atoli ludzie mają wzrok utkwiony w ziemię. Z podniesieniem głowy obejmują oni przestrzenie po nad sobą. Myśl zaprzątnięta przeciwdziałaniem złym duchów zostawała nieraz wstrząśniętą zjawiskami w atmosferze. Regularne pokazywanie się ciał niebieskich na horyzoncie i zależne od tego zmiany dnia i nocy uczyło ludzi podziału czasu i porządku w czynnościach życiowych. Kult

---

(1) Bonwick: The daily life etc. str. 173.

duchów na ziemi w miarę rozwoju umysłowego ludzi pierwotnych ustępował przed kultem słońca, księżyca, gwiazd, aczkolwiek nigdy w całości nie ustąpił. Czy już Tasmańczycy doszli byli do kultu ciał niebieskich, nie wiadomo. Byli wszakże już na drodze prowadzącéj do niego. Słońce było dla nich istotą niewieścią; a więc tworzyć się zaczynały o niém myty. Na cześć zaś księżyca w czasie pełni wykonywali tajemnicze tańce, a raczéj przechadzki po lesie, w któréj jakby szukali kogoś lub czegoś ukrytego, oświecali więc pochodniami miejsce, po którém ostrożnie stąpali. Kobiety udziału w téj uroczystości nie brały. Z pośród gwiazd wyróżniali konstelacyą Oryona, W niéj upatrywali młodziana polującego na kangura, przedmiot miłości młodych niewiast, przedstawianych przez Plejady.

Umysłowy rozwój ludów pierwotnych skupia się w sferze pojęć, które my nazywamy religijnemi. Mitologia, staje się polem pierwszego kojarzenia ich, dociekania rzeczy skrytych, początku istnienia i przyczyn. Oto urywek z mytu zapisany z opowiadania jednego krajowca. „Dawno już to było. Mój ojciec, mój dziad i wszyscy owi (przodkowie) żyli w całym tym kraju. Ognia oni nie znali. Dwaj czarni ludzie przybyli. Spali oni u podnóża góry, góry w tym kraju. Na wierzchołku góry zobaczyli ich nasi ojcowie i ziomkowie. Na wierzchołku góry oni stali. Rzucili ogień niby gwiazdę. Padł ogień wśród czarnych moich ziomków. Oni się przelękli i uciekli od nich. Po jakimś czasie oni wrócili. Zebrali ogień i rozniecili stos drzewa. Od tego czasu nie zabrakło ognia na naszéj wyspie. Dwaj czarni są w obłokach. W noc czarną widzimy ich jako dwie gwiazdy (Kastor i Polluks). To oni przynieśli ogień moim ojcom“ (1)...

Nie mniejsze niż życie umysłowe przedstawiało trudności poznanie języka tasmańskiego.

Zgromadzeni z rozmaitych krańców wyspy do jednéj osady, Tasmańczycy siebie wzajemnie nie rozumieli. Powstało to ztąd, że będąc rozrzuceni poprzednio gromadami lub rodami po dość znacznéj przestrzeni, tylko z najbliższemi sąsiadami jak i wszystkie ludy pierwotne podtrzymywali stosunki. Odosobnienie takie prowadziło do powstawania narzeczy. Naliczono ich do dziesięciu. Wyrósłszy jednakże na pniu jednego języka, narzecza te różniły się z sobą słownictwem. Podstawy gramatyczne pozostawały te same. Dowiodło tego wyrobienie się w osadzie języka pośredniego dla porozumiewania się ogółu. Ten to dopiero język poznawali Anglicy.

Obeznani z językami plemion australskich twierdzili o wielkim podobieństwie języka tasmańskiego z australskimi; ci którzy znali ję-

---

(1) Bonwick: Daily life... str. 202.

yk mieszkańców wysp odleglejszych, np. Nowéj Kaledonii, to samo twierdzili o podobieństwie z kaledońskim. W każdym razie podobieństwo do australskich jest bardziéj stwierdzoném.

Poznając język tasmański Anglicy nie mieli na celu utrwalenie go przez pismo lub przez przechowanie pamiątek językowych, lecz względy czysto praktyczne. Nie zapisywali więc opowiadań, tylko oddzielne słowa; nie układali tekstu tasmańskiego, tylko listy wyrazów, i to najczęściéj nie trzymając się jednych zasad przy transkrypcyi, lub nie uwzględniając różnic dyalektycznych. Kilka jest zbiorów wyrazów. Nawet jeden (Dr. Milligana) zawiera ich dwa tysiące. Jednakże wskutek wadliwéj metody zbierania materyał ten językowy pozostał nieobrobionym i dotychczas jeszcze dla językoznawstwa ogólnego niewyzyskanym.

Różnicę dyalektowową a zarazem sprzeczności powstałe ze sposobu zbierania wykażą następne przykłady:

Słońce oznaczał we wschodniéj części wyspy wyraz *pugganoobra-nah*; w zachodniéj—*panubrynah*; w południowéj—*pallanubranah*. To według jednego zbieracza (Milligana). Inny podaje: *pnggalena*; jeszcze inny: *loina*, *paganooboya*; Labillardière: *panubere*.

Księżyc na wschodzie brzmiał: *wiggitena*, na południu: *weetah*—według jednego; tymczasem drudzy podają: *ooeta*, *weedina*, *luina*, *wena*, *betana*, *webba*.

Słowo *przychodzić*: na wschodzie—*talpeyawadeno*; na południu—*tutta watta*, według jednego; inni podają: *tarrabilgie*, *togannera*, *tial leh*, *tepera*, *ganemora*.

Oto są niektóre zdania:

Lona tyennabeah mito—podaje mi kamień.

Umgamlea nangeena—gdzie jest ojciec.

Lowanna olle tubbrana—kobieta plecie kosz.

Malongeebeah—dziecię jest małe.

Kalungunya tagumena liyetitta—łabędź pływa po wodzie.

Tagantyaryak—on jest zły człowiek (*).

Jako dowód rzeczowy i bezpośredni zarazem istnienia Tasmańczyków, pozostalo kilkadziesiąt (54) czaszek i kilka (6) szkieletów (**). Jako dowód pośredni—kilkanaście rysunków i fotografii, przedstawiających postacie Tasmańczyków i kilka ulepionych z gliny ich po-

(*) Bonwick: Daily life.. str. 162, 164.

(**) Cztery szkielety i największa ilość czaszek znajduje się w zbiorach angielskich (26). Paryż posiada 9; Berlin, Wiedeń i Wrocław po jednéj, Hobart-Town—16 czaszek i dwa szkielety.

piersi (1). Taka spuścizna stać się może przedmiotem badań antropologa. Jakoż tylko w antropologii opisowéj, częściéj niż w innych naukach tyczących się człowieka, spotykamy nazwę tego ludu znikłego, w antropologii więcéj niż w innych dziełach znajdujemy jemu poświęconych kart. Tylko więc antropologia może odkryć nam miejsce tego ludu wśród rodziny ludzkiéj.

Ludy oceanijskie przedstawiają obecnie cztery odrębne typy. Są to australczycy, polinezyjczycy, papuowie, negryci. Z każdym z typów Tasmańczycy mieli coś wspólnego, ale zarazem przedstawiali takie cechy, które ich od niego oddalały. I tak. Pomiary czaszek wykazały, że Tasmańczycy byli długawogłowi (subdolichocefale 76, 11—78, 88); ściany skroniowe prawie prostopadłe; pośrodku sklepienia czołowego wzniesienie łódkowate; prognatyzm nie większy jak u europejczyków. Australczycy i papuowie są długogłowi (dolichocefale). Negryci—krótkawogłowi (subrachycefale). Tylko polinezyjczycy są również jak Tasmańczycy długawogłowi (76, 30); a nadto, ich czaszki przedstawiają również wzniesienie łódkowate pośrodku sklepienia czołowego, aczkolwiek znacznie mniejsze. Tak więc ustrój głowy zbliża Tasmańczyków bardziéj do polinezyjskiego typu niż do innych oceanijskich. Lecz za to oddala ich od typu polinezyjskiego barwa cery i uwłosienie.

Tasmańczycy byli bardzo ciemni; cera ich brunatno-czarna przedstawiała odcień kasztanów lub czekolady. Włosy mieli czarne, kędzierzawe. Rosły one krzaczysto, jakby pęczkami i zwijały się w długie sploty. Zarost u mężczyzn był silny; wąsy tylko stosunkowo do brody, lub bokobrodów były nie wielkie i nikłe. Co témbardziéj uwydatniało grubą i nad dolną znacznie wystającą wargę górną. Kobietom na starość rosły bokobrody. Cera przeto a zwłaszcza sposób rośnięcia włosów, zbliża ich do papuów i negrytów.

Od najbliższych sąsiadów, Australczyków, z którymi często pod względem intelektualnym a nawet powierzchowności porównywują Tasmańczyków, oddalały ich oprócz ustroju głowy, jeszcze cera skóry, u tamtych jaśniejsza zwykle, i włosy. Australczycy mają włosy prosto, równo i gładko rosnące.

Oczy Tasmańczyków czarne, wielkie, horyzontalnie a głęboko pod sklepieniem czaszkowym osadzone, okolone bujnemi, w lekki łuk zagiętemi brwiami, opatrzone długiemi rzęsami, były ruchliwe, ożywione, wyrażały wszelkie uczucia i gwałtowne ich zmiany a dobrze ku nim usposabiały obcych. Czoła mieli prawie prostopadłe

---

(1) Najbardziéj rozpowszechnione przez sztukę europejską są postacie: Truganiny, jéj męża, Unreddego, Manalagany i Wil. Lannego.

i dość wysokie. Tylko w wielkich puklach lub kędziorach spadające na nie włosy, zasłaniały je i nadawały całéj postaci, zresztą proporcionalnéj, lekkiéj i zwinnéj, charakter dzikości. Rozwój czaszki objętością przewyższającéj nie tylko czaszki australczyków ale wszystkich czarnych, nawet na wyższym stopniu cywilizacyi od nich stojących, wskazuje uzdolnienie *in potentia*.

Na podstawie tych danych Antropologowie uważają Tasmańczyków za osobną rasę, czystą, niezmieszaną, która do końca swego istnienia czystość krwi przechowywała w zupełności (1).

Z wygaśnięciem ich znikł piąty typ ludności oceanijskiéj.

---

(1) Quatrefages, Hommes fossiles et hommes sauvages, str. 313. Cf. P. Topinard: l'Anthropologie, 516—518.

Ign. Radtiński.





Z POEMATU
„KNIAZIOWIE ROŻYŃSCY.“

VII.
Widmo przeszłości.

Trzeci dzień dzwony kamienieckiéj fary
Łzy swe spiżowe bezustanku ronią;
Wtórzą im wszystkich wież żałobne gwary,
Echa daleko w okolicę gonią,
W rozdźwięku gubiąc się miękkim, łagodnym,
Het, za Smotryczem, co nurty przelewa
Wśród skał spienione. Na jasnym, pogodnym
Błękicie niebios, kir z baszty powiewa.
Razwraz zamkowych posadami dzielnic
Salwa dział wstrząsa, dawana ze strzelnic.

A już i smętne zdala słychać chóry;
Wyruszył z fary korowód ponury
I wolnym krokiem do zamku się zbliża.
Słońce się rzuca wprost w ramiona krzyża,
Co długie rzędy wiedzie księży, bractwa,
Szlachty, rycerzy i drużyn cechowych.
Zewsząd się ciśnie do mar tłum biedactwa,
Rohatynami pachołków grodowych
Powstrzymywany. Blaski i bogactwa
W obliczu śmierci nawet, swych niezdrowych
Nie tracą ponęt, żądzy nie osłabią
Ludzkiéj — z mar jeszcze oko kuszą, wabią.

Pawie obsiadły mur zamku i wrzaskiem
Przedrzeźniać zdają się dzwony i działa —

Może je korci, z takim hukiem, blaskiem
Pośmiertna dzisiaj oddawana chwała
Temu, którego zajęciem jedynem
W ostatkach było ciężkiego żywota,
Drażnić je ciągle swoim karmazynem?
A może górę dziś wzięła tęsknota
Nad pychą — ptaki z żalu się zanoszą,
Że kir tu zamiast karmazynu wnoszą?

Orszak w dziedziniec wkroczył, kędy stągwie
Płoną ze smołą i żagwie na szczapach.
Widać we środek wziętą przez chorągwie
Trumnę, przed którą konie w ciężkich kapach
Po ziemię, wiodą śpieszeni giermkowie;
Za trumną postać niewieścia, odziana
Żałobą, w kwefie, co spięty na głowie
Do ziemi spływa, boleścią złamana
Cichą, znać ciężkiéj doświadcza dziś próby.
A daléj rycerz, klejnot dźwiga rodu,
Który dziś z jego rąk dziejów cheruby
Wezmą w niebiosy, imieniem narodu,
Gdyż zmarły, lubo znak swój stary wsławił,
Jednak dziedzica dlań nie pozostawił....

Ośmackim cugiem dobranych drygantów (1)
Pan wojewoda na zamek przybywa
Po raz ostatni; śmiertelnych kurantów
Odzew z wież jemu to teraz wygrywa.
Ze złotolitych całun amarantów
Trumnę i rydwan wspaniały pokrywa,
Co się zatrzymał przed kapliczną broną,
Mroczną, bezdenną, jak wieczności łono.

Kaplicę zaduch napełnia, gryzący
Swąd spalonego wosku i jałowca;
W pośrodku licznych rzędów świec stojący
Tapczan, na czarném dnie swego pokrowca
Cały upstrzony jest w śmierci znamiona,
W czaszki, co zęby szczerząc nad klepsydrą,
Zdają się dumać nad tém, kto dziś skona,
Przemyślać, rychło życiu łup znów wydrą;

(1) Drygant, ogier szlachetny.

A teraz, kiedy ustawiono trumnę,
Z zadowoleniem zdają się uśmiéchać
I na obecnych oczy swe rozumne
Zwracać z pytaniem: „Cóż tam zresztą słychać
„Panowie bracia? senatory dumne?
„Długo tam jeszcze waszmościowie wzdychać
„Dacie nam, sami słoneczkiem pieszczeni?
„Ach! ach! ach! mróz nas przenika do rdzeni!..“

Obrzęd żałobny odbywa się daléj
Z okazałością wielką i powagą;
Kapłani psalmy wszystkie odśpiewali,
Rycerz u trumny skruszył klingę nagą,
Znak téż herbowy na tarczy już starty—
W dziedzińcu dziwnie chorągwie szeleszczą,
Konie prychają, grób czując otwarty,
Od ryku armat węgły baszt aż trzeszczą,
Dzwony ochrypły, spór wiodąc zażarty,
Sieroty pawie coraz głośniéj wrzeszczą,
Jakby wiedziały, że w kaplicznym lochu
Złożono właśnie pana — proch do prochu!...

* * *

Ach, jakże zimna jest taka wspaniałość!
Łza ją przeważy jedna — cicha, rzewna...
Jak zbladła przy niéj, jeśli była, żałość
Ludzka — jak dziwnie weselu pokrewna
Żałoba taka, pełna zgiełku, tęczy!...
Ucichło wszystko; — w posępnéj otchłani
Kaplicy, jedna tylko postać klęczy
U owéj mrocznéj a głuchéj przystani,
Do któréj właśnie nieboszczyk zawinął
Po srogich burzach długiego żywota.
Pan wojewoda w młodszych latach słynął
Równie z rycerskiéj fantazyi, z brzeszczota,
Jak i z rozumu statysty, nad innych —
A umiał godzić z krewkości szaleństwy
Dzieła, co rzymskich senatorów słynnych
Zawstydzić mogły. Tak więc dostojeństwy
Obsypan, z gniazda pan fortuny znacznéj,
Na ziem podolskich pierwszym się urzędzie
Znalazł niebawem; pozór dawał baczny

Na ten próg kraju, o który w rozpędzie
Pierwszym, straszliwą uderzał nawałą
Srogi bisurman. Przez ćwierć wieku prawie
Urząd ten pełnił z pożytkiem i chwałą;
Jakoż nietylko domowe bezprawie
Gięło się przed nim: wojewody imię
Poznano dobrze i w Rzymie i w Krymie.

Możny pan jednak nie zaznał tu miru —
Ogół w nim pychę widział niepomierną;
Syn mu jedyny nikł, do monasteru
Wstąpił i wkrótce Bogu duszę wierną
Oddał w młodości. Za nim rychło poszła
Jejmość — zostały dwie córki sieroty:
Młodsza, Wasylia, lat prawie nie doszła,
Kiedy z ojcowskiéj wydarł ją pieszczoty
Hymen okrutnik — biedną! wydarł na to,
By z niéj w rok późniéj Tatarom dać brankę...
Sędziwy ojciec, już nad tą się stratą
Nie mógł pocieszyć. Szklankę i hulankę
Precz wyrugował, nikogo nie prosił
Na zamek, kędy wrzało dawniéj życie —
Całemi dniami swe pawie komosił, (1)
Które sam z ręki zwykł karmić obficie
Gdy się nad niemi dość już nawynosił.
Dniami zamykał się, mówiono: skrycie
Układa plany wielkie, o koronie
Marzy, i z przyszłą elekcyą wystąpi;
Teraz już nawet zasiada na tronie
W swéj zegarowéj sali, a tak skąpi
Gościnnych progów młodszéj swojéj braci,
By jéj już teraz z przyszłym majestatem
Nie spoufalić... Co prawda, z postaci
Nikt go nie widział dawno; całym światem
Był dlań ów zamek na skale, wyniosły.
W radzie królewskiéj nie brał też udziału;
W chórku, za kratą, jak mnich badał posły
W sprawach publicznych. Słowem, w mocy szału
Czy też obłędu dni trawił ostatek,
W uczuciach wystygł, w umyśle zdziecinniał;

(1) Komosić, rozbestwiać.

Ogół mu nadał miano „majestatek“ –
Ni wiek go, ani los nie uniewinniał.

Spytacie: jak więc zadaniu mógł sprostać?
Strzedz kresów, w które wciąż wróg bił potężny?
O! na tak ważnym nigdyby się ostać
Nie mógł urzędzie starzec niedołężny,
Gdyby nie dziwny zaiste przypadek.
Na wschodnich kresach Rzeczypospolitéj
Tak tajemniczych jeszcze i zagadek
Pełnych naówczas — w krainie zakrytéj
Nieledwie całkiem jeszcze oczom świata,
Rzeczy do wiary prawie niepodobne,
Kryjome, działy się już długie lata...
Potencya nowa jakaś i osobne
Jakieś rycerstwo, nieznanego znaku,
Urosły nagle na Dnieprowym niżu;
One straż teraz dzierżyły na szlaku
Czarnym i innych; a tak wielka w krzyżu
Była ich ufność i siła i męstwo,
Że Ruś nieszczęsna odetchnęła nieco,
Jakby odwieczne już teraz przekleństwo
Bóg zdjął z téj ziemi, kędy czaszki świecą
Wśród grzędy kwiatów -- powstrzymał się z karą,
Przebłagan owych rycerzy ofiarą.
Nikt tajemniczéj téj dotąd potęgi
Zbadać nie zdołał, choć rozgłos jéj czynów
Nietylko w bliższe Naddnieprzu okręgi,
Nietylko echem pod niskie Rusinów
Zabiegał strzechy, lecz szedł coraz daléj,
Tak, że dziś Stany i sam król jegomość
Już owych wieści błogich zaznawali.
Ciągle téż nieśli do kraju wiadomość
O tém kryjomém rycerstwie, z jasyru
Dzielnością jego wyzwoleni brańce;
Krótko: Podole zażywało miru
Jak nigdy przedtém; łupieżczy pohańce,
Rwani na stepie, poniechali żéru
Za Bohem, Dniestrem; stare zamków szańce
Zwolna zmieniły się w ogrody strojne —
Miał wojewoda władanie spokojne!

W smutku, nieszczęściu, starości, chorobie,
Córka mu starsza jedyną podporą
Była i ulgą; lecz i ta w żałobie
Życie trawiła, jedną prawie porą
Z ojcem, doznawszy zabójczego ciosu,
Który nazawsze serce jéj zakrwawił.
Czy z wyższéj woli, czy zrządzeniem losu,
Jéj narzeczony, co się był już wsławił
Cnotą rycerską w wojewódzkich znakach,
Choć młody jeszcze kawaler — wśród zwiadów
Z chorągwią swoją na tatarskich szlakach
Bez wieści zginął. Odtąd nawet śladów,
Jakiemi wojna każdy krok swój znaczy —
Rycerza ani owego pogromu
Nie odszukano. Po pierwszéj rozpaczy,
Wojewodzanka łzy już tylko w domu
Zbierała ciche, a lubo lat szereg
Długi od czasu straty téj upłynął
I marzył jéj się cichy monasterek —
Przecież niepewność, czy żyje, czy zginął
Ścibor, nadzieja, że może powrócić,
Powstrzymywały ją w postanowieniu.
Czuła téż, że jéj nie wolno porzucić
Rodzica swego, który w otoczeniu
Całém przyjaznéj nie miał duszy jednéj,
A z dniem jéj każdym potrzebował więcéj.
Śmierć jego była poniekąd dla biednéj
Z mąk wyzwoleniem, bo lubo dziecęcéj
Zdziwaczałemu, choremu starcowi,
Wcale miłości nie szczędziła, troski,
Nikt przecież czyśca tego nie wysłowi,
Jaki z nim przeszła, znosząc wyrok boski
Z całem poddaniem i czołem pogodném.
A teraz, kiedy jéj zabrakło oto
Téj męki, sercem władnęła swobodném —
Teraz już zgoła samotną sierotą
Na wielkim uczuć się musiała świecie,
Błędnym pielgrzymem wśród tego manowca,
Co taki ludny, a tak głuchy przecie
Jest dla sieroty, jak wnętrze grobowca,
Nad którym, kiedy już umilkła pycha
Owa pośmiertna i gwary cerkiewne,

Klęczała, dłonie załamawszy, cicha,
Łzy jeno roniąc obfite a rzewne.

Bóg jeden widzi te łzy... ha! i drugi
Ów człowiek jakiś smutnego oblicza,
Co zda się przylgnął ciałem do framugi
Bocznéj kaplicy, która mu użycza
Niewidzialności głębią swego wnęku.
Z postaci, stroju, mógłby być pielgrzymem...
Strudzoną głowę opiera na ręku
I w jałowcowym mroczną jeszcze dymem
Przestrzeń kaplicy zagłębia spojrzenie,
Jednéj nie tracąc łzy z tych, co płynęły
Z oczu klęczącéj sieroty niebogi.
Jednego ruchu rąk jéj, co się gięły
Boleścią, grobu obejmując progi,
W nadziei może, że u zimnych głazów
Da się coś jeszcze wybłagać, wyżebrać,
Cofnąć moc jeszcze niebieskich rozkazów....
Pielgrzym się wstrząśnie czasem, jakby zebrać
Siły chciał, wolę, na coś się odważyć,
Od czego jednak wstrzymuje go zawsze
Przemagający rozmysł; — to znów marzyć
Zda się spokojnie, oczy wtedy łzawsze
Wznosi do krzyża, co lampy wieczystéj
Oblany światłem, do swéj aureoli
Przyjmuje chętnie każde piersi czystéj
Westchnienie — echo każde ludzkiéj doli.

Wojewodzanka widocznie, biedactwo,
Rozstać nie może się z grobowca progiem.
Widząc swe smutne na świecie tułactwo,
Długo się z sercem naradza i z Bogiem;
Szeptem, co raczéj jest głośném wzruszeniem,
Rozmawia z duszą. Człowiek nieznajomy
Słysząc to, jeszcze stanniéj się cieniem
Otulił teraz, sam jak cień znikomy —
Powstrzymał oddech, wzrok i słuch wytężył
I te z jéj szeptu mógł pochwycić słowa:
„Młodość i serce los mi już zmitrężył,
„Dusza przynajmniéj czysta się zachowa
„Dla światła Twego, zbawco mój i Boże!

„Wolnoż mi jeszcze mieć nadzieję? czekać?
„Gdzież mi ostoja, jeśli nie w klasztorze?
„Mamże Cię kusić, Panie, dłużéj zwlekać?
„Ach, sama! sama! na takie przestworze!
„Dokądbym indziéj miała iść, uciekać?
„Gdy tego sam już czas nie przeinaczył,
„Niech mi się ziści, Panie, coś przeznacył!

„Dawno ja z świeckich tęsknot i dziewczyny
„Marzeń obrana, mniszką prawą kroczę
„Przez smutne życie; krzyż mój cel jedyny!
„Cóż, że się jeszcze murami otoczę?
„Cóż że odprawię śluby, obłóczyny?
„Poświęcę chyba te marne warkocze,
„Te bielejące już umartwień sploty,
„Co nie zaznały tu nigdy pieszczoty.

„Jakby pod klątwą, ród mój nieszczęśliwy
„Zeszedł—grobowca jego stoję stróżka,
„O grób dla siebie troszcząc się godziwy...
„Ach, czemuż obok drogiego staruszka
„Rodzica, nie mam miejsca, przez Bóg żywy!—
„Więc się przytulę do Twego podnóżka
„Ojcze niebieski! wśród osamotnionych
„Murów, by drogich płakać zaginionych!

„Może łzy mniszki i rzewne westchnienia
„Nieszczęsnym moim, w jasyrze, przyniosą
„Pociechę, ulgę w trudach przeznaczenia;
„Niebieską może na dusze ich rosą
„Padną, łagodząc smutki i cierpienia.
„A to okupić mogę jedną kosą
„Méj biednéj głowy—taką ceną małą!..
„Wybór zrobiony, Boże!—Już się stało."

Powstała z kolan, spokojna i mocna
Postanowieniem, a z lica tak smętna,
Duchowa, jako godzina północna
W ludzkiéj postaci. Wśród rysów jéj, piętna
Dopatrzyć łatwo niezwykléj urody,
Jaką w swych młodszych lśnić musiała latach;
Starszą, zawiędłe czynią ją jagody,
Co jeszcze bardziéj przy żałobnych szatach

I smutnych oczach, zdają się woskowe,
Gdyż narcyz w licu jéj zastąpił różę.
Słuszna, wyniośle małą nosi głowę,
Gasnącym blaskiem płoną ciemne, duże
Oczy, a lśniące brunatne kosmyki
Bujnych jéj włosów, które nie wiek, ale
Troska w srebrzyste upstrzyła promyki,
Z pod kwefu biegną ku stopom, jak fale.
Szła ślepo; wzrok ją, dnia blaskiem wiedziony,
Pociągał ku drzwiom—lecz zaledwie kroków
Zrobiła kilka: „Chrystus pochwalony!“
Głos ją doleciał, co z kaplicznych zmroków
Zdał się wychodzić i na wskróś przenikał,
Jakby był echem starego grobowca—
A dziwnie z sercem sieroty się stykał.
Wojewodzanka, nie widząc wędrowca,
Nie oglądając się nawet w tę stronę,
Dłoń wyciągnęła ku niemu z jałmużną—
A głos się ozwał znów: „Świętą skarbonę
„Dzierżę ja, panno; któréj jesteś dłużną
„Nie tylko grosik ten srebrny, maleńki,
„Ale i dłoń tę, co mi go podaje...
„Szczególny, powiesz, żebrak!—żąda ręki
„Wojewodzanki, na rozległe kraje
„Słynnéj z dostatków, rodu!—O zaiste!
„Strasznyś waćpanna zrobiła dziś wybór...“

Ona nie patrzy, ale słucha. „Chryste!“
Krzyknęła nagle spojrzawszy nań—„Ścibor!“
I stoi niema, dłonie swe złożywszy
Jak do modlitwy; naprzód się pochyla
W nieznajomego błędny wzrok utkwiwszy,
A każda, każda mijająca chwila
Blaski roznieca w oczach jéj, szczęśliwszy
Wyraz w jéj licu, które już umila
Uśmiech tak błogi, jak na twarzy świętych
Odblask męczeńskich palm, w raju uszczkniętych.

A pielgrzym okiem płonącém, choć suchem,
W nią się wpatruje, wzruszeniem przybity:
I tylko głowy, ramion swoich ruchem
Zdradza, że człowiek jest, a nie spiż lity.
Ona też rzecze: „Jeśliś nie jest duchem,

„Do mnie wysłanym tu z wieczności skrytéj,
„Na pokuszenie, żem grobu w klasztorze,
„Chciała już szukać—to przemów, Ściborze!
„Dotąd ja tylko sercem cię poznaję,
„Najmilsze mojéj przeszłości jawisko!
„Zmysły zamroził czas; gdy lód ich staje,
„One też swoje poznają ognisko.
„Jakież tak długo więziły cię kraje?
„Losy?—zkąd nagle stanąłeś tak blisko
„Dawnéj... sieroty?—Widzę po krzyżyku,
„Żeś tu pątnikiem szedł, mój nieszczęśniku!
„Krzyżyk ten dałam ci ja dla ozdoby
„Rycerskiéj raczéj, by drogą husaryę
„Olśniewał chwałą—on zaś do żałoby
„Wiódł cię i całą przejść kazał Kalwaryę!
„Ach, bo i cóż tu dziś zastałeś? groby!
„Kir i sierotę!—Cóż? poznałeś Maryę,
„Którąś miłością darzył czystą, jawną,
„Którąś nazywał swoją—kiedyś! dawno!..“

Tu pielgrzym piersią przebraną wybuchnął:
„Nie znałbym ciebie, którą zwałem swoją?
„Takżeby łatwo więc czas urok zdmuchnął,
„Jakim anieli serca ludzkie stroją?
„Chybabym grobem już i trupem cuchnął—
„Lecz rany moje, przeciwnie, się goją,
„Gdy patrzę na cię, słyszę twój łagodny
„Głos—serca mego śnie ty nieodrodny!

„Więc najprzód stopy pozwól ucałować
„I szat twych rąbek do ust mi przycisnąć,
„Żeś potrafiła mnie dotąd zachować
„W pamięci, w sercu! Ileż to już prysnąć
„Związków w tym czasie mogło i szwankować
„Ślubów, najświętszych! Ach, nigdy mi błysnąć
„Nie śmiała nawet gwiazda miłosierna,
„Że ty pamiętasz o mnie, duszo wierna!

„Jednak—o Boże! Ty mnie słyszysz, jużci!—
„Myślą o tobie zbywałem terminy
„Owe czyścowe, co w jęctwa (1) czeluści

(1) Jęctwo, niewola.

„Rok wiekiem robią, a rokiem godziny;
„Tusząc, że jeśli Bóg kiedy odpuści
„Nieszczęśliwemu grzesznikowi winy,
„Ojczyznę ujrzeć da i swe kochanie,
„Jedno modlitwą twoją to się stanie!

„A toż i widzę, ile to z tych smutnych
„A szczerych oczu łez musiało spłynąć;
„Z piersi, w uczuciu dla mnie tak rozrzutnych,
„Ile się westchnień musiało wywinąć
„Przez długi szereg owych lat pokutnych,
„Co nigdy, zdało się, nie zechcą minąć,
„Gdy niespodzianka, równa świętym cudom,
„Kres położyła tęsknocie i trudom.

„Tę niespodziankę, jako pacierz wiernie
„Ja ci opowiem; lecz ty mi tymczasem
„Swoje, nieszczęsna, wbij też w serce ciernie...
„Poczekaj! —pójdę sam żałobnym lasem.
„W którym przepadłem, jak kamień w cysternie...
„Pamiętasz? z jaką otuchą, hałasem
„Szliśmy z Eustachym na podjazd ostatni,
„Ani złowrogiéj przypuszczając matni?..

„Zasadzka była w brodzie Jahorlika!—
„Co legł trup gęsty, to popłynął z wodą—
„Zduszeni, ośmiu ze stu, idziem w łyka.
„Na targi owe bezecne nas wiodą,
„Gdzie rozpacz ludzka kamienie przenika—
„Gdzie obok dziecka nieraz, brankę młodą
„Kupczą, a starzec włos rwie niedołężny...
„Kupił nas basza Bajrutu potężny.

„O ty aniele mój orędowniczy!
„Mógłżebym kiedy ujść szpon Antychrysta,
„Gdyby nie owe, których nikt nie zliczy
„Łzy twe i modły?—Jak lampa wieczysta
„Dusza twa płonie tu świętemi zniczy;
„A jako w Bogu duch z ducha korzysta,
„Tak mi zbawienie przyszło łez twych ceną,
„Jak sama uznasz to... Posłuchaj jeno!

VIII.

Marya i Amina.

„Z kniaziem Eustachym“—mówił pielgrzym, dłonie
„Złożywszy obie na swoim kosturze—
„Z kniaziem Eustachym, a w dość liczném gronie
„Druhów niedoli, zaniosły mnie burze
„Srogiego losu aż za morskie tonie.
„Com widział, przecież sto razy powtórzę:
„Cudny jest wielki świat—ale w tym cudzie
„Nic nie dorówna szaréj, polskiéj grudzie.

„I to powtórzę: że lubo ogromny
„Ten świat, w Wszechmocy niknie nieboraczek.
„Dziwna! że kiedym był w umyśle skromny,
„Życia nieświadom, zgoła jeszcze żaczek,
„Wtedy Bóg wielki tak mi był przytomny
„Jakby rówieśnik—a zaś ziemski maczek
„Zdał mi się górą; gdy dziś mi i morze
„Małe, a Ciebie nie ogarniam, Boże!...

„I to powtórzę: że wszędzie i wszędzie
„Napotkasz serca, co po ludzku biją;
„Że kwiaty znajdziesz i na Turka grzędzie.—
„Że się gadziny w pośród kwiatów wiją
„Jednako w świecie; że jeśli w tym względzie
„Ojczyzna zawsze najmilsza: niczyją
„Jest to zasługą, a jedno słodyczy
„Większéj serc bratnich, słodkich i w goryczy...

„Pan nasz, Saracen możny a dostojny,
„Dość ludzki nam się okazywał, jeńcom.
„W pracy pędziliśmy żywot spokojny,
„Już to w ogrodach piełąc, już też żeńcom
„W polu przewodząc. Wieczne tylko wojny
„Z tęsknotą, to nam biednym potępieńcom
„Przypominały, że się pasiem chlebem
„Niewoli.. Polska zdała się nam niebem!

„Ach, ileż razy, gdy słowik zakwili
„W zaciszny wieczór, my smutni, ubodzy,
„Pytamy siebie: Czy tam nasi mili

„Gruchają o nas? Czy jeszcze na wodzy
„Serca, oddane nam, dzierżą w téj chwili?—
„Miesiączek zeszedł, a my: Nasi drodzy
„Pewno nań patrzą także, a wzdychają—
„Bywało, serca się nam z żalu krają!—

„Rok pierwszy jęctwa wlókł się nam najdłużéj—
„Dni liczym... a tu z kraju ani echa!
„Pamiętam—kiedy z jesiennéj podróży
„Pierwsze tam boćki przyszły: płacz! uciecha!
„Łapią je w polu, szukają obróży
„Na szyjach—rzewna, święta nasza strzecha
„W duszy każdego staje jako żywa
„Z tym ptakiem swoim—boleść pierś rozrywa!

„Dopieroż, kiedy ten ów na zdrowiu
„Szwankować pocznie—dwóch śmierć nam wyrwała—
„Stwórco!—te dusze nasze, jak z ołowiu
„Ulane, same wypadały z ciała!
„Tęskność kamieniem gniotła nas w wezgłowiu,
„Tęskność cierniami łoże nasze słała,
„Z bratem gotowibyśmy staczać bitwy—
„Usta od świętéj odwykły modlitwy!...

„Ty płaczesz Maryo? ach, nie na to przecie
„Wróciłem do cię i powieść tę smętną
„Zacząłem, aby jak na minarecie
„Mołłah wyjący, lodem ścinać tętno.
„Czyż nie wylałaś dość już łez na świecie?
„Żeś tylko moich mąk była pamiętną!—
„Ukój się, droga! Wszak tam także bielsze
„Mieliśmy czasem chwile i weselsze.

„Bo kiedy miną czasy strasznéj próby,
„Bywało, dziwnie jesteśmy znów rzewni,
„Wiecznéj przyjaźni ponawiamy śluby,
„Wszyscyśmy sobie znów najbliżsi krewni;
„I jakby wyżéj nam urosły czuby
„Chodzim ni pawie, przyszłości swéj pewni—
„Sen nasz spokojny—ach, Boże kochany!
„Jakież to różne układamy plany!...

„Twojego serca wtedy miodem żyłem!
„Nic mi, że wróg się z łez moich natrząsa;

„Obrazem twoim łagodnie prześniłem
„Niejedną długą noc, choć w dzień mną wstrząsa
„Dreszcz, cień tęsknoty;—wspomnieniem twém miłem
„Rany goiły się, gdy mnie pokąsa
„Bywało rozpacz... A zawsze nademną
„Stał kniaź Eustachy, z pociechą wzajemną.

„Z kniaziem, uczciwém, rycerskiém się słowem
„Związałem zaraz w początku niedoli,
„Że gdy jednemu z nas, Bóg z ciałem zdrowem
„W miłe te strony powrócić dozwoli—
„To ten tak długo cieszyć się swém nowém
„Życiem nie będzie, nie spocznie, a z woli
„Własnéj z sandałów kurzu nie otrzepie
„I strzechy własnéj nad głową nie sklepie—

„Dopóki bratu drogiemu w jasyrze
„Pomocy nie da... A śluby te czyste
„Słyszał Bóg—spełnić więc trzeba je szczerze"...
Przerwie mu tutaj Marya: „O zaiste!
„Godneście bark swych wzięli na się krzyże,
„Wielkie wy dusze! Dajże wam, o Chryste,
„Do celu dobić. Z serdeczną ochotą
„Dla ślubu tego znów będę sierotą!"

I na kolana padła i gorące
Usta do jego przytulała dłoni—
A on jéj głowę wziął na piersi drżące
I pocałunek złożył na jéj skroni.
Światło, u stopy krzyża migocące
Zda się, że teraz tęcze same roni,
A zaś Król Męki ów, Ukrzyżowany,
Z błogim uśmiechem patrzy na swe rany...

„Bóg-że ci zapłać mój aniele za to!"
Rzecze znów Ścibor—„miałbym na sumieniu,
„Żem cię tą nową znękał jeszcze stratą,
„Zamiast oszczędzić. Lecz ukryty w cieniu
„Mrocznéj kaplicy, nad ową komnatą
„Wieczności, widząc cię w strasznėm zwątpieniu,
„Tęskniącą jeno za cichym klasztorem—
„Musiałem zejść cię—przeszłości upiorem!

„Poniechaj myśli o sieroctwie wszelkiéj,
„Duszo ty moja! Jest jeszcze Bóg w niebie!
„Ojciec litośny On równie, jak wielki,
„Co znaczy mądrze kres ludzkiéj potrzebie;
„Pieczy się powierz Świętéj Rodzicielki,
„A nawet na swych nadziei pogrzebie
„Otuchy doznasz od Matki Boleści..
„Słuchasz mnie, Maryo?—Wracam do powieści.

„Ano do owéj idę, z niespodzianek
„Najprzedziwniejszéj, którą mam zawdzięczyć
„Li modłom twoim... W każdy latem ranek,
„Gdy ledwie słońce zaczyna się wdzięczyć,
„Każą mi robić w ogrodzie sułtanek.
„Prawda, nie było tam nad czém się męczyć:
„Więc ścieżki omieść, opatrzyć poniki,
„Więc przystrzydz owe ich wirydarzyki.

„A śliczną pan nasz miał Czerkieskę, brankę.
„Tę, afekt ku mnie tak owładnął, zdrożny,
„Że mi na schadzkę znaczyła altankę;
„Gdym zaś jéj zamiar karcił, nieostrożny,
„To nawet z lica swój jaczmak (1), firankę,
„Którą im zwyczaj ich każe pobożny
„Nosić przed ludźmi, zrzucała przedemną,
„Wciąż mnie pokusą nękając daremną.

„Że była świeża, hoża, miła, gładka,
„W wielkiem ją basza miał też zachowaniu;
„Choć i to przyznać muszę, że jak matka
„O ludziach wszystkich, na owém wygnaniu
„Żyjących, dbała, i nieraz z ukradka
„Niosła im pomoc:—w noc lub na zaraniu
„Przez seraiku wązkie w oknach kratki
„Bywało, darzy naszych, dłonią matki...

„Lata mijają, a zapał jéj rośnie,
„Kiedy mnie, z żalem moim, ni do tanu,
„Ni do pieszczoty. Wciąż kusi miłośnie;
„„Pokochaj! zmykaj precz, do Lechistanu,
„„Z twą niewolnicą; a ona zazdrośnie

---

(1) Jaczmak, zasłona twarzy.

„„„Nie zajrzy pewno szczęścia swemu panu—
„„„Boć to uważam i czuję nareszcie,
„„„Żeś tam już jakiejś dał serce niewieście!“"‘

„A że przez pana pieszczona nad inne
„Była ta wdzięczna jego faworytka,
„Więc ją ostrzegam: Bacz, by zbyt uczynne
„Druchny, jakiego nie spłatały zbytka
„Przed baszą, tobie; bo lubo niewinne
„Nasze są schadzki, to jednak jak nitka
„Wątła jest łaska zazdrośnego Turka!—
„Ona w śmiech: „„Nie masz pono na mnie sznurka!

„„Dla ciebie zresztą chętnie oddam szyję,
.„Nigdy miłości się tėj nie wyrzecze
„„Serce me harde!' Jeśli mnie zabije,
„.„To cóż?“"—Ja widząc, że jėj nie wyleczę
„Strachem, przekładam: Wiesz ty, jeszcze czyje
„Życie w tėm? szczęście?—któż tego doeiecze,
„Czy Bóg mėj kiedy nie da kresu męce?
„„„To więc bywało płacze, składa ręce.

„„„Szczęśliwy—mówi—i błogosławiony
„„„Kwiat ten, nieznany mi, w ojczyznie twojėj,
„„„Kwiat, dla którego, choć w te zagnan strony
„„„Słowiczek serca, nigdy nie uznoi
„„„Kwilącėj piersi. Cóżem ja przy onėj
„„„Sułtance polskiėj? Czy was anioł poi
„„„Allaha jakim nieśmiertelnym zdrojem
„„„Że serc wam z czasem przybywa i znojem.“"

„Nieraz, gdy pora przyszła Ramazanu,
„Po którėm święcie u nich, jak w zapusty,
„Każdy używa uciech według stanu—
„Dopieroż dobrze w naszėj piersi pustėj
„Żal gra!—to ona swego teorbanu
„Już nie żałuje. My, bledsi od chusty,
„Pod jėj oknami, jak cienie występne,
„Chwytamy duszą jėj dumki posępne.

„Każde żal miało inny, lecz łzy wspólne—
„Litość też nieraz brała nad nią szczera,
„Gdyż dobre było stworzenie, potulne...
„Wtėm, do godności wyniesion wezyra

„Pan mój: „„Chcę dla niéj uświęcić trzytulne
„„Me dostojeństwo—rzecze;—niech wybiera
„„Między jeńcami, a którego wskaże,
„„Tego jéj oddam już wolnego w darze.“"

„Więc zgiełk i wielka wpośród naszych radość—
„A mnie coś tknęło, jakoby przeczucie
„Nieszczęścia... Wcale mi się owa bladość
„Twarzy baszyńskiéj i oczy berkucie
„Nie podobały. Ha! lecz trzeba zadość
„Uczynić woli baszy na Bajrucie—
„Idę więc, dziwnie coś w duszy stateczny,
„Jakby już sąd tam miał być stateczny!

„Wszyscy nieszczęśni stajemy szeregiem,
„A w każdym serce jako młot kołace;—
„Inni już myślą zyskać coś wybiegiem,
„Twarz układają z oczu miotą race...
„Ach, trzeba było widzieć ją, ze śniegiem
„Jednéj białości, kiedy się pałace
„Rozwarły wreszcie i krokiem słabnącym
„Szła wolno ku nam, w milczeniu stojącym.

„Basza i cały dwór stanął w półkolu,
„A cisza była jak w wigilią gromu;—
„Widzę, że biedna słaniając się z bólu,
„Wprost na mnie idzie, z lęku czy ze sromu
„Głowę w dół spuszcza;—widzę, baszę w wolu
„Ponieważ zadławia—ach, więc jużem w domu—
„Myślę, gdy ona dotknęła mnie w ramię
„Szepcąc: „„I dzisiaj me serce nie skłamie!“"

„Nikt w baszy zmiany nie dostrzegł wyrazu,
„Gdym ja już wiedział, że tu grom uderzy!
„Odgadłem jego zamiary odrazu—
„Widzę, jak okiem w nią, by grotem mierzy.
„Więc szeptem błagam: Poniechaj! żelazu
„Drogi nie wskazuj, co już ostrze szczerzy
„Na twoją głowę, nieszczęśnico biedna—
„Odstąp mnie! jeszcze się basza przejedna!

„Lecz ona daléj, głośno: „„Ten z czeladzi
„„Wiernością, statkiem, zasłużył na względy

„„,Między wszystkimi.—Niechaj cię prowadzi
„„,Ałłah nasz wielki w pokoju, tam, kędy
„„,Z całego serca będą tobie radzi:
„„Tam, gdzie z rodzinnéj czeka na cię grzędy
„„Kwiatek miłośny, w nagrodę stałości...‘“‘
„Mowiła, ale słaniała się z mdłości.

„Więc skoczą druhny, mnie téż towarzysze
„Obstąpią, szczęścia dzieląc się godziną—
„Kiedy w tém basza, co dotąd haszysze
„Ciągnął w milczeniu, weźmie głos: „„Amino!
„„,Żałuj, że widzę co widzę, i słyszę
„„,Co słyszę tutaj; samaś się z swą winą
„„Wydała teraz, o któréj ja jeszcze
„„,Wątpiłem dotąd. Toż los wam obwieszczę!...“‘‘

Powieść tę rzewne przerwało szlochanie—
Wojewodzanka łez nie może wstrzymać:
„Biedna! ach, biedna!“—woła—„przywiązanie
„Snać nie zna wiary, więc grzech się nadymać
„Nad tymi, w których się opamiętanie
„Nie budzi w Bogu i nie chcą się imać
„Znaku Golgoty, wrogami się głoszą
„Krzyża, jak branka owa, a Krzyż znoszą!

„Cóż się więc stało z wami, biedni, daléj?“—
Pielgrzym na piersi głowę zwiesił smutną.
Westchnął i mówił: „Wszyscyśmy słuchali,
„Jaki to wyrok będzie, a jak płótno
„Każdy był blady. Basza, znać na szali
„Zemsty grzech ważył, bom widział okrutną
„Złość w nim, gdy dobył jedwabnéj pętelki
„I zaczął: „„,Ałłah kerim! Bóg jest wielki!

„„Ty, sługo krzyża—tu do mnie się zwrócił—
„„Wytrwałeś, weźże téż słuszną nagrodę:
„„Masz wolność!—obyś co rychléj porzucił
„„,Tę kaźń i znalazł dom swój i wygodę!—
„„,Ty zaś słowiczku, coś fałszywie nucił—
„„,Rzecze wzrok topiąc groźny w niéj—na brodę
„„To ci przysięgam proroka, że śpiewu
„„Poniechasz swego w gromach mego gniewu.

„„Rodzaj ci kary daję do wyboru,
„„Bylem z niéj oczy napasł twoim trupem —
„„Może kąpieli we wnętrznościach woru
„„Chcesz użyć, rybek potém stać się łupem —
„„Albo daj białą szyję bez oporu,
„„Bo to najmniejszym jeszcze mąk okupem
„„Do celu ciebie zawiedzie, zdrajczyni!...““
„Nie skończył, a już katy stały przy niéj.

„Z lica nieszczęsnéj wraz zasłonę zdarto,
„Na śliczną szyję sznurek zadzierżgnięto —
„A ona stała z twarzyczką otwartą,
„Bez trwogi, żalu — zdawała się świętą.
„Ochotę widać miała nieprzepartą
„Umrzéć w obliczu mojém — wyciągniętą
„Podała sama szyję... Kto żyw, płacze!
„Zdziwieni nawet stanęli siepacze.

„Ja zaś tém zajściem, jak ukropem polan,
„Ledwie się zdzierżam, a godzę w zabójcze
„Spojrzenie baszy. Kilku mnie Podolan
„Wstrzymuje siłą. Ach, święty Ogrojcze!
„Kiedyż to nagle nie runę do kolan
„Baszyńskich, kiedy nie krzyknę w głos: Ojcze!
„Także wymierzasz ludziom sprawiedliwość?
„Wnet go minęła pierwsza zapalczywość.

„I rzecze, wyraz oblicza łagodząc:
„„Cóż masz, niewierny psie, na jéj obronę?““
„A ja, z żałości od zmysłów odchodząc:
„Mam wiele, baszo! boć wiesz sam, że one
„Afekta przeszły, nic tobie nie szkodząc.
„O! choćbyś dał mi z wolnością koronę
„Sułtańską, polską, to ci ją pod nogi
„Rzucę, gdy wyrok dasz spełnić tak srogi!

„Do żadnéj większéj nad innych zasługi
„W twéj służbie, panie, nie roszczę ja prawa,
„Cierpiałem równo, jako każdy drugi —
„Więc gdy mi wyrok twój najwyższą dawa
„Nagrodę: wolność — niechże tu krwi strugi
„Nie płyną, niechaj mi gołąbka krwawa

„Nie stoi w oczach, gdy pełnemi blaski
„Świecić mi będzie wolność z twojéj łaski.

„Jako łza czysta ona, a ty baszo
„Bądź téż i trochę dla niéj miłosierny!
„Stopy-m mu usty zmiótł... Tamci się straszą
„Śmiałemi słowy, które tak mizerny
„Wygłasza jeniec; lecz słowa te gaszą
„Gniew, zamiast jątrzyć — o! duch to twój, wierny
„Nieszczęściu memu, wyjednał przed Panem,
„Żem Saracena rozbroił — kolanem.

„Więc tedy Turczyn łbem długo kołysze,
„Aż rzecze w końcu: „„Bóg jest wielki! Lachu,
„„„Nad prawowierne masz ty moc derwisze
„„„W języku swoim. Niechże się na strachu
„„„Skończy tym — Ałłah niech wam wyrok pisze
„„„Obojgu: z życiem, i ją samą, gachu,
„„„Daję ci, całą... Cóż? stoisz jak głupi?
„„„„Nie chcesz jéj? Ha! ha! nikt już jéj nie kupi!..
„„„Wiedział ja dobrze, że taki ostatek
„„„Będzie jéj zdrady, jaki był początek —

„„„Wiedział ja dobrze, jaki w tobie statek
„„„Sługo Chrystusa, który niewiniątek
„„„Oszczędzać każe — jako jest ów kwiatek
„„„Haremu mego, co woni swéj szczątek
„„„Na upor niesie ci sercem przeklętem,
„„„Choć ty się odeń odwracasz ze wstrętem!“ “

„Boże! — krzyknęła Marya, łamiąc ręce —
„Teraz wiem, co to prawdziwe nieszczęście!“
On kończył powieść: „Jéj strasznéj się męce
„Przypatrywałem, zaciskając pięście
„W swéj nieradności. Myślę: ha! zakręcę
„Tak, że ją wezmę tutaj na osięście —
„I rad już myśli owéj, do niebogi
„Rzeknę: Amino! zbieraj się, czas drogi!
„Szmer się radosny ruszył wśród orszaku,
„Druhny szlochając do biednéj przypadną,
„Winszują: Użyj przy grzecznym Polaku
„Słodyczy wszelkiéj! — lecz ona na żadną
„Nie spojrzy nawet, a w fałdach jaczmaku

„Przebiera ręką i sięga aż na dno
„Stanika — szybko do ust coś poniosła —
„I jeszcze bardziéj stała się wyniosła.

„A jako była już przedtém wybladła,
„Kredą stanęła teraz — lecz uśmiechy
„Gorżkiemi zdradza, że myśl mą odgadła....
„„Już — rzekła — wszystkie zmazane są grzechy
„„Baszo!““— i w moje objęcia upadła
„Jęknąwszy: „„Téj mi ostatniéj pociechy
„„Nie odmów!““ Drgnąłem—dwór osłupiał wszystek,
„Każdy, sam basza nawet, drżał jak listek....

„Lecz jeszcze, tém się jéj do mnie tuleniem
„Draźnion, zawracał swe bielma jaszczurcze.
„Ja sam myślałem, że tylko omdleniem
„Nagłem się słania... Aż tu ją wnet kurcze
„Chwycą śmiertelne, oczy mgłą a cieniem
„Zachodzą całkiem; śliczne dzieło twórcze
„Dawcy żywota — widzę — w strasznych mękach,
„Jak się rozpada w proch, na moich rękach!

„Zastygł — wolności méj gołąb bieluchny!
„Basza precz poszedł, a my, smutni jeńce,
„I zachodzące się łkaniem jéj druhny
„Wzięliśmy biedne to ciało na ręce,
„Na kierkut nieśli — jéj świętemi próchny
„Zacny, jak cmentarz. W sercu, Bożéj męce
„Zleciłem duszę jasną, choć pogańską —
„Bo szczerą była męczennicą Pańską.

„Prawda, że powieść godna starych kronik?“
Umilkł — a tylko łzy ich teraz płyną....
Po chwili dodał: „Jest tam cichy ponik
„Fontany, który płacze nad Aminą
„I dniem i nocą. A oto podwonik,
„Alsztyn (1), z trucizny zieloną gadziną,
„Który z jéj ręki; już śmiercią stygnącéj,
„Nieznacznie przeszedł do méj dłoni drżącéj.“

To mówiąc, krymkę ukazywał małą,
Ni to amulet, z pociechą Koranu.

(1) Alsztyn, podwonik, orzeszek woniejący.

„Chowam go — rzecze — bo przezeń się stało
„Me wyzwolenie; więc niebios go Panu
„Złożę, by zmarłą obdarzył swą chwałą,
„Chrześciańskiego godną Ramazanu!
„Maryo! ty pacierz szepcesz? — O tak, droga,
„Módl ty się za nią do żywego Boga!

„Jakoś dotychczas niebieskiéj litości
„Wzywała dla mnie, tak odtąd, o miła
„Orędowniczko dusz, pomóż wdzięczności
„Dźwigać mi brzemię; aby téj mogiła,
„Co krwią świadectwo dała swéj miłości
„Nie była ciężką. Pomóż, bo jak zgniła
„Jest zbrodnia różna, jak występki blade,
„Tak zgnilszych nie masz nad niewdzięczność, zdradę!

„Moc twéj modlitwy wielka jest! Gdy tedy
„Moją z umysłu znasz już i z postaci
„Wybawicielkę, co z tak wielkiéj biedy
„Mnie i twych innych ratowała braci —
„Z któréj ja życia prawdziwie i schedy
„Wolność mam — módl się: niech jéj Bóg zapłaci!
„Módl się — boć właśnie na to moja powieść
„Była: by mocy twéj modlitwy dowieść!“

Bronisław Komorowski.





PRAWA FABRYCZNE
w Anglii,
dzieje walki o nie i ich owoce.

Największy nawet optymista przyznać musi, że w łonie każdego społeczeństwa toczy się nieustanna walka. Mniejszość, silna bogactwem, rozumem, a często i tradycyą dawno nabytéj potęgi, stara się zawładnąć większością. Usiłowania te zostają najczęściéj uwieńczone pomyślnym skutkiem, gdyż owa większość nie poczuwa się do swéj klasowéj odrębności, a przeto nie łączy się i nie solidaryzuje między sobą, a pozbawiona przysługujących pierwszéj przywilejów, łatwo podpada jéj władzy. Owszem skłonna jest nawet do uznawania dobrodziejstw oddzielnych jednostek, które łaskawiéj są dla niéj usposobione.

Liczba nic tu nie znaczy: tłum łatwiéj podzieli się na grupy i w rozbiciu da się poprowadzić tym lub owym przedstawicielom warstwy uprzywilejowanéj, niż dojdzie do samowiedzy swéj klasowéj odrębności i odpornego stanowiska w obec klasy panującéj. Historya ludów i władza nad nimi nielicznych zwykle klas uprzywilejowanych, wymownym prawdy téj jest dowodem. Klasa, dzierżąca w ręku władzę, stara się ulegalizować ją, utrwalić swoje przywileje, odjąć czynom wszelką cechę samowoli i dla tego nadaje im sankcyą prawną. Jest to chyba geneza wszystkich praw; samo istnienie prawa stanowi już dowód, że grupa ludzi, któréj przysługuje, zdobyła sobie przewagę nad innemi i stanowi potęgę, z którą się liczyć trzeba.

Podobne pojmowanie prawa jest w sprzeczności z dotychczasowemi na nie poglądami i, o ile wiem, zostało poraz pierwszy wypowiedziane w dziele młodego uczonego Gumplowicza (1), jako wy-

(1) „Grundriss der Sociologie.“ Wien, 1885. (Wcześniéj jeszcze w „Rechtsstaat und Socialismus.“ Innsbruck, 1881. *Przyp. red.*).

nik jego teoryi powstawania państw. Prawo uważane dotąd było jako jedno z najwyższych dobrodziejstw cywilizacyi, gwarantujące swobodę jednostki przed niesprawiedliwemi żądaniami jéj bliższego, lub dalszego otoczenia. Sądzę, że nikt zaprzeczyć nie może, iż prawo jest rzeczywiście wynikiem cywilizacyi, czy zaś jest ono dobrodziejstwem, czy klęską. o tém sądzić możemy tylko z jego skutków: kto przyznaje w historyi ludzkości działanie praw, że tak powiem— naturalnych, które, choć niezbadane dotąd, kierowały wszakże jéj rozwojem, ten faktów na dobre i złe klasyfikować nie może, dla tego będą one tylko koniecznemi.

Że jednak prawa są tylko uświęceniem raz zdobytéj przez jednostkę lub grupę ludzi przewagi, o tém przekonać nas może i to także, że klasy silniejsze, lub jednostki, cieszące się w społeczeństwie władzą, więcéj praw mają ku swojéj obronie, aniżeli słabsi, którymby się troskliwsza opieka prawa należała, gdyby zadaniem jego było ochronianie niezaradnych. I tak np. najwięcéj stosunkowo praw dąży do obrony własności, a więc tych, których samo już ich stanowisko w społeczeństwie i ów przywiléj własności silniejszymi od innych czyni. We wszystkich zaś krajach klasy t. zw. niższe znacznie późniéj otrzymały jakieś prawa i wtedy dopiéro, gdy wywalczyć je sobie potrafiły. To téż teorye utopistów, którzy chcieli i chcą z góry świat przerabiać i obdarzać ludzkość prawami, których ona nie wywalczyła, do których przeto przygotowaną nie jest, których utrzymać nie potrafi, pozostaną pewno na zawsze w krainie nieziszczonych marzeń.

Ta ogólna teorya z całą dokładnością zastosować się daje do praw, regulujących stosunek kapitału do pracy. Pierwszy, od czasu powstania i skoncentrowania się w niewielu rękach, ustanowił cały regulamin postępowania, aby zabezpieczyć się przed wygórowanemi żądaniami robotników, i zapewnić sobie ich czynny, wytrwały współudział w przedsiębiorstwie. Robotnicy w ostatnich dopiero czasach otrzymali pewne prawo i to nie wszędzie, tam tylko, gdzie, jak w Anglii, wywalczyć je sobie potrafili. Gdzieindziéj klasy zamożne i rządzące odmawiały im stale wszelkich praw na ich korzyść, wzbraniały się uznać ich za wyodrębnioną, a więc solidarną w swych żądaniach i potrzebach klasę, za stan czwarty. W téj jednak nierównéj walce robotnicy wykazali niezwykłe organizatorskie talenty, umiejętności zapominania o sobie, jako o jednostce, a popierania interesów klasowych, solidarność wielką i karność niemal bojową. Historya proletaryatu angielskiego i praw, jakie sobie zdobył, wszystkie te przymioty uwydatnia.

Prawa fabryczne są dowodem nietylko rozwoju kapitalizmu, czyli koncentracyi kapitału z jednéj strony, a powstania licznego proletaryatu z drugiéj, ale także stosunku potęgi dwóch niezbędnych w produkcyi czynników—kapitału i pracy. W Belgii np. kapitalizm rozwinięty jest już w całéj pełni, pomimo to prawa fabryczne nie istnieją, bo klasa robotnicza nie była zorganizowana i, gdy w zeszłym roku, parta okropnemi warunkami życia, wystąpiła przeciwko kapitałowi, żądania swe popierając krwawą łuną pożarów, domaga się o głosowanie powszechne, aby zdobyć jakikolwiek udział w konstytucyi kraju, która dotąd tylko dla klas możnych istniała. W Anglii, gdzie organizacya klasy roboczéj za wzór innym służyć może, stosunek kapitału do pracy ujęty już jest w karby całego szeregu praw i przepisów, które mają na względzie nietylko korzyść pierwszego, ale i zabezpieczenie bytu drugiéj. Nigdy jednak przy kapitalistycznéj produkcyi wszyscy robotnicy zajętymi nie są, i t. zw. armia rezerwowa nie jest niestety wymysłem Marxa, który tylokrotnie zaprzeczonym został, ale istniejącym faktem, jątrzącą się raną społeczną, któréj zdobyte dotychczas prawa usunąć nie potrafiły. Pomimo całego szeregu instytucyi i praw, jakiemi w Anglii klasa robocza byt swój możliwym uczynić się stara, w styczniu bieżącego roku było 60,000 robotników bez pracy. Wielu robotników ma zajęcie niewystarczające do utrzymania swego i rodziny. W ciągu r. 1884 przeszło $4\frac{1}{2}$ miliony ludzi otrzymywało zapomogi z kas dla biednych; rozdano im $1\frac{1}{2}$ miliona f. szt. (1). Trudno przypuścić, aby choć połowę téj liczby stanowili starcy i kaleki wobec tego, że biednych w domach przytułku w r. 1883 było 807, 680 czyli 3,5% całéj ludności (2). To téż w gazetach robotniczych angielskich spotykać się dają nieraz rozpaczne okrzyki upokorzonéj dumy i zadraśniętéj miłości własnéj robotników, którzy nie są już dziś bezmyślnym tłumem, lecz doskonale czują potrzeby swe i prawa (3).

Właściwe prawo fabryczne datuje się dopiero od naszego stulecia. Wszakże i przedtém istniała już cała sieć przepisów ku obronie różnych gałęzi przemysłu tak, że gdy w r. 1802 Pitt objął rządy, dla uproszczenia zawikłanego systemu celnego, znieść musiał około 3000 przepisów i praw różnego rodzaju. Już w 1381 r. rozpoczęto ograniczać prawo wwozu obcych towarów do Anglii na krajowe

---

(1) Patrz artykuł Fr. Engelsa „England—1848 u. 1880“ w *Neue Zeit*, listopad, 1885.

(2) Leone Leri. „Wages and earnings of the working classes“ 1885.

(3) I tak np. Commonweal (marzec 1886 r.) podaje wzruszającą skargę pewnego robotnika londyńskiego, ojca licznéj rodziny, który na opłacenie szkoły przyjmować musiał zapomogi. Szkoła w Anglii jest obowiązkową, ale płatną.

tylko okręty, co świadczy, że już wtedy Anglia nie zadawalniała się własnemi rynkami, lecz szukała handlu ze światem. Prawo to dopełniane ciągle zamieniło się nareszcie w r. 1651 w sławny akt nawigacyjny, który taki cios zadał handlowi Holandyi. Do brzegów Anglii przebijać mogły tylko okręty, stanowiące własność angielską, prowadzone przez Anglików i mające $^3/_4$ załogi angielskiéj. Towary z Afryki, Azyi, Ameryki mogły również być dowożone tylko bezpośrednio na okrętach angielskich. Dla zapewnienia wszelkich zysków handlowych Anglikom wyłącznie, zabroniono nienaturalizowanym cudzoziemcom zajmować się handlem w koloniach, dokąd europejskie towary tylko z Anglii sprowadzone być mogły. Nie można zaprzeczyć, że podobny system znakomicie się przyczynił do wytworzenia tego, co w zwykłym rozumieniu stanowi potęgę narodową; kapitały też rosły i zamożne klasy Anglii coraz możniejszemi się stawały. W obec szybkiego rozwoju przemysłu uregulowanie stosunku kapitału do pracy stawało się naglącą potrzebą. Stosunek ten rozwija się tu nieco odmiennie, niż w innych krajach. W Niemczech np. wolny pierwotnie kmieć stawał się z czasem poddanym, niektórzy z wolnych i poddanych przenosili się do miast, rozpoczynali pracę na własną rękę, uprawiali rzemiosła i kunszty wraz z czeladnikami i dla podtrzymania danego rzemiosła i pracowników w nim zajętych, tworzyli cechy. W Anglii poddaństwo znacznie wcześniéj zniesione zostało; chłopi nie posiadali własności, ale byli wolnymi dzierżawcami. Rzemiosła układały się w korporacye, ale właściwe cechy nie istniały tu wcale. Cały wszakże system przemysłowy aż do wprowadzenia maszyn w produkcyi, zowią cechowym. W ogóle instytucye, dążące do obrony jednych warstw ludności przed drugiemi nie miały powodzenia w Anglii (1): prawodawstwo dążyło do obrony całego narodu przed zagranicą, przez naród zaś rozumiało głównie klasy zamożne.

Ogólne prawodawstwo policyjne dla wolnych robotników rozpoczyna się w r. 1350, kiedy prawo powstrzymać się stara próżniactwo, wymagania wysokich płac, ogranicza potrzeby robotnika. Noszenie pewnych kolorów i tkanin było robotnikom surowo wzbronione, budżet ich domowy nie powinien był przekraczać oznaczonéj sumy. To też panowie, dający zbyt wysoką płacę, byli karani, w późniejszych zaś czasach karano nie przedsiębiorców, dających wysoką

(1) Jest to także przyczyna, dla któréj towarzystwa monopolowe mało było w Anglii protegowane. Pomimo to jednak potęga kapitału była tak wielką, że już w r. 1701 otrzymało przywiléj Towarzystwo oceanu południowego (zbankrutowało w r. 1720) i założona jeszcze w r. 1600 kompania wschodnio Indyjska.

zapłatę, ale robotników, którzy takową brać się ośmielali. Od roku 1562 płace regulują sądy pokoju, oznaczają także godziny pracy, jej podział i zbyt produktów na najbliższych rynkach. Dla przeszkodzenia zbytniemu napływowi robotników, którzy nie przebyli oznaczonych lat nauki, wydane zostało w r. 1562 przez królowę Elżbietę prawo, regulujące stosunki uczniów w każdém rzemiośle. Nie wolno było prowadzić żadnego rzemiosła nie przebywszy poprzednio 7-letniéj nauki. Majster na każdych 3 uczniów trzymać musiał jednego czeladnika. Czas pracy oznaczony był na 12 godzin. Prawo to jednak już w XVIII w. nie było ściśle wykonywaném i służyło nie za środek obrony, ale raczéj wyzyskiwania robotników przez drobnych majstrów, jak to np. miało miejsce w Birminghamie.

Drugi szereg tworzyły prawa o biednych (poor law). Już w roku 1376 karano żebraków, włóczących się po ulicach (1), biedni obowiązani byli mieszkać na miejscu swego urodzenia; utrzymywać ich musiała gmina. Za biednych zaś uważali się wszyscy niezdolni do pracy. To prawo wyrodziło drugie, zmienione dopiero w roku 1875, które wbrew brzmieniu *habeas corpus* ograniczało bardzo wolność osobistą klas niezamożnych. Rozróżniało ono 4 rodzaje robotników: 1) domową służbę, 2) uczniów, 3) wyrobników dziennych i 4) wyższych robotników (inspektorów, rządców i t. p.). Dla wszystkich tych rodzajów istniało prawo przymusu do pracy, polegającego nietylko na odmówieniu im wsparcia, lecz i czynném zmuszaniu ich do zajęcia. Prawu temu podlegali mężczyźni nieżonaci od 12 do 60 lat, żonaci do lat 30 i kobiety od 12 do 40 lat, nie mające środków utrzymania (2).

Jak widzimy ówczesne prawa, odnoszące się do stosunku kapitału i pracy, miały całkiem odmienny od dzisiejszych charakter. Szło im nie tyle o zabezpieczenie pracy przed kapitałem, ile o zapewnienie rozwoju pewnym gałęziom przemysłu, które robotnicy wyspecyalizowani uprawiać mieli. Przy wzrastającéj koncentracyi kapitału, posiadacze narzędzi pracy starali się uczynić pracowników zależnymi od siebie, określając wymagania, jakie robotnicy stawiać mogą, i wtłaczając cały ich tryb życia w ramy najodpowiedniejsze do swych celów. Prąd w tym kierunku odruchowo wywołać musiał pewien opór wśród robotników, zwłaszcza wśród już zajętych w danéj gałęzi pracy, którzy przebywszy lata nauki, więcéj byli od towarzyszów umysłowo rozwinięci i pragnęli byt swój zapewnić. Temu to przypisać należy ów szereg przepisów co do przyjmowania ucz-

---

(1) Held: Zwei Bücher der socialen Geschichte England's.

(2) Blackstone 1 księga — Prawo Elżbiety.

niów i czeladników w danêm rzemiośle, czasu pracy i płacy roboczéj, których określanie wskutek zatargów robotników z pracodawcami oddane zostało w ręce neutralnych pośredników. Prawodawstwo dążyło do zabezpieczenia losu tych robotników, którzy się raz już do przemysłu dostali, broniło ich od współzawodnictwa innych i wyzysku majstrów. Jednakże powstający wielki przemysł z prawem cechowém pogodzić się nie mógł; 7-letnia nauka dla wszystkich, roczne umowy, określanie zapłaty i godzin pracy, wszystko to ograniczało jego swobodę, za którą walczyli z jednéj strony ekonomiści wolnohandlowcy, z drugiéj fabrykańci. To téż coraz mniéj stosowano się do dawnych praw. Każda nowa maszyna wyrzucała na bruk setki robotników, nauka stała się już niepotrzebną od czasu, gdy robotnik był cząstką maszyny. Wielkie zwłaszcza niezadowolenie wzbudzało 7 lat nauki. W r. 1790 np. tkacze materyi jedwabnych z Coventry i Warwich podali petycyę o zmniejszenie czasu nauki; zresztą warunek ten był tak nieściśle wykonywany, że w Paisley na 800 uczniów tylko 4 miało prawidłowe patenty (1).

Wśród tego przewrotu zręczniejsi robotnicy dostawali się nieraz w szeregi pracodawców, lecz tak jedni jak drudzy czuli dobrze, że dawne prawa racyi bytu już miéć nie mogą. To téż robotnicy widząc, że maszyny są główną przyczyną złego, sprzeciwiali się wszelkiemi siłami ich wprowadzeniu. Przez całe sto lat widzimy toczącą się walkę: robotnicy zanoszą skargi na fabrykantów, naruszających ich prawa, ci odpowiadają im petycyami o zniesienie praw. Pierwsi łączą się w stowarzyszenia zrazu chwilowe, późniéj stałe, drudzy wszelkich usiłowań dokładają, aby istnienie ich uniemożliwić. Stowarzyszenia te starały się głównie o ograniczenie ilości uczniów do dawnéj normy i podwyższenie obniżonych płac roboczych.

Już w r. 1721 wybuchły niepokoje wpośród krawców londyńskich o podwyższenie płacy i skrócenie czasu roboczego (2). Między rokiem 1758 i 1799 podawali petycye mularze, pończosznicy, młynarze, robotnicy z fabryk wstążek i kopalni węgla (3).

Faktów podobnych możnaby nazbierać bardzo wiele, ale i wyżéj przytoczone mogą wystarczyć za dowód, że między prawodawcami i robotnikami wrzała zacięta walka, która przejawiała się nietylko w petycyach do parlamentu, ale także w niszczeniu i paleniu fabryk i maszyn. Już w r. 1780 i 1802 wybuchły niepokoje z powodu wprowadzenia maszyn. Od r. 1803 zaczyna się systematyczna opozycya przeciwko fabrykantom. Robotnicy, pomimo zakazu stowarzyszeń, tworzą rozległy związek, którego członkowie należą do

(1) Held: Zwei Bücher d. Socialen Gesch. England's. — (2) Tamże. — (3) Tamże.

dwóch głównych okręgów produkcyi wyrobów wełnianych. Utrzymuje on kasę pomocy, popiera interesy swych członków, a nawet przybiera groźną postawę, prześladując tych, co ze związku wystąpili (*snakes*) i urządzając bezrobocia. Za cel postawił on sobie utrzymanie przemysłu domowego i przeszkodzenie istnieniu fabryk (1). Opór robotników nic jednak dokazać nie mógł, w r. 1815 majstrowie osiągnęli zwycięstwo i łączenie się w stowarzyszenia znów zakazane zostało. Robotnicy pracujący w innych gałęziach, postępowali tak samo, zwykle nie osiągając żadnych dodatnich rezultatów. Płace spadały w zatrważający sposób, zarówno w fabrykach jak i w warsztatach rękodzielniczych. I tak np. tkacze bawełny przy pracy, trwającéj 15—16 godzin dziennie i więcéj zarabiali 7 do 9 szylingów tygodniowo. I oni też założyli stowarzyszenie. Do tkaczy z Lancashire przyłączyli się robotnicy szkoccy, którzy w ciągu lat 70 przyzwyczajeni byli do jednostajnych płac, teraz zaś otrzymywali 5 sz. tygodniowo i cierpieli straszną nędzę, bo każdy dzień groził im wyrzuceniem na bruk. Nędza wzrastała ciągle i w r. 1834 stała się publiczną klęską, gdyż z powodu łatwości roboty mnożyła się ciągle ilość tkaczów ręcznych. Irlandzcy robotnicy, których napływ i dziś tylokrotnie obniża płace i wtedy już silną stanowili konkurencyą. Podobnie opłakany stan trwał bardzo długo, gdyż maszyna powoli coraz bardziéj zdobywała tu pole.

Robotnicy walczyli zawzięcie przeciw nowemu porządkowi; nie mogli pojąć, że wprowadzenie maszyn jest olbrzymim krokiem na drodze postępu, że jest koniecznością dziejową, któréj tamy stawić niepodobna. Widzieli oni tylko, że dotychczasowe ich stanowisko jest zachwiane, że przy produkcyi maszynowéj nigdy jutra pewni nie będą, że schodzą do znaczenia siły roboczéj i pary rąk jedynie. Umiejętność ich nic tu nie znaczyła, ośmioletnie dzieci okazywały się niemal zdatniejszemi do obsługiwania maszyn od swych ojców, chociażby ci byli w pełni wieku męskiego i posiadali wszelkie niezbędne dawniéj kwalifikacye. Była to straszna ruina materyalna milionów, to też nic dziwnego, że wytworzyła rozpaczną walkę i że poród nowego porządku rzeczy, połączony z tylu cierpieniami, witany był przekleństwem. W Nottingham np., gdzie w r. 1811 maszyna pończosznicza odebrała chleb tysiącom, podpalano fabryki i niszczono maszyny (2). W r. 1810 powstał w Manchester, Manlesfield, Stanley-Bridge, Ashton-Hyde, Oldham, Bolton, Preston strejk 30 tysięcy ludzi, który trwał 4 miesiące (3).

(1) Report of the wollen manufacture, 1805 r. Cyt. u Helda.

(2) i (3) Fr. Bitzer: Arbeit u. Kapital, str. 33 i 34.

Nie zatrzymało to jednak biegu wypadków, praca dorosłych stawała się coraz mniéj potrzebną; zastępowała ją praca dzieci i kobiet. Pierwszych dostarczały w wielkiéj ilości parafie z pomiędzy biednych dzieci, utrzymywanych ich kosztem. Dzieci te oddawane w 7 roku życia, pracowały nierzadko po 18 do 20 godzin dziennie, aby póżniéj, gdy dorosną, być wyrzuconemi na bruk. Domy przytułku dopłacały jeszcze za utrzymanie swoich dzieci; był to więc dla fabrykantów świetny interes. Ale jakim był los małych pracowników, łatwo sobie wyobrazić. Held podaje przykład 3-letniego dziecka, które pracowalo w fabryce. Znane są dzieje kominiarczyków, którzy stali się z czasem dziecięciem ukochaném filantropii angielskiéj. Do téj pracy używano dzieci w wieku lat 4 lub 5, a gdy nie chciały iść w komin, kłuto je w pięty szpilkami. Dla obrony kominiarczyków zawiązało się w r. 1817 stowarzyszenie dam, którym zawdzięcza istnienie przepis, zabraniający używania dzieci do czyszczenia kominów. Z czasem oprócz domów przytułku, kontyngens małych pracowników rekrutować się począł zpośród rodzin robotniczych. Rodzice posélali do fabryk synów i córki, a sami trwali w uporze pracowania na warsztatach ręcznych. Zresztą walka z maszynami trwa tylko do r. 1826. Od tego czasu nie spotykamy usiłowań niszczenia maszyn; pozbawianie jednak robotników pracy trwa daléj. Były przykłady, że ojciec gotował i szył, a rodzinę utrzymywała praca matki i małoletnich dzieci (1). Początek naszego stulecia był czasem najgorszéj nędzy dla robotnika angielskiego. Wyrzucany na bruk setkami z wprowadzeniem każdego nowego wynalazku, opłacany skąpo jako siła robocza, która żadnéj umiejętności nie wymaga, znajdował się w bezprzykładnéj nędzy, w poniżeniu materyalném i moralném (2), pozbawiony zupełnie praw dawniéj przysługujących. W r. 1814 ze strony fabrykantów i robotników podawano prośby o zniesienie, lub reformę dawnych praw. Reformy żądało 300,000 głosów, zniesienia tylko 2,000, pomimo to prawa zniesiono (3), nowych zaś robotnicy nie zdążyli sobie jeszcze wywalczyć.

Coraz większa koncentracya kapitałów i powstawanie olbrzymiego proletaryatu, który nawet w innych, niż ludzie zamożni, zamieszkiwał dzielnicach (4), kopały co dzień głębszą przepaść po-

(1) O takim przykładzie opowiada Engels (Die Lage der arbeitenden Klassen in England, 1847).

(2) Czytelnika interesującego się tym bliżéj odesłać mogę do wyżéj cytowanego dzieła Engelsa, gdzie znajdzie on obrazy okropne, lecz prawdziwe.

(3) Lujo Brentano: D. Arbeitsverhätniss.

(4) W Londynie, Manchester, Leeds istniały oddzielne kwartały dla ludności robotniczéj. Tak np. w Manchester część robotnicza tak była odgraniczoną od reszty, że

między temi dwiema warstwami społeczeństwa, przekonywując robotników o ich klasowéj odrębności. Dawniéj, za czasów cechowych walczyły z sobą oddzielne specyalności; majstrowie na równi z robotnikami strzegli pilnie, aby nikt niepoświęcony rzemioslem ich zająć się nie mógł (1); teraz walka ta przybrała calkiem odmienny charakter. Specyalizacya w pracy doszła do wyższych jeszcze rozmiarów, ona to przyczynila się także do zniesienia praw cechowych, gdyż wszelkie prawie przygotowanie dla robotników stało się zbytecznėm. Tak było np. w zegarmistrzowstwie, pomimo że maszyny nie zostały do niego wprowadzone (2). Chociaż więc fabryki zawzięcie z sobą konkurowały, choć doprowadzały się wzajemnie do bankructwa, interesować to mogło tylko ich właścicieli, nie zaś robotników, którzy łatwo do innéj pracy przerzucić się mogli. Nic ich nie przywiązywało do danego fachu, ale za to między sobą tworzyli coraz bardziéj solidarną masę, bo każdemu z nich groziła codzień możliwość stoczenia się w szeregi armii rezerwowéj przemysłu, która stała bezsilna i bezradna wobec przygniatającego ją kapitału i musiała zamienić się w białych murzynów, lub wytworzyć drugą potęgę, z którą by się kapitał liczyć potrzebował.

Działalność związków robotniczych w Anglii określić można jako ciągłe dążenie do wytworzenia takiéj potęgi; usiłowania ich nie ustawały ani na chwilę i mają już swoję historyą, którą robotnicy angielscy słusznie poszczycić się mogą.

Już w r. 1815 agitacya, podniesiona przez Roberta Owena, pragnęła ograniczyć pracę dzieci. Trzydzieści lat trwała walka w tym kierunku, przybierając rozmaite postaci. Jak słusznie zauważył Leon Faucher, robotnicy w polityce Anglii aż do r. 1837 spełniali rolę podobną jak łucznicy w bitwach XIII i XIV w.; służyli oni po to, by zwycięskie staczać walki z opinią publiczną, którą burżuazya usiłowała przechylić na stronę swych żądań, byli użytecznym narzędziem w jéj ręku, ale niczém więcéj. To téż i reforma wyborcza 1832 r., choć przeprowadzona została tylko w interesie warstw ekonomicznie uprzywilejowanych, zawdzięcza swe urzeczywistnienie

---

nikt się jéj istnienia nie domyślał. W Londynie St. Giles leży wprawdzie wśród ludnych ulic, lecz jest to bezładna masa domów; wąskie ulice niepodobne są do reszty miasta. W roku 1840 w Westminster mieszkało 5366 rodzin, czyli 26830 indywiduów w 5294 mieszkaniach, składających się najczęściéj z jednéj izby. (Engels: Die Lage d. arb. Kl. in Engl.).

(1) Obok tego jednak miały miejsce i walki czeladzi z majstrami na podobieństwo dzisiejszéj walki pracy z kapitałem. Patrz L. Brentano „Arbeitergilden" i „Arbeitsverhältniss." (*Przyp. red.*).

(2) Held: Zwei Bücher d. s. G. Engl.

agitacyi robotników. Gdy jednak zreformowany parlament zamiast uwzględnić żądania robotników, mniéj przyjaźnie niż poprzednio, względem nich się zachowywał, utworzyli oni partyą oddzielną. W r. 1837 zawiązało się w Londynie stowarzyszenie, noszące skromne miano: Stowarzyszenia robotniczego. Ono to dało pierwszy impuls nowemu kierunkowi, stawiając sobie za zadanie wywalczenie prawa głosowania powszechnego. Dalszym celem, który stowarzyszeni rzadko wypowiadali, było przeobrażenie stosunków społecznych odpowiednio do interesów klasy robotniczéj. Tylko przedstawiciele téj klasy mogli być członkami stowarzyszenia, które wszelkiemi środkami starało się zakładać filie po prowincyach i zyskiwać nowych adeptów. Przyszło im to tém łatwiéj, że wobec kryzysu handlowego, podniesienia cen na zboże i pszenicę, nędza materyalna, a z nią i niezadowolenie wzrastały w zastraszający sposób. Gdy przy otwarciu pierwszéj sesyi parlamentu przez królową Wiktoryą, ostatecznie odrzucony został 501 głosami przeciwko 22 projekt reformy prawa wyborczego, partya robotnicza postanowiła działać energiczniéj i dążyć do przeprowadzenia billu t. zw. *Karty ludowéj*, która domagala się następujących zmian: 1) głosowanie powszechne dla mężczyzn, 2) roczne parlamenty, 3) głosowanie tajne, 4) zniesienie cenzum wyborczego, 5) dyety dla posłów i 6) równomierne okręgi wyborcze.

Od téj chwili rozpoczyna się potężny ruch Chartystów, który olbrzymie miał znaczenie w historyi proletaryatu angielskiego, a przytém tak mało jest u nas znany, że pozwolę tu sobie dłużéj się nad nim zatrzymać (1). Do wywołania samodzielnego ruchu wśród robotników, oprócz nędzy materyalnéj, przyczyniło się jeszcze przeświadczenie, że klasy rządzące i inteligentne nie mają bynajmniéj zamiaru zająć się ich losem. Dowodem tego była między innemi ogromna popularność, jaką zyskała sobie teorya Maltusa; z jednéj strony wywołała ona zniesienie prawa o biednych (*poor law*), a więc pozostawila jeszcze większą niż dawniéj, ilość ludzi bez chleba, z drugiéj dala powód do powstawania teoryi, skierowanych bezpośrednio do wytępienia jednostek z uboższéj klasy. Za dowód, do jakiego obłędu dochodzili ludzie w tym względzie, posłużyć może książka Marcusa (2), która do r. 1846 doczekała się już 4-ch wydań.

(1) Bliższe wiadomości o tym ruchu znaleść można w dziele Gammage'a, po części Carlyle'a, oraz w pracy Brentana „Die englische Chartistenbewegung" (Preussische Jahrbücher, 1874). To ostatnie służyło mi za źródło do powyższego streszczenia.

(2) On the possibility of limiting populousness, an Essay of populousness, to which is added the Theory of *painless* extinction. 1840.

Autor, wychodząc z teoryi Maltusa, podaje sposób bezbolesnego tępienia klasy uboższéj. Radzi on mianowicie, aby ludzie ubodzy mieli prawo wychowywać tylko po troje dzieci, zgładzając ze świata pozostałe potomstwo przy pomocy gazu zabójczego. W taki sam sposób uwolnić się mają także od $^1/_4$ części trzecich potomków. Żeby zaś matki nie oburzały się na los, jaki spotyka nadliczbowe niemowlęta, groby ich zamienione być miały na piękny ogród, którýby służył za miejsce przechadzki dla klas pracujących. Ta okrutna ironia dała doskonałą broń w rękę przywódcom ruchu. Posługiwali się też nią niejednokrotnie, jako klasycznym przykładem zapatrywań burżuazyi, dla spotęgowania nienawiści klasowéj.

Pomimo gorliwości, z jaką robotnicy londyńscy zabrali się do dzieła, ruch chartystów najwięcéj sił swych zawdzięczał udziałowi prowincyi, które dały inicyatywę do manifestacyi i tworzyły demokratyczne stowarzyszenia robotnicze. W okręgach fabrycznych w Lancashire, Yorkshire i Cheshire nie było ani jednego miasta, ani nawet wioski, któreby nie posiadały stowarzyszeń podobnych. Na czele ruchu stał Feargus O'Connor, dawny adwokat irlandzki, pochodzący z arystokratycznéj rodziny, duszą i ciałem oddany ruchowi, któremu z początku herkulesowe świadczył usługi, chociaż pod koniec sprzeniewierzył się i cofnął (1). Założone przez niego kółka polityczne wśród robotników odrazu oświadczyły swą solidarność z Kartą ludową; to samo uczyniło radykalne stowarzyszenie w Birmingham, na czele którego znajdowali się ludzie, zajmujący wybitne stanowisko społeczne, a radykalna partya północnéj Anglii i Szkocyi przyłączyła się także niebawem. Wzmógłszy się na siłach chartyści, obok dawnych swych żądań poczęli się domagać wprowadzenia 10-godzinnego dnia roboczego i przywrócenia prawa Elżbiety, tyczącego się biednych. Te ekonomiczne czynniki przyczyniły się do ugruntowania ruchu, który miał zrazu czysto polityczny charakter. Że jednak z czasem żądania polityczne poczęły być uważane tylko za środek do osiągnięcia bardzo określonych i naglących potrzeb ekonomicznych chwili, o tém przekonać się możemy, czytając przemówienia przywódców i artykuły organów partyi. I tak np. jeden z najczynniejszych przywódców, zapalony pastor-metodysta, Stephens, w mowie, jaką wypowiedział u bram Manchesteru, na Kersall Moor przed tłumem 200,000 ludzi powiada: „Chartyzm, moi przyjaciele, nie jest bynajmniéj polityczną kwestyą, dążącą do zapewnienia wam prawa głosu, ale jest to kwestya żołądka; urzeczy-

(1) On to wydawał najpopularniejszy organ Chartystów „Northern Star", mający 50,000 czytelników,

wistnić *kartę*, znaczy mieć dobre mieszkanie, obfity obiad i kolacyą, dostateczne dochody i krótki dzień roboczy" (1).

Chartyści podzielili się na dwie partye: jedna, na czele któréj stał O'Connor, chciała gwałtownych środków; druga, któréj przewodniczący Lowelt, robotnik, był najwięcéj dodatnią jednostką w całym ruchu, użyć chciała władzy opinii publicznéj. Obie jednak zgadzały się na to, że zacząć trzeba od środków pokojowych. Do parlamentu wysłać postanowiono petycyą z 3 milionami podpisów. Dla osiągnięcia takiéj liczby zwolenników przywódcy zwołali przeszło 100 zebrań, z których najmniejsze liczyło 30,000 uczestników, niektóre zaś były dziesięćkroć liczniejsze. W nocy i po deszczu nieraz, z wiosek, o kilka mil od miejsca naznaczonego odległych, przybiegali mężczyźni i kobiety z rewolucyjnemi chorągwiami w ręku, aby wziąć udział w zebraniu. Fabryki musiały niejednokrotnie odpoczywać, gdyż żaden robotnik się nie zjawiał. Rząd nie stawiał zrazu tamy tym manifestacyom; burżuazya wszakże pod wpływem obawy samodzielnie uorganizowała kluby dla obrony osób i własności, a nareszcie w listopadzie 1838 r. rząd zabronił liczniejszych schadzek przy blasku pochodni. Zakaz ten, a także i odrzucenie przez parlament petycyi, podpisanéj przez 1,280,000 rob., zapewniły wpływ petycyi, żądającéj gwałtownych środków. Odtąd akcya główna koncentruje się w Birminghamie, gdyż Londyn mniéj był rewolucyjny. W Birminghamie codziennie prawie dochodziło do krwawych potyczek z policyą, przy których palono domy zamożniejszych mieszkańców, robotnicy jednak nic sobie nie przywłaszczali, palili tylko kosztowniejsze sprzęty.

Aresztowanie przywódców, oraz 380 wybitniejszych jednostek z ruchu, ubezwładniło go prawie w r. 1840. Bezwladność ta wszakże była tylko pozorną. 20-go lipca tegoż roku powstało „narodowe stowarzyszenie chartystów Wielkiéj Brytanii", nadając ogólny charakter ruchowi, który dotąd był wszędzie lokalnym. Ogłoszone w r. 1841 nowe wybory do parlamentu, wskutek upadku ministeryum whigów, które tak wrogo do żądań robotniczych się odnosiło, dały powód do nowéj agitacyi i nowych nadziei. Jednakże większość właściwych wyborców nie należała do chartystów i żadnego też z téj partyi nie wybrano; natomiast przeszło kilku radykalnych, sprzyjających ruchowi. Narodowe stowarzyszenie chartystów W. Brytanii postanowiło sobie dążyć do celu tylko prawnemi środkami,

---

(1) Ciekawym jest fakt, że w ruchu znajdujemy mnóstwo duchownych, zwłaszcza z biednych parafii wiejskich, którzy naocznie przekonać się mogli o nędzy swych owieczek.

to też spróbowali poraz wtóry podać petycyą do parlamentu. Petycya ta do dawnych łączyła i nowe żądania, a mianowicie zerwania unii między Anglią i Irlandyą. Opatrzona była 3,300,000 podpisów i w długiéj uszeregowanéj procesyi podana do parlamentu 2-go maja 1842 roku (1). Odrzucono ją jednak przeważną większością głosów. To poddało robotnikom myśl zorganizowania ogólnego strejku tak zw. świętego miesiąca. Bezrobocie rozpoczęło się w Ashton, gdzie robotnicy zobowiązali się powrócić do pracy dopiéro po zatwierdzeniu Karty ludowéj. W Manchester i na 50 mil na około ustały wszelkie roboty; gdy to jednak nie pomagało, z północy coraz gorsze nadchodziły wiadomości, a nędza stawała się coraz więcéj dojmującą, zaczęto powoli powracać do roboty, nie dotrzymawszy przysięgi. Jednakże autorowie opisujący tę olbrzymią walkę proletaryatu angielskiego, a wśród nich Disraeli, przyznają jednogłośnie, iż zachowanie robotników w czasie tak ogólnego poruszenia umysłów najwyższy zaszczyt im przynosi i świadczy o dojrzałości umysłowéj i politycznéj. Tłum nie rabował nigdy, występował spokojnie i z godnością, a gdy wielka biéda i głód czuć się dawały, prosili o pomoc kogoś z bogatych i dziękowali nawet za małe datki. Naturalnie, że dużo przyczynilo się do tego i zachowanie rządu, który starał się legalnie postępować, zostawiał swobodę zebrań i działania, na każdy gwałt zaś odpowiadał gwałtem. Nieporozumienia między dowódcami na czas dłuższy osłabiły ruch chartystów; główna idea jednak miała wciąż zwolenników i z przejawami jéj spotykamy się znów w r. 1848. Podana wówczas petycya nie odniosła poraz trzeci żadnego skutku, a zapowiedziana olbrzymia manifestacya miliona robotników nie przyszła wcale do skutku. Przyczyną tego były ogromne przygotowania, jakie zrobił rząd dla odparcia robotników. 150,000 konstablów miało bronić Londynu, a naczelnik policyi uprzedził O'Connor'a, że rząd nie pozwoli na pochód. Naturalnie, od owego dnia wpływ ubóstwianego dotąd przywódcy zachwiał się zupełnie a wraz z jego upadkiem potworzyło się mnóstwo mniejszych i większych partyi, które przez lat parę jeszcze ruch podtrzymywały. Gdybyśmy ruch chartystów sądzić chcieli, zastosowując miarę wypływających z niego korzyści, uwzględnić by nam należało korzyści praktyczne, widoczne i wpływ niezaprzeczony, jaki na umysły proletaryatu angielskiego wywrzéć musiał taki szereg protestów samodzielnych, przeciwo istniejącemu porządkowi. Pomijając niewłaściwość podobnego miernika dla osądzenia objawu społecznego, gdy

(1) 16-stu ludzi niosło ją przez ulicę, ponieważ jednak była zbyt wielką, aby przejść przez bramę Izby niższéj, pocięto ją w kawały i położono na podłodze.

ekonomiczne stosunki i polityczne położenie proletaryatu angielskiego wytworzyć musiały, odruchowo chociażby, przeciwdziałanie, ujawniające się w buncie przeciwko dotychczasowemu położeniu, i sądząc go tylko z punktu użyteczności, przyznać należy, że wpływ ruchu chartystów był bardzo doniosły. Dał on robotnikowi angielskiemu poczucie odrębności klasowéj i wspólności interesów całego proletaryatu, ujawnił energią i zdolność wielu jednostek; które w innych warunkach nie byłyby świadomemi swoich sił, dał mu pojęcie o tém, co znaczy dążyć do określonego celu i wszystko inne dla celu tego poświęcać, zapominać o interesach chwili obecnéj dla przyszłości. A ruch ten miał tém większe znaczenie i wpływ, że robotnicy nie służyli tu za narzędzie żadnéj innéj klasie, nie ulegali nikomu, lecz samodzielnie odczuwali swe potrzeby i bronili praw niezaprzeczonych. Nie był on wywołanym z zewnątrz, jak to niejednokrotnie utrzymywano, dając za dowód, że do żadnych nie doprowadził rezultatów: o tém przekonać nas może zachowanie się robotników i wielka ilość przywódców ruchu z ich własnych szeregów. Z drugiéj strony burżuazya poznała, że ma do czynienia z potęgą nietylko liczebną, lecz że naprzeciw niéj stoi żywioł wyodrębniony, świadomy swéj siły i celów, dojrzały i zdolny do organizacyi, że przeto przez zrozumienie własnego interesu żądaniom jego ustępować nieraz powinna. Jednocześnie z Kartą ludową wystawione żądanie 10-godzinnego dnia roboczego zostało uwzględnione i stanowi dowód, potwierdzający teoryą, że prawa są tylko sankcyą zdobytéj już przewagi. Historya innych praw fabrycznych nie zaprzecza również temu wnioskowi.

I tak np. pierwsze prawo, regulujące pracę kobiet i dzieci, zdobyte zostało w następujący sposób: 1 lutego 1832 r. podało petycyą 10,000 robotników fabrycznych z Leeds, z takąż ilością podpisów, zebranych w Bradford i Huddersfield. W Glasgowie tkacze fabryczni zebrali w przeciągu jednego dnia około 7,000 podpisów; oprócz tego Sadler i lord Morpeth podali petycyą ze 130 i 138 tysiącami podpisów (1). Liczba miast, żądających ograniczenia pracy dzieci i kobiet, coraz się pomnażała. Czyż parlament, pamiętając o ruchu chartystów, mógł się oprzéć żądaniom popartym przez taką siłę, i czyż wobec tego twierdzenie, że prawa fabryczne nadane zostały z góry z celem uszczęśliwienia robotników nie wyda się paradoksem?

Prawo z r. 1860 ograniczające pracę w kopalniach podobną ma historyą: w Leeds, w listopadzie, i w Ashton, w maju, były zebrania ogólne, z których wysłano przedstawicieli do parlamentu. Umieli

(1) Ludlow i Jones: Die arbeitenden Klassen England's (str. 70).

oni tak dobrze bronić sprawy towarzyszy, że parlament ustąpił. Koszta wyniosły wprawdzie 900 f. szt., ale robotnicy dopięli swego celu (1). Prawa ograniczające robotę w kopalniach były także rezultatem długoletniéj agitacyi.

Przedewszystkiém zwrócono uwagę na pracę kobiét i dzieci, która przybierała coraz szersze rozmiary i ograniczoną być musiała, nie tylko dla szkodliwego wpływu na zdrowie i moralność młodego pokolenia, lecz także i dla położenia tamy wyrzucania na bruk coraz większych zastępów dorosłych mężczyzn. Zresztą blade twarzyczki dzieci tak małych, że nieledwie od piersi matki szły do fabryki, musiały wywołać protest ze strony każdego myślącego człowieka. Owen np. powiada, że pierwszy bill Peela w r. 1802 zastał w fabrykach Lancashire'u przeszło 5,000 dzieci, nie liczących lat 10-ciu (2). Żadne prawo w Anglii nie ma ogólnego charakteru, to téż i prawa ograniczające pracę kobiet i dzieci wydawano kolejno dla każdego rodzaju fabryk oddzielnie, co jest jednym więcéj dowodem, że prawa fabryczne były tylko potwierdzeniem faktycznych zdobyczy samychże robotników. W r. 1867 rozciągnięto je na cały wielki i drobny przemysł Anglii, Szkocyi i Irlandyi. Dziś praca kobiet i dzieci podlega całemu szeregowi ograniczeń. Nadzór nad wykonywaniem przepisów powierzony jest inspektorom fabrycznym, którzy nie zależą zupełnie od innych władz. Inspektor naczelny (*chief inspector*) (3)ześrodkowuje władzę w swoich rękach i ma pod sobą 5 pomocników, którzy czuwają nad czynnościami 39 inspektorów (na tyle okręgów inspekcyjnych Anglia jest podzieloną). Inspektorowie zwiedzają fabryki, posełają sprawozdania tygodniowe głównemu inspektorowi, każdy z nich ma obowiązek zwiedzenia 1500 do 1800 fabryk w ciągu roku. W ostatnich czasach, mianowicie od r. 1881 na inspektorów fabrycznych wybrano 5 robotników. Postęp to bardzo ważny, gdyż inspektorowie robotnicy lepiéj są wtajemniczeni w potrzeby i wymagania swéj klasy, aniżeli ludzie z innych stanów pochodzący.

Prawa fabryczne uogólnione i dopełnione zostały w roku 1878, i główny ich zarys przedstawia się jak następuje (4).

Prawo fabryczne i warsztatowe z roku 1878 weszło w życie od 1 stycznia 1879 r. W warsztatach i fabrykach właściciel starać się

---

(1) Ludlow i Jones: Die arbeit. Klassen Engl. (str. 72).

(2) Held: Zwei Bücher etc.

(3) Obecnie Aleksander Redgrave.

(4) Podług: Das englische Fabrik u. Werkstätten-Gesetz. 1878. Mitgetheilt von V. Bojanowsky. Jena 1882.

powinien o dobre i świeże powietrze i oddalanie wszelkich szkodliwych zdrowiu wpływów, a także o czystość i porządek, nad czém czuwa inspektor fabryczny. Wszelkie środki, zabezpieczające od wypadków, powinny być przedsięwzięte, a także czyszczenie kół i maszyn wzbronione dzieciom i młodzieży (1). Młodzież i kobiety mogą być zajmowane tylko przez czas oznaczony, między 6 rano i 6 wieczór, albo też 7 rano i 7 wieczór, z dwugodzinną przerwą dla przyjęcia posiłku. W sobotę praca trwa do godziny 1 lub 1½ po południu.

Dzieci pracujące w fabryce podzielone są na 2 serye rannych i popołudniowych pracowników, lub też pracują co drugi dzień. Serya przedpołudniowa zajmuje się po tygodniu pracą po południu. Praca dzieci trwać tylko może 5½ godzin. Jeżeli dziecko zajęte jest co drugi dzień, to wolno mu pracować godzin 10 z dwugodzinną przerwą. Prawa te przysługują dzieciom, młodym osobom i kobietom, pracującym we wszelkich fabrykach i warsztatach.

W warsztatach, gdzie nie pracują dzieci, ani młodzież, kobiety zaczynają pracę o 6 rano, kończą o 9 wieczór, przerwa 4½ godzin. O każdéj zmianie właściciel zakładu ma obowiązek zawiadomić inspektora.

Przy zajęciach w domach prywatnych, gdzie siła pary, wody lub inna mechaniczna nie ma zastosowania, prawa powyższe nie obowiązują, ale za to istnieją inne przepisy:

Czas zajęcia nawet w domu własnym dla młodych osób jest ściśle ograniczony, mianowicie między 6 rano i 9 wieczorem z 4½ godzinami przerwy. Dzieci pracują od 6-stéj rano do 1-széj, albo od 1-széj do 8-méj, i uważane są jako należące do rannéj, lub poobiedniéj seryi. Dzieci nie wolno zajmować dłużéj jak 5 godzin z rzędu. Godziny posiłku powinny być stałe, a podczas niego dzieci nie mogą zostawać w tym samym pokoju, w którym się odbywa praca. Świadectwa o stanie zdrowia, nadającym się do zajęcia w fabryce, są potrzebne tu, tak samo, jak i w fabryce.

Rozkład godzin pracy i posiłku, poświadczony przez inspektora fabrycznego, powinien wisiéć w fabryce i być oznaczonym naprzód.

Praca dzieci młodszych od lat 10 jest wzbronioną

W niedzielę praca dzieci, młodzieży i kobiet ani w fabrykach ani w warsztatach nie jest dozwolona. Ze świąt fabryki obchodzą

---

(1) Za *dzieci*, mające prawo pracować w fabrykach i warsztatach, uważani są nieletni w wieku od 10 do 13 lat skończonych; od lat 13 do 18 należą do kategoryi *młodzieży* (*young persons*).

Boże Narodzenie i wielki piątek przez cały dzień i 8 świąt przez pół dnia. Strejk uważany być może za dzień świąteczny tylko w takim razie, jeżeli zostało już wywieszone ogłoszenie o nadchodzącém święcie. Pół święta wyłącza pół dnia roboty nie sobotniéj, lecz innego dnia. Za przekroczenie tych przepisów fabrykanci płacą kary 5 f. szt. (1 f. st. = 6,27 rub. zł.).

Dziecko powinno chodzić do szkoły codziennie raz, między 6 rano i 8-mą wieczór, jeżeli należy do rannéj, lub poobiedniéj seryi; jeżeli zaś pracuje co drugi dzień, to w dniach wolnych 2 razy dziennie. Świadectwa szkolne muszą być składane u właściciela fabryki Szkołę wybiera inspektor. Jeżeli dziecko, skończywszy lat 13, otrzymuje świadectwo, że dostatecznie posiada naukę czytania, pisania oraz inne elementarne wiadomości, to można stosować do niego prawa tyczące młodzieży.

Dzieci i młodzież niżéj lat 16 zajmować można dłużéj nad dni 7, tylko za świadectwem lekarskiém, wydaném na mocy metryki i dokładnego zbadania danego indywiduum. Gdy dziecko zaliczone zostanie do kategoryi młodzieży dawne świadectwo nie wystarcza, lecz należy przedstawić nowe.

W razie nieszczęśliwego wypadku, który jest przyczyną utraty życia, lub uszkodzenia cielesnego właściciel, lub nadzorca obowiązany jest pod karą zawiadomić natychmiast inspektora, oraz dołączyć świadectwo lekarza. Późniéj sprawa idzie na drogę sądu polubownego, lub państwowego.

Czas pracy dodatkowéj, oraz praca nocna dozwoloną jest tylko w określonych warunkach. Praca nocna nie może trwać dłużéj nad 12 godzin, razem z określonemi przerwami, i obejmować więcéj nad 6 nocy, na każde 2 tygodnie.

Władza inspektorów fabrycznych jest bardzo obszerna. Mogą oni o każdéj porze dnia i nocy stawić się w fabryce, nawet w towarzystwie konstabla, jeżeli spodziewają się oporu ze strony właściciela, lub zarządu fabryk. Mogą nastawać na wykonanie przepisów, zwiedzać każdą szkołę, w któréj uczą się dzieci, pracujące w fabryce. Zbierać wiadomości od robotników, słowem stawać wszędzie między robotnikiem i pracodawcą i to po stronie pierwszego.

Lekarza, udzielającego świadectwo dzieciom i młodzieży, opłaca właściciel fabryki. Inspektor oznaczyć powinien zegar, podług którego czas pracy ma być regulowany.

Inspektor ma być zawiadamiany o każdéj zmianie, czy to w personelu fabryki, czy o zmianie właściciela, lub o zmianach technicznych.

Za każde przekroczenie przepisów, dotyczących tego prawa, właściciel fabryki podlega karom pieniężnym, a w razie nieprawnego użycia dzieci i młodzieży niżéj lat 16 karani są również rodzice i opiekunowie. Wszystkie te prawa rozciągają się także na Szkocyą i Irlandyą.

Młodzież i dzieci nie mogą być zajmowane w fabrykach rtęci, ołowiu, szkła, w fabrykach gdzie polerują metale, krają barchan, jako też w warzelniach soli, i cegielniach.

Przejrzawszy główne zdobycze klasy robotniczéj na drodze prawnéj, rozpatrzmy wpływ, jaki one wywarły i następstwa ich, tak dla rozwoju przemysłu, jak i stanowiska i położenia ekonomicznego robotników.

Przy każdym ograniczeniu, czy to czasu pracy, czy wieku pracowników podnosiły się głośne ubolewania ze strony fabrykantów, którzy przepowiadali ruinę przemysłu angielskiego w razie, jeżeli robotnicy ich pracować będą mniéj, niż 15 lub 17 godzin na dobę. Konkurencya zagraniczna, która tak skutecznie spełnia rolę groźnego widma, ile razy fabrykanci chcą przeprowadzić jakikolwiek ze swych celów, i tu przywoływana była niejednokrotnie na pomoc. Po stronie fabrykantów stała także szkoła ekonomistów wolnohandlowców, sprzeciwiających się temu, aby swoboda w przemyśle i w konkurencyi pracy i kapitału w czémkolwiek zatamowaną została. Tymczasem statystyka dowiodła, że robotnicy przy krótszym czasie roboczym pracowali z większém natężeniem i wykonywali tę samę pracę w przeciągu 10 godzin, która dawniéj wymagała 15 i więcéj. W latach od 1832 do 1866, tj. w czasie, w którym wydano najwięcéj praw fabrycznych, produkcya Anglii rozwinęła się do niesłychanych rozmiarów. Weźmy kilka przykładów (1):

Ilość czynnych warsztatów wynosiła w przędzalniach:

w 1850 r. — 17,099.231
w 1865 r. — 30.387.267.

Ilość wyrobionych materyi bawełnianych w yardach wzrosła od 1830—1860 r. o 384%, siła motorów, poruszających fabryki bawełny, zwiększyła się w tymże czasie o 300%. Ilość strycharzy i stolarzy wzrosła o 29%, robotników maszynowych o 50%, papierników o 50%. drukarzy o 37%. Woźniców w prywatnéj służbie o 18%, a ogrodników prywatnych o 332%. Wzrost tych dwóch ostatnich kategoryi wskazuje naturalnie na zwiększenie się ilości ludzi bogatych, lub też ich majątków. Co do innych gałęzi przemysłu, to między r. 1857

(1) Ludlow i Jones. *Op. cit.* str. 78 i 79.

i 1882 produkcya ich wzrastała w następujący sposób: Węgla o 146%, ołowiu o 134%, okrętów o 204%, wyrobów bawełnianych o 129%, export żelaza i stali w tonnach o 163% (1).

Rozwój przemysłu Anglii nie może wzrastać nadal w jednakowym stopniu, musi ona bowiem dzielić olbrzymie swe zyski z innemi krajami, których produkcya rozwija się także, dziś przeto rynek nie jest już przez nią zmonopolizowany i wzrost bogactwa stosunkowo zmniejszyć się musiał.

Ciekawym jest wzrost bogactwa angielskiego. Za panowania Henryka VIII, ogólny dochód obliczano na 4 mil. funtów szt. rocznie, co przy 5 milionach ludności dawało 16 sh. na głowę:

	fun. szt.	ludność	fun. szt.
W 1822 r. Lord Liverpool podaje dochód na	250 mil. —	14,400,400 —	17 na głowę
„ 1854 r. (podług M'Cullocha) „ „	370 mil. —	21,600,000 —	17 „
„ 1868 r. („ Dudley Baxtera „ „	814 mil. —	30,000,000 —	20 „
„ 1881 r. „ „	1,000,000,000 —	35,000,000 —	28 (2) „

Z podobnych rezultatów nawet J. Ch. Say mógłby być zadowolony. Prawa fabryczne nie zatrzymały wzrostu przemysłu, ale przeciwnie chyba mu dopomogły. Kto jednak żywił nadzieję, że one utrzymać potrafią istniejące dziś stosunki społeczne, nieco zawiedzionym ten czuć się musi, Anglia jest tak typowym krajem produkcyi kapitalistycznéj, że z niewielkiemi odstępstwami dzisiejszy rozwój każdego ze społeczeństw europejskich przypominać ją musi, w jakimkolwiek okresie jéj rozwoju. To téż historya przemysłu angielskiego stanowi niejako ilustracyą ekonomicznych teoryi. Trudno przypuścić, aby istniejący dziś porządek utrzymać się mógł na długo, jeżeli z jednéj strony stanie bardzo mała garstka olbrzymio-bogatéj burżuazyi, z drugiéj silny milionami, z których się składa, i organizacyą bojową proletaryat fabryczny. Dziś w zjednoczonych król. W. Brytanii proletaryat ten obliczają już na 12.200,000 (w r. 1867 robotników fabrycznych było 11,018,000). Jeżeli zaś obliczyć zechcemy całą klasę nieposiadającą własności wraz robotnikami wiejskimi, dzierżawcami i służbą domową, to stanowić ona będzie 70% ludności (3). Drobny przemysł nie istnieje już prawie w Anglii, klasa średnia przeto jest nieliczna, za to coraz większe sumy gromadzą się w ręku klasy kapitalistów. Oto jakim jest podział dochodu między 3 klasy ludności zjedn. królestw:

(1) Wages and earnings of the working classes—Report to sir Arthur Bass by Leone Leri—1885 r. str. 29.

(2) Tamże, str. 4.

(3) Tamże, str. 2.

	W r. 1867 f. szt.	% ogólnéj sumy dochodów.	W r. 1882/3 f. szt.	% ogólnéj sumy dochodów.
1) Kapitaliści płacący podatek dochodowy (dochód roczny wyżéj jak 150 f.) .	423.000.000	44.00	613.000.000	47.70
2) Klasa średnia . . .	120 000.000	12.50	140.000.000	10.90
3) Płace robotnicze. . .	418.000.000	43.50	521.000.000	41.40

Licząc na rodzinę 4½ osób (r. 1879/80) (1) należało:

	Osób	Rodzin	Dochód na osobę:
Do Klasy 1-széj	4.700 000	1.060.000	544 f. st.
Klasy 2-giéj	5.900.000	1.300 000	110 „
Klasy 3-ciéj	24.600.000	5.400.000	83 „
	35.200.0 0	7.760.000	—

To skupienie się kapitałów w niewielu rękach uwydatni się jeszcze lepiéj. jeżeli weźmiemy samę tylko Anglią, gdzie produkcya kapitalistyczna najwięcéj jest rozwinięta. Tam do wyższéj klasy należy 49%. do robotniczéj 41%, a do średniéj tylko 10% całego dochodu.

Obok téj koncentracyi kapitałów, plagą życia robotników angielskich są przesilenia przemysłowe i handlowe. Anglia peryodycznie przez ciąg naszego stulecia miewała przesilenia co lat 10; obecnie od r. 1867 przemysł angielski znajduje się w stadyum chronicznego przesilenia, czemu znaczna część biedy między robotnikami przypisana być musi, a potém dopiero idzie próżniactwo i nadużycia trunków; zresztą te dwie ostatnie wady bardzo często podczas bezrobocia się rozwijają.

Najwięcéj dotknięty jest przemysł żelazny, bawełniany, budowa okrętów i wydobywanie węgla. W tych gałęziach zauważyć można znaczną redukcyą w płacach roboczych, które spadły o 15%, tj. w ogóle suma ich w ostatnich latach zmniejszyła się o 70 milionów (2). Na pytanie jednak, czy położenie robotników w ogóle po-

(1) Wages and earnings etc.

(2) Tamże, str. 13.

prawiło się od czasu wprowadzenia prawodawstwa fabrycznego, odpowiedź może być tylko twierdzącą. Z wprowadzeniem normalnego dnia roboczego robotnicy zyskali bardziéj ludzką egzystencyą; przy określonym czasie zajęć łatwiéj im jest zastanowić się nad osobistemi i klasowemi sprawami. Stopień wykształcenia robotnika angielskiego jest dziś bez porównania wyższy aniżeli 28 lat temu. I tak ilość dzieci w szkołach początkowych Anglii była w 1857 r. 531,000, w 1883 doszła do 3,560,000 (1). Dla doroslych istnieje także mnóstwo wykładów publicznych, szkół, bibliotek, gdzie robotnik angielski kształcić się może. Najslynniejszemi są t. zw. „Working men's colleges," istniejące w różnych dzielnicach Londynu. Pierwsze takie kolegium założone zostało w 1851 r. dzięki staraniom Kingsleya i Ludlowa, którzy między rokiem 1848 i 1860 stali na czele potężnego chrześcijańsko-socyalistycznego ruchu w Anglii. Celem ich jest kształcenie robotników starszych nad lat 16. Przedmiotami wykładowemi były historya, geografia, polityka, nauki przyrodnicze, języki nawet— grecki i łacina, a także hiszpański, włoski, rysunki, muzyka, nauka biblii. Każdy uczeń wybiera dowolnie potrzebne mu przedmioty; nauczycielami byli najlepsi pedagogowie Londynu, nawet profesorowie uniwersytetu, wykładający po większéj części bezpłatnie. Lekcye odbywały się wieczorami, a uczniowie rekrutowali się przeważnie z robotników. Zaklad posiadał bibliotekę wszelkie pomoce naukowe; urządzano nieraz zabawy, wieczory, wycieczki z udzialem uczniów i nauczycieli (2). Dzisiejsze kolegia przyjęły ten sam niemal program. Robotnicy opłacają małą kwotę i wstępną imatrykulacyą; kończąc otrzymują dyplomy i stopnie naukowe; niektórzy zostają późniéj nauczycielami szkoły. Stowarzyszenia robotnicze posiadają zwykle czytelnie i na zaopatrzenie swych bibliotek wydają dosyć znaczne kwoty. Thornton np. powiada (3), że w 1867 r. pionierzy rochdalscy przeznaczali 2½% czystego dochodu, tj. około 1,000 f. sterl. rocznie na kupno książek i inne cele naukowe.

Biblioteka nie stala próżno, gdyż wydawano z niéj dziennie około 200 tomów; na 6,832 członków ilość to niewielka, ale trudno wymagać, aby robotnik przy pracy ręcznéj i czytaniu pism czytał więcéj jak 1 tom na miesiąc. Jeżeli porównamy te cyfry z nędzą i ciem-

---

(1) Tamże.—Godnym uwagi dla ogólno-ludzkiéj psychologii jest fakt, że zanim parlament zawotował pierwsze 30,000 f. szt. (w 1840 r.) na wychowanie początkowe dzieci ludności roboczéj, myślano już o szkołach w Irlandyi i oddawna zajmowano się nauką wyzwolonych z niewoli murzynów.

(2) L. Brentano. Die Christlich-sociale Bewegung in England, str. 181.

(3) Die Arbeit str 438.

notą, jakie maluje np. Engels w r. 1847, będzie to obraz bardzo pocieszający.

Wolność tworzenia stowarzyszeń zupełnie jest dziś robotnikom angielskim przyznana, ale i o nią staczać musieli długoletnie walki. Sprawozdanie komisyi izby niższéj z r. 1824 powiada, że nie było ani jednego wypadku prześladowania pracodawców za tworzenie prawnych koalicyi, tymczasem robotnicy już aktem z 1802 r. pozbawieni zostali prawa stowarzyszeń, na naruszających to prawo nakładano kary, dochodzące do 200 funtów szt. (1). Wywołało to nieustanne petycye i po długoletniéj, trwającéj aż do r. 1852, walce udało się nareszcie robotnikom zdobyć prawo zawiązywania stowarzyszeń wszelkiego rodzaju (Industrial a. provident societies act), które uznaje także wszystkie dawniéj już istniejące, z celem wzajemnéj pomocy, wsparcia, lub wzajemnego popierania wykonywanych rzemiosł. Dla zawiązania prawnego stowarzyszenia potrzeba 9 członków (2). Aktem tym nie byli objęci robotnicy pracujący w kopalniach. Dopiero w 1875 r. i oni uzyskali te same prawa.

Robotnicy angielscy z prawa o koalicyach zrobili obszerny użytek. Oprócz słynnych *Trades-Unionów* (3), które obejmują zaledwie $^1/_{10}$ część robotników angielskich, stowarzyszenia wzajemnéj pomocy miały w 1883 r. —4,242,084 członków i kapitał 8.530.355 f. szt. Stowarzyszenia przemysłowe i korporacyjne w 1883 r. miały 572,610 członków z kapitałem 8,200,722 f. szt. Stowarzyszenia budowlane miały w tymże roku kapitał obrotowy 48,938,320 f. szt. (4). Muszę tu powiedziéć jeszcze słów parę o trades-unionach angielskich; gdyż im to wielka część praw fabrycznych zawdzięcza swe istnienie. Celem tych stowarzyszeń jest zapewnienie klasie pracującéj takiéj siły, aby przedsiębiorcom warunki swe przepisywać mogła (5). Trades-Uniony zajmują się regulowaniem płacy roboczéj, robią umowy z fabrykantami, którzy dają im zwykle lepsze warunki, niż umawiając się z pojedynczymi robotnikami. Działalność trades-unionów bywa téż niekiedy polityczną; wystosowują one petycye do parlamentu, starają się wpływać na wybory, a także do nich to należy zakładanie kas oszczędności, szkół, wspólnych zabaw, bibliotek i czy-

(1) Brentano: Arbeitsverhältniss. Adam Smith wspomina już o tém w dziele swém, wydaném w r. 1776, musiały więc już dawniéj istniéć podobne przepisy, które w r. 1802 tylko uogólniono.

(2) Ludlow i Jones str. 38.

(3) Obszernie traktuje o nich artykuł p. A. Oskierki w zeszycie kwietniowym „Ateneum“ z r. 1885.

(4) Wages and earnings... str. 40.

(5) Takie określenie spotykamy u Thorntona: Die Arbeit str. 100, i nast.

telni. W teoryi taki związek robotniczy jest rezultatem dobrowolnego połączenia się atomów, w praktyce dzieje się jak zwykle w każdém stowarzyszeniu. Jednostki energiczniejsze zabierają w swe ręce władzę i zmuszają opierających im się członków do poddania się pod ich prawa. Despotyzm taki, choć nadużywany niekiedy, jest konieczny. Kto zna historyą jakichkolwiek stowarzyszeń, ten wié, że rządzi tam nie masa, lecz kilku, lub kilkunastu energiczniejszych członków. Masa zresztą może stanowić przepisy, lecz jako władza wykonawcza nie ma znaczenia. I tu więc jak wszędzie większość ulega mniejszości, lecz że owa mniejszość jednakowe z większością ma interesy, dążności i cele, że osiągnąć je może tylko łącznie z całą klasą robotniczą, przeto działalność jéj zwykle na korzyść większości wypada.

Z drugiéj strony jednak, ponieważ trades-uniony nie obejmują i obejmować nie mogą wszystkich robotników angielskich, przeto wpływ ich, na stosunek pracy do kapitału jest ograniczony i prawie o tyle tylko rozciągać się może na całą klasę robotniczą, o ile związki te wywalczą jakieś prawo fabryczne. Nie można wszakże zaprzeczyć, że porównywując byt materyalny robotników angielskich z r. 1867 i z lat ostatnich, znajdujemy znaczne podniesienie się ich skali życiowéj. Płace ich bowiem w tym okresie wzrosły, ceny zaś większéj części produktów obniżyły się, skutkiem czego powiększyć się musiało ich spożycie.

I rzeczywiście od r. 1871 do 1883 w Anglii:

konsumcya	mięsa	wzrosła	o 103%,	cena	wzrosła	o	7%
„	masła	„	o 51%	„	spadła	o	8%
„	séra	„	o 30%	„	„	o	1%
„	cukru	„	o 89%	„	„	o	24%
„	herbaty	„	o 22%	„	„	o	26%
„	ryżu	„	o 66%	„	„	o	19%

Czyli, że ceny powyższych produktów spadły przeciętnie o 15%, konsumcya ich zaś zwiększyła się o 60%. Ceny towarów również spadły. W tym samym mniéj więcéj czasie, a mianowicie od r. 1867 do 1884 ogólna ilość zarabiających we wszystkich dziedzinach pracy wzrosła o 10,90%, (z 11 mil. na 12,2 mil. osób), suma płac o 24,64%, (z 418 mil. na 521 mil. f. st.); w szczególności zaś liczba robotników zajętych w wielkim przemyśle powiększyła się o 17,86% (25,6 mil. do 6,6 mil. osób), suma ich płac o 35,85% (z 226 mil. do 307 mil. f. st), a zarobek przeciętny o 15,25% (z 40 do 46,1 f. st.) (1).

(1) Leon Levi: „Wages and earnings.“

W obec tego niepodobna zaprzeczyć, że dobrobyt angielskich warstw pracujących w ciągu ostatnich lat kilkunastu dość znacznie się podniósł, a pocieszający ten takt musi być w części przynajmniéj przypisany oddziaływaniu praw fabrycznych. Z drugiéj strony wszakże niepodobna dopatrywać w tych prawach cudownego środka, leczącego skutecznie wszelkie dolegliwości życia klasy robotniczéj, jak tego chcą niektórzy. Że dotychczasowe prawa nie uczyniły w zupełności zadość wymaganiom, nawet w tym zakresie, w jakim możnaby było tego oczekiwać bez różowych złudzeń, przekona nas najlepiéj następująca tablica porównawcza ogólnéj liczby robotników, podzielonych na kategorye według wieku i płci i zajętych we wszystkich dziedzinach pracy w r. 1867 i 1884 (1):

Kategorye.	Liczba robotników.		Przyrost bezwzględny osób.	Przyrost procentowy.
	w r. 1867.	w r. 1884.		
Mężczyzni niżéj lat 20 w.	1.200.000	1.650,000	450.000	37,5%
" od lat 20 do 65 "	5.900.000	6.530.000	630.000	10,7%
Kobiety niżéj lat 20 w.	1.300.000	1.300.000	—	0,0%
" od lat 20 do 65 "	2.600.000	2.720.000	120.000	4,6%
Ogółem . . .	11.000.000	12.200.000	1.200 000	10,9%

Jeżeli weźmiemy pod uwagę, że ogólna ludność zjednoczonego królestwa wzrosła w tym czasie o jakieś 15 do 16% (2), to dojdziemy do przekonania, że ograniczenia prawne oddziałały głównie na stosunkowe zmniejszenie liczby zarobkujących kobiet, lecz nie zdołały dotąd zapobiedz temu, ażeby młodzież męzka pozbawiała zajęcia swych ojców, gdyż przyrost liczby robotników dojrzałych (10.7%) jest znacznie niższy od wzrostu ludności ogólnéj, przyrost zaś robotników nieletnich (37,5%) znacznie wyższy od tego ostatniego. Winniśmy jednak zwrócić uwagę na tę słabą stronę powyższéj tablicy, iż nie ogranicza się ona do samych robotników przemysłowych, do których wyłącznie stosują się prawa fabryczne, lecz obejmuje cały ogół warstw pracujących.

Mniéj jeszcze uczyniły prawa fabryczne pod względem zapobieżenia nieszczęśliwym wypadkom. Niestety, do dziś dnia pomimo wszelkich odnośnych postanowień, pomimo ciągłego podwyższania kar i starannéj czujności inspektorów, są one tak częste, iż robotnik

(1) Tamże. — (2) Od r. 1861—71 przyrost jéj wynosił 8,6%, w następném za dziesięcioleciu 10,68%.

fabryczny znajduje się prawie w podobném niebezpieczeństwie utraty życia, lub poniesienia jakiegoś mniejszego uszczerbku na zdrowiu, jak żołnierz na wojnie. A jeżeli dodamy jeszcze, że, ażeby otrzymać wynagrodzenie, musi on, lub jego rodzina, przeprowadzić proces sądowy i udowodnić świadkami, iż wypadek nastąpił nie z jego winy, to chyba los tych nieszczęśliwych w bardzo opłakaném przedstawi się nam świetle, zwłaszcza że wynagrodzenie nie może nigdy przenieść trzechletniéj emerytury. Nie to wszakże najbardziéj rozdrażnia robotników, ale częsty, a niezależny od ich woli i winy brak zarobku i rażąca różnica ich położenia ze zbytkiem warstw zamożnych. Kiedy naokoło nich złoto kapie, kiedy widzą, że wybrańcy fortuny wpadają aż w przesyt z nadużycia wszelkich roskoszy, jakie tylko wymarzyć można, a im pomimo pracy i zabiegów brak nie raz środków na zaspokojenie najniezbędniejszych nawet potrzeb życiowych i wielu z nich musi się uciekać do poniżającéj ich godność pomocy dobroczynności publicznéj, wtedy w ich sercach musi wzbierać nienawiść do takiego porządku rzeczy. Tém się właśnie objaśnia fakt, że w ostatnich kilku latach pomimo dość znacznego, jak widzieliśmy, polepszenia warunków bytu klasy robotniczéj, pozyskał sobie grunt w Anglii socyalizm. Wprawdzie członkowie *Trades-Unionów* dotąd od niego stronią, jak tego dowiódł zeszłoroczny międzynarodowy kongres robotniczy w Paryżu, lecz wśród nie należącéj do tych związków rzeszy proletaryatu dają się już wyraźnie dostrzedz objawy dążeń rewolucyjnych. Za dowód tego, może posłużyć okoliczność, że dwie dopiéro od lat paru istniejące w Anglii partye socyalistyczne, *Socialist-league* i *Socialistic-Federation*, liczą od 15 do 20 tysięcy członków, posiadają własne organy i pozyskują sobie podobno bardzo szybko coraz więcéj zwolenników.

Zofia Poznańska.





POWIEŚĆ SPÓŁCZESNA W ANGLII.

Jeżeli wierzyć się godzi cyfrom statystycznym — a jakże im nie wierzyć w kraju tak szanującym powagę cyfr jak Anglia — trzy powieści dziennie w przybliżonym rachunku opuszczają prasę, od 1-go stycznia do 31 grudnia, na terytoryum trzech połączonych królestw. Pociąga to za sobą roczną przeciętną produkcyą tysiąca utworów i 2,000 do 2,500 tomów. Moda sprzyja w saméj rzeczy od lat kilku dwutomowym powieściom, i najpopularniejsi pisarze, William Black, Mac-Carthy i sama pani Rhoda Broughton, okazują jéj stałe posłuszeństwo; ale pani La Ramée (Ouida) żywi osobiste upodobanie do trzytomowéj formy, pani Cross zaś (Jerzy Eliot) nie lękała się, okolicznościowo, i ośmiu tomów. Świadkiem „Daniel Deronda."

Kto pisze te powieści? A zwłaszcza kto je czyta? Liczbę producentów łatwiéj jeszcze przypuścić tutaj można jako nieograniczoną; ale liczbę czytelników? Wiemy kto u nas czyta „*Cometh up as a flower*", „*Red as the rose is she*", i co tam się jeszcze dostaje do nas z Tauchnitzowskiéj biblioteki. Ale nietylko naszych wyedukowanych i w angielszczyźnie biegłych panienek, samych rodowitych angielskich *misses* nie starczyłoby chyba dla przetrawienia owéj olbrzymiéj tysiąco-tomowéj produkcyi. Chyba by przypuścić trzeba, że dzielą one między siebie robotę....

Rozwiązanie zagadki wymaga bliższego zetknięcia się z literaturą, będącą przedmiotem niniejszego studyum niż to, które stało się pospolitém u nas w ostatnich czasach, za sprawą nowoczesnych edukacyjnych wymagań. Mało jest rzeczy powszedniejszych, nawet u nas, od pewnego rodzaju angielskiéj powieści. Kto nie czytał Ouidy? Kto nie spotkał się na parterze tego lub owego codziennego pisma, w mniéj lub więcéj udatnych przekładach, z imieniem i eks-

centryczną wyobraźnią Wilkie-Collins'a, pani Braddon, albo samego nawet Crawforda? Mało jest rzeczy tak mało znanych, nietylko u nas ale nawet gdzieindziéj, nawet o godzinę drogi od Duwru, z téj strony cieśniny Kaletańskiéj, jak to, co stanowi treść właściwą i racyą bytu piśmiennictwa, o którém mowa. Któréj z pięknych naszych czytelniczek poufałem, albo nawet znaném jest imię Karoliny Brontë? Nie ręczyłbym za samo wielkie imię Jerzego Eliot.

Anglia przedstawia w tym względzie osobliwe zjawisko imion tak głośnych w jéj granicach, jak u nas imię Mickiewicza, utworów tak popularnych, jak u nas „Pan Tadeusz", a prawie obcych reszcie europejskiego społeczeństwa. Wielu miłośnikom powieściowéj literatury, na kontynencie, przytomną jest postać „Adama Bede"? A przecież „Adam Bede" w angielskiéj literaturze, to prawie tyle co „Pan Tadeusz" w naszéj.

Zjawisko to tłómaczy się wielorakiemi przyczynami, z których jedną, ale nie najgłówniejszą, jest swojski, oryginalny, zasadniczo angielski charakter takich postaci jak „Adam Bede", i brak należytéj łączności pojęć, należytego *czucia* między nami a *niemi*. To pewna, że zrozumiéć się nam trudno, nawet przy najlepszém spoufaleniu się z językiem, którém *one* mówią. Powieść angielska jest najpowszedniéj *opisową*, opisuje zaś ona rzeczy, które mimo całego naszego zbliżania się do pewnych form życia tamtejszego, są tak od nas odległemi, jak gdyby mieściły się na księżycu. Dodajmy pewne właściwości układu powieściowego, z któremi pogodzić się nam trudno, tak dalece sprzeciwiają się one naszym pojęciom i nawyknieniom. Nie rozumiemy tego, aby autor założywszy sobie napisanie dwutomowéj powieści, mógł poświęcić cały pierwszy tom wstępowi do zamierzonego opowiadania i załatwić się z resztą w drugim tomie. A jednak „The Mill on the Floss" uchodzi *tam* za perlę spółczesnego powieściopisarstwa. Nie przyszłoby do głowy żadnemu z naszych pisarzy powiązać z sobą dwa albo nawet cztery wątki powieściowe, nie mające żadnéj koniecznéj ani nawet logicznéj styczności, i ulepić z nich całość. Jednak „Daniel Deronda" jest takim amalgamatem, a spotkał się *pośród swoich* z najżywszą ciekawością i z najgłębszym podziwem.

Ale nie na tém koniec. Jeżeli powieść angielska jest i pozostaje absolutnie angielską, bez szerszego echa po za sferą swojskiego ruchu umysłowego, mimo olbrzymiego swojego rozwoju, to dla tego, że odpowiada ona swojskiéj przeważnie, narodowéj potrzebie. Narzędziem rozrywki gdzieindziéj, albo narzędziem polemiki, szopką, albo trybuną, jest ona tam w Angli czémś innem jeszcze, czémś więcéj: łącznikiem, za pomocą którego społeczeństwo tamtejsze, to społeczeństwo wyniańczone przez parlamentaryzm, wzrosłe w atmosfe-

rze wolnego słowa, czyni zadość najpierwszéj ze swych potrzeb, potrzebie wymiany — wymiany ciągłéj, nieprzerwanéj, codziennéj — swoich uczuć i pojęć. Kto pisze powieści w Anglii i kto je czyta? Odpowiedź brzmi krótko: wszyscy! Każdy po swojemu i każdy dla siebie. Olbrzymi to, ciągle drgający telefon, z otwartym dla wszystkich przystępem. Powieściopisarstwo nie jest tam osobnym zawodem, tak jak lord Beaconsfield, piszący swego „Endymiona" między dwoma przesileniami gabinetowemi, nie jest wyjątkiem. Kiedy p. Mac-Carthy nie pisze powieści, tedy *debatuje* w izbie nad kwestyą irlandzką, albo maczając pióro w tym samym kalamarzu, pisze historyą polityczną swojego czasu („*History of my own Time*"). PP. Beresford Hope i Lewis Wingfield, trzymający niepoślednie stanowisko w spółczesnéj powieściowéj literaturze, są także członkami parlamentu.

A jak rozmaitemi muszą być wymagania, które zadawalniać jest jéj powołaniem, tak rozmaitemi są rodzaje téj literatury. We Francyi bywszy swojego czasu filozoficzną z Chateaubriandem, stawszy się późniéj historyczną z Dumasem i znowu filozoficzną z panią Sand, powieść zamknęła się dziś w rodzaju psychologiczno-obyczajowym. I niemasz innéj powieści. (Przepominam o spadkobiercach nieboszczyka Ponson-du-Terrail). Tam, w Anglii, są dziś jeszcze, jak były wczoraj, wszystkie możliwe powieści. Jest ich raczéj więcéj niż wczoraj. Jest powieść obyczajowo satyryczna, stworzona przez Walter-Scot'a w „Antykwaryuszu", rozwinięta przez Thackeraya, reprezentowana dziś, choć z mniejszym blaskiem przez autora „Miss Misanthrope" i „Donny Quixote", Mac-Carthy'ego. Jest i na pierwszém nawet miejscu, dzięki Jerzemu Eliot, powieść filozoficzna, któréj Tomasz Hardy, autor „*Far from the Madding crowd*", zdawał się niedawno obiecywać świetną przyszłość. Jest powieść psychologiczna, wywodząca się od Karoliny Brontë, zdobywająca sobie od wczoraj nowe stanowisko z Jerzym Moore. Jest powieść polityczna, choć braknie już Bulwera, Trollope'a i Disraeli'ego. Jest powieść sensacyjna, dopóki żyje Wilkie Collins obok Miss Braddon, a zapewne oboje nie zejdą ze świata bezpotomnie.

I wszystko to znajduje odbyt. Każden z rodzajów ma swoję klientelę. Ale, jak dotąd, klientelę prawie wyłącznie angielską. Postawiłbym zakład, że tu w Paryżu, gdzie piszę, na sto *wykształconych* Francuzów, 50 dowiedziało się o istnieniu Jerzego Eliot, w miesiąc po śmierci wielkiéj powieściopisarki, a i to dzięki „Revue des deux Mondes" i panu Montégut.

Nie idzie zatém, aby literatura ta pozostawała bez wpływu na rozwój umysłowy i piśmienniczy w sąsiednich krajach. Większość

czytelników Emila Zoli i Alfonsa Daudeta nie czytała nigdy Eliota i czytać go nigdy nie będzie; ale nie tak się ma z Zolą samym i z Daudetem. Wprawdzie przeciętny Francuz nosi się z przekonaniem, iż cała Tauchnitzowska biblioteka składa się z przeróbek francuskiego materyału, przywłaszczonego drogą kontrabandy, przez niecny Albion. Nawet w sferze literackiéj, u jednego z popularnieiszych zabawicieli fejletonowéj publiki tutejszéj spotkałem się świeżo z tém pojęciem. Ale rozumiem, że wspomniany dopiero co autor „Assomoir'u“ inaczéj o tém trzymać musi, i zgodziłby się ze mną na to, że jeżeli kontrabandzie w saméj rzeczy przypisać wypada osobliwe podobieństwo zachodzące między początkiem ostatniéj jego powieści p. t. „L'Oeuvre“, więcéj nawet, między jéj filozoficznym punktem wyjścia i jednym z jéj głównych motywów, a początkiem, punktem wyjścia i niektóremi scenami powieści p. t. „*A modern lover*“ (młodego pisarza, Jerzego Moore), dwoma latami pierwéj ogłoszonéj, tedy kontrabanda zaszła chyba w odwrotnym kierunku. Przypuścić zresztą jestem gotów, że nie było wcale kontrabandy, że zbieg przypadkowy natchnień zrobił tu wszystko, i takiemu samemu przypadkowi przypiszę chętnie tę okoliczność, za któréj sprawą „Nowoczesny kochanek“ pana Moore'a jest w ogólnéj swéj charakterystyce, a nawet w wielu szczegółowych rysach, prototypem Maupassantowskiego „Bel-Ami.“ Ale niezaprzeczenie tego rodzaju *przypadki* każą, same przez się, domyślać się pewnéj *łączności duchowéj*, bez któréj byłyby one nie dającém się wytłómaczyć zjawiskiem. Łączność zaś ta objawia się nadto innemi jeszcze, wymowniejszemi świadectwami.

Zkąd się wzięła u Zoli dramatyczna scena w pracowni malarskiéj, w któréj nadobna Krystyna poświęca swoję wstydliwość na ołtarzu sztuki i budzącéj się do życia miłości; zkąd się wziął u pana Maupassant „Bel-Ami“ tego przesądzać nie chcę; ale skąd się wziął w spółczesnéj powieści francuskiéj przeważny jéj kierunek: realizm, naturalizmem czy eksperymentalizmem zwany okolicznościowo,— w tym względzie nie może być wątpliwości. Import to świeży stosunkowo, i import angielski. Realizm, to jest przewaga realistycznych pierwiastków nad idealnemi, datuje tu od chwili, w któréj Shakspeare przestał dla tutejszych umysłów być tym barbarzyńcem, którym był dla Woltera. Aż do przewagi udzielonéj jednocześnie opisowéj formie, aż do jednocześnie wyrobionéj pogardy dla dawnych prawideł powieściowéj architektury, aż do nabytego nowego pojęcia o granicach cierpliwości, któréj wyglądać wolno od czytelnika, wszystko u dzisiejszych koryfeuszów powieściopisarstwa francuskiego jest jawnie angielskiego pochodzenia.

Zapewne między tym przyswojonym realizmem francuskim, a starym oryginalnym angielskim zachodzą niejakie i głębokie nawet różnice. Przedewszystkiém jest stanowcza różnica tendencyi. Realizm angielski ubiega się o pokazanie rzeczy tak jak są, ale mu nie chodzi wcale i nigdy o pokazanie najbrzydszych rzeczy, jakie mogą być na świecie. Przypuszcza on, wbrew pojęciom zaszczepionym u głównych adeptów szkoły Goncourtowskiéj, że to co jest najbrudniejszém, może nie być najwięcéj interesującém. Wyjątkowém w tym względzie zjawiskiem pozostaje dotąd wspomniany dopiero co p. Jerzy Moore; zjawiskiem znaczącém, niezaprzeczenie, bo wskazującém wyłom dokonany w nietkniętym przez wieki całe murze pewnych narodowych pojęć i nawyknień, w téj *sui generis* pruderyi tamtejszéj, która uchodzić może za instytucyą narodową. Ale i w tym wyłomie nie zmieściłaby się jeszcze szkoła Goncourtowska. Jeżeli p. Moore czytał w saméj rzeczy Emila Zolę, więcéj zapewne niż był przezeń czytanym, tedy między jego realizmem a realizmem autora „Nany“ utrzymuje się przepaść niezmierna. „*The Mummers Wife*“ („Żona komedyanta“), druga z kolei powieść angielskiego realisty, jest bezsprzecznie kreacyą zbliżającą się przez treść i formę nawet do „typowéj książki“ (*livre-type*) Goncourtowskiéj, do „Germinii Lacerteux“ i do „Pani Gervaisais,“ ale zawsze zdaleka. Kiedy w przedmowie do siódmego wydania młody autor zapewnia, iż nie znalazł w przejrzanym przez się tekście jednego słowa wykraczającego przeciw moralności (*to cancel for moral*), gotów jestem prawie przyznać mu słuszność. Ani brutalnością rzuconych przed oczy obrazów, ani cyniczném wysłowienia nie sięga on nigdy francuskich swoich wzorów.

A jednak „*The Mummers Wife*“ wywołała burzę; podobno nawet koalicyą londyńskich księgarzy, sprzeciwiających się długo rozpowszechnieniu „niegodziwego“, „wstrętnego“, „upokarzającego“ dla Anglii dzieła. I naśladowców nie doczekał się dotąd Jerzy Moore.

Ale oprócz téj różnicy w mierze i jakości przyswajanych tu i tam pierwiastków realistycznych jest jeszcze między francuskim a angielskim realizmem różnica inna, głębsza, choć subtelna—tak subtelna, że zdefiniowanie jéj, oznaczenie jéj właściwéj istoty dało powód do bardzo rozmaitych i sprzecznych poglądów. Biograf francuski Jerzego Eliot i Karoliny Brontë, p. Emil Montégut, dopatrzył się téj istoty *w pierwiastku religijnym*. Obecność tego to pierwiastku—„monady religijnéj, zaszczepionéj w narodowym organizmie przez protestantyzm“—daje, w jego pojęciu, realizmowi angielskiemu jego wartość moralną, broniąc go zarazem przeciwko tym zboczeniom, którym podlega on pod piórem pisarzy francuskich. Pogląd to, nie waham się rzec, bardzo osobisty, i w tém podobno mający swoje źró-

dło, że dla pana Montégut świat moralny kończy się na chrystyanizmie tak, jak realizm angielski na Jerzym Eliot i Karolinie Brontë. Religijne, chrześciańskie motywy odgrywają w saméj rzeczy u dwóch tych powieściopisarek niepoślednią rolę. Ale trzymać właśnie można, iż w tym względzie stanowią także te powieściopisarki wyjątkowe zjawisko pośród spółczesnéj literatury angielskiéj.

Więcéj, podług mojego widzenia, zbliżył się do prawdy krytyk „Revue des deux Mondes", p. Brunetière (1), wskazując na „sympatyczną tendencyą" realistów angielskich, w przeciwstawieniu do „ironicznéj tendencyi" ich francuskich naśladowców. Tak, realizm angielski *jest sympatycznym* zasadniczo: uwydatniając słabe strony ludzkiéj natury, ciemne strony życia ludzkiego, ujemne rysy ludzkiego charakteru, wszystkie ułomności, poziomości i śmieszności nasze, czyni on to bez sarkazmu, z mieszaniną współczucia i wesołego humoru. Realizm francuski jest zasadniczo *ironicznym*; miejsce współczucia zabiera w nim pogarda, miejsce wosołości, szyderstwo. Tamten śmieje się, albo się lituje; ten wyśmiewa się, albo piętnuje. Z tamtego bije ciepło uczucia, z tego chłód lodowy.

Ale przykład lepiéj uwydatni to wszystko od definicyi. Oto piórem szefa realistycznéj szkoły francuskiéj, Flaubert'a, skreślony wstęp do opisu miejscowości, w któréj rozgrywają się losy „Pani Bovary."

„Aż po rok 1835 nie było kołowéj drogi żadnéj wiodącéj do Joinville; od tego jednak czasu otwartą została droga *de grande vicinalité*, łącząca trakt wiodący do Abbeville z traktem wiodącym do Amiens..... Ale, mimo tych nowych środków komunikacyjnych, Joinville nie weszło na drogę postępu. Kościół znajduje się na środku rynku. Widać w nim konfesyonał naprzeciwko gipsowéj figury wyobrażającéj Matkę Boską. Kopia Rafaelowskiéj Rodziny Ś-téj, dar *Pana Ministra Spraw Wewnętrznych*, panuje nad głównym ołtarzem między czterma lichtarzami. Ratusz zbudowany podług planów paryskiego architekta, jest rodzajem świątyni greckiéj...." i t. d.

Czy odczuwa czytelnik ironią zimną, suchą, bezlitośną?—A oto odpowiedni ustęp z „*The mill on the Floss*" Eliot'a:

„Religia „Dodsonów" polegała na szanowaniu wszystkiego, co należało do rzeczy w zwyczaju będących i poszanowania godnych. Trzeba było być ochrzczonym, inaczéj nie można było być pochowanym na miejscowym cmentarzu, ani przyjąć sakramentów przed śmiercią, ale nie mniéj niezbędnem było mieć na swoim pogrzebie przyzwoitą liczbę ludzi do noszenia płaszczy i odpowiednią liczbę

(1) Le naturalisme contemporain. Paryż, 1883.

szynek przygotowanych jak należy, a także zostawić testament nie ulegający zakwestyonowaniu. Nie przystało żadnemu Dodsonowi być oskarżonym o zaniedbanie czegośkolwiek należącego do przyzwoitości, a wskazanego przez przykład główniejszych parafian i familijne tradycye, jako to posłuszeństwo rodzicom, wierność małżeńska, pracowitość, uczciwość nieskazitelna, zabiegliwość, czyszczenie peryodyczne naczyń drewnianych i mosiężnych, przechowywanie monet zagrożonych wycofaniem z kursu, dostarczanie produktów pierwszorzędnego gatunku na targ, i t. d.“

I tu jest ironia, ale inna, lekka, ślizgająca się po powierzchni i ciepła, *sympatyczna* właśnie! Rzecz to odcieni zapewne tylko, nie łatwych nawet do uchwycenia w pojedyńczych obrazach. W całości utworów odcienia te składają się na bardzo wyrazistą antytezę. Jak zaznaczyłem to z góry, różnica jest subtelną, ale jest i sięga głęboko.

Podejmując niniejsze studyum w dalszym ciągu tego, które poświęciłem na tém samém miejscu powieści francuskiéj, właściwą rzeczą zdało mi się zacząć od ogólnego tego zestawienia, do powtórzenia którego w szczegółowych rysach będę miał niejednę jeszcze sposobność. A teraz przystępuję do przedmiotu. Zapewne jednak nikt mnie nie posądza o zamiar wyczerpania tegoż. Co najwięcéj, w szczupłych ramach, które muszą tu być mojemi, pokusić się mogę o uwydatnienie głównych kierunków téj twórczości, któréj olbrzymi rozwój zaznaczyłem na wstępie. Zamiast jednak trzymać się ogólników, sądzę, iż lepiéj zrobię uprzytomniając czytelnikowi każdy z tych kierunków w bliższéj, choć zawsze bardzo treściwéj, charakterystyce kilku najwybitniéj uosabiających go przedstawicieli. Ma się rozumiéć klasyfikacya, do któréj uciec mi się wypada w tym celu, niema nic absolutnego. Autor najgłębiéj pomyślanéj i najartystyczniéj obrobionéj powieści, jaka się ukazała od czasów „*Adama Bede*“, wytrawny psycholog i wytworny stylista z „*Far from the madding crowd*“ („Z daleka od szalonego tłumu“), Tomasz Hardy jest głównym i rzec prawie można jedynym dotąd poważnym spadkobiercą filozoficznéj puścizny na tém polu; innemi stronami jednak swego bynajmniéj nie jednolitego talentu należy on raczéj do humorystyczno-opisowego rodzaju. Autor „*Donny Quixote*“ i „*Miss Misanthrope*“, Mac-Carthy, zaczął od rodzaju sensacyjnego, przerzucił się w rodzaj satyryczny, a skończył ostatnim swoim, wczorajszym utworem (*Down!*) na tém, od czego zaczął.

Zacznę sam od powieści filozoficznéj i od pośmiertnéj monografii, poświęconéj talentowi, gotów jestem poprawić się i napisać: geniuszowi, który, choć już do świata cieniów należący, zbyt bliskim

jest dotąd pamięci i sercu swych wielbicieli, a zbyt mało znanym prawdopodobnie moim czytelnikom, aby mi go tu pominąć było wolno. Jerzy Eliot nie przestał należyć do spółczesnego powieściopisarstwa.

I. POWIEŚĆ FILOZOFICZNA.

1. Jerzy Eliot.

Rzec można, iż wszystkie rodzaje powieści, nie wyłączając filozoficznego, odnajdują się w zawiązku u trzech patryarchów angielskiego powieściopisarstwa w bieżącym wieku: Walter-Scot'a, Thackeray'a i Dickens'a. Aż do ostatnich czasów jednak filozofia pozostała zjawiskiem sporadycznèm w pismach całego legionu epigonów, zostawionych przez genialną trójcę na opuszczonèm przez się polu. Nie straciła tego charakteru nawet u Karoliny Brontë. Aż po rok 1856 nie widać w literaturze angielskiéj nic podobnego do tendencyjnych kreacyi pani Sand czy do powieści *à thèse* Dumasa syna. Zapewne, niezmordowany Wilkie Collins filozofuje często, a czasem nawet, na swoich czytelników nieszczęście, sama Miss Braddon. Ale są to zawsze z ich strony okolicznościowe tylko wycieczki w obcą okolicę. W roku 1856 nie stało już od lat trzech Karoliny Brontë; Dickens i Thackeray, choć żyjący jeszcze, zeszli z pola. Nietylko do stworzenia nowego rodzaju, do uprawiania dawnych zabrakło rąk. Aliści pojawiać się zaczęły w czasopismach artykuły filozoficznéj treści, zdradzające pióro wprawne, umysł oswojony z labiryntem duchowym swojskich i obcych myślicieli, pojęcie bystre a zarazem duszę gorącą, duszę artysty. Niebawem zaś pod nazwą „Scen z życia klerykalnego“ (*Scenes of the clerical life*) ukazała się, tém samém piórem skreślona. wiązanka szkiców, która dobyła z tysiąca ust okrzyk, że nietylko nowy powieściopisarz, ale nowy rodzaj powieści narodził się w Anglii.

Nowym był w saméj rzeczy ten rodzaj, nowym nietylko w Anglii, ale w całym świecie, bo na wskróś angielskim; filozoficznym i tendencyjnym zasadniczo, ale oryginalnie; nie od trybuny czy katedry ród swój wiodącym, ale raczéj od kazalnicy; coś nakształt homilii kościelnéj, ubranéj w szatę powieściową. Tylko naród, który wydał metodystów, mógł wydać taką powieść i tylko w takim narodzie, wzrosłym w atmosferze duchownego namaszczenia, wsłuchanym w biblijne kontrowersye sekciarzy kościelnych, mogła taka powieść stać się popularną, mimo całéj swéj artystycznéj wartości.

Na okładce rozchwytywanych szkiców stało imię: *Jerzego Eliot.*

Czyjem było to imię? Najprawdopodobniéj prowincyonalnego *clergyman*'a. Może kobiety? Podczas gdy umysły gubiły się w przypuszczeniach i sporach, szczupłe grono przyjaciół, ze znanym publicystą Jerzym Lewis na czele, otaczało hołdami 38-letnią, nieładną miss, córkę wiejskiego urzędnika mierniczego (*landsurveyor*) świeżo przybyłą do Londynu, z właściwego imienia i nazwiska, Maryę Evans, autorkę szkiców.

Czém mogło być życie téj kobiety aż do tak późnéj chwili, która ją powołała do przeznaczonego jéj zawodu—w tym względzie żaden dokument nie przychodzi w pomoc naszéj wyobraźni. Do 37 roku życia swego Jerzy Eliot niema historyi. Co nie zdaje mi się dowodzić koniecznie, aby te długie panieńskie i samotne lata były dla niéj latami szczęścia. Zapewne pracowała wiele i myślała dużo. Przypadek zetknął ją z Jerzym Lewis i sprowadził do stolicy. I znowu zapewne jakiś „dziennik wrażeń“, czy okolicznościowa próba pióra w powieściowym rodzaju, oddana w ręce opiekuńczemu publicyście, stała mu się zachętą do skierowania szukającego drogi swéj talentu na tę drogę, na któréj czekało go tyle tryumfów.

Odtąd historya Jerzego Eliot splata się z historyą angielskiego piśmiennictwa i angielskiego życia umysłowego w ostatnich latach trzydziestu.

Z dawniejszego kierunku swych prac i pierwszéj swéj twórczości piśmienniczéj wyniosła ona i wprowadziła do nowych swych kreacyi doktrynę filozoficzną, dogmatycznie prawie sformułowaną i przeprowadzoną do końca przez wszystkie zawroty artystycznego natchnienia z nigdy nie zachwianą konsekwencyą. Doktryną tą jest *altruizm* jak najszerzéj rozwinięty, posunięty aż do abnegacyi, do aktualnego zaparcia się siebie. Życie o tyle tylko jest coś wartém, o ile żyje się dla drugich. Oto kardynalny artykuł téj filozoficznéj wiary. Gdzie zaś jéj fundament? W religijném jakowémś pojęciu przeznaczeń i obowiązków naszych? Nie, w czysto filozoficzném pojęciu, podług którego osobiste szczęście nasze może być tylko odbiciem szczęścia cudzego; w *sympatycznym* pierwiastku, który w przekonaniu autorki jest podstawą naszéj natury, w stanie normalnym, w stanie moralnego odrodzenia. Egoizm stanowi w jéj oczach zboczenie, odstępstwo od naturalnego planu stworzenia i naturalnego charakteru stworzeń. Jest ułomnością. Człowiek moralnie zdrowy *kocha* naturalnie, tak jak człowiek fizycznie zdrowy *jé i pije*, tak jak drzewo rośnie i krzak róży pokrywa się pachnącym kwiatem. I kocha coś czy kogoś *po za sobą*. Tak chce prawo psychicznéj jego organizacyi. Kochając *siebie samego*, gwałci on to prawo i gwałci je z własną krzywdą. Tak jak gdyby łaknąc pożywienia, pożerał samego

siebie. Jest on wtedy skazanym na śmierć głodową potępieńcem, gryzącym swoje palce.....

Opiera się jednak w pewnéj mierze to pojęcie o pewną przychodzącą mu w pomoc religijną podstawę. Ktoby domyślał się w Jerzym Eliot chłodnéj racyonalistki, mylilby się stanowczo. O niczém więcéj nie okazuje się ona przekonaną jak o potrzebie religii. Jakiéj religii? Jakiéjkolwiek. Tak jest—jakiéjkolwiek. Obojętność jéj co do kwestyi wyznaniowéj zdaje się być zupełną. Protestantyzm nie ma wyraźnie dla niéj nic wstrętnego. Pastor wiejski *Irwine* z „Adama Bede", dziekan *Gascoigne* z „Daniel Deronda" należą do typów skreślonych przez nią z największém upodobaniem i najwidoczniejszą sympatyą. Metodystka *Dinah Morris* owładnęła najwyraźniéj jéj sercem aż do poróżnienia jéj na dobre z realizmem i zapędzenia w lazurowe sfery ideału. Ale ani metodyzm sam, ani żaden inny sąsiedni kościół nie skrępował jéj w swojéj ciasnéj formule. Pewną stroną swych religijnych tendencyi zbliża się ona aż do katolicyzmu. Otwarcie bowiem przyjmuje konieczność duchowego kierownictwa sumień. *Daniel Deronda* spowiada z iście kapłańskiém namaszczeniem piękną *Gwendolinę Harleth*. (Prawda, że czyni on to we fraku i białym krawacie, który to notabene frak pokrywa ksztalty Belwederskiego Apolina). Ale i judaizm nastręcza się naszéj powieściopisarce na którymś zawrocie téj eklektycznéj wędrówki i nie cofa się ona przed nim bynajmniéj. Owszem, dobywa z brudnego londyńskiego zaułka, z pośród rodziny trudniącéj się przyjmowaniem w zastaw pierścionków brylantowych, zagadkową postać „*Mordecaï'ego*" i czyni zeń natchnionego apostoła mesyanizmu.

Czém jest tedy właściwie dla niéj ten drugi pomocniczy pierwiastek religijny, od wszelkiéj formy i od wszelkiego dogmatu nawet niezależny? Tego nie umiem powiedziéć. Podobno czémś bardzo nieokreśloném w jéj własném pojęciu. Rzeczą uczucia zapewne, więcéj niż wiary; natchnienia raczéj niż logiki. A jednak nie rozumie ona religii bez pewnych praktyk zewnętrznych, obojętną tylko pozostając co do ich wyboru. Czytelnik pogodzić zechce te dane z sobą podług własnych pojęć—jeżeli potrafi. Wyręczyć go w tym względzie nie podejmuję się. Chyba powtórzeniem ustępu, w którym metodystka *Dinah Morris* odwiedza starą *Lisbeth*, matkę *Adama Bede*, płaczącą nad zwłokami męża:

„....I tak tedy była żarliwa modlitwa, była wiara, był zdrój miłości i nadziei lejący się tego wieczora w ubogiéj kuchence. I bez uchwycenia jakiegokolwiek jasnego pojęcia, bez przebycia jakichkolwiek religijnych wzruszeń, biedna, stara, rozdrażniona *Lisbeth* doświadczyła wstępującego w nią niewyraźnego uczucia dobroci

i miłości i czegoś sprawiedliwego, leżącego pod powierzchnią i po za obrębem tego troskami napełnionego życia. Zrozumiéć, dla czego to życie jest takiém, nie mogła, ale pod ujarzmiającym wpływem natchnionego ducha swéj towarzyszki, czuła, że powinna być cierpliwą i milczéć.....“

Cała religia Jerzego Eliot mieści się w tych kilku wierszach.

Nie tylko zaś religijną ale i artystyczną doktrynę własną przyniosła z sobą i rozwinęła autorka „Scen z życia klerykalnego.“ Dla określenia jednak téj ostatniéj gotów jestem znowu uciec się do jéj własnych słów, raczéj niż do moich osobistych analitycznych zasobów.

„Nie dążę do niczego więcéj jak do wiernego przedstawienia rzeczy i ludzi, tak jak ich postać odbiła się w moim umyśle. Zwierciadło nie jest zapewne doskonałém, ten i ów rys znajdzie się w niém fałszywym, całość obrazu niewyraźną lub zagmatwaną; jednak czuję się w obowiązku pokazania wam tego odbicia z taką dokładnością, jak gdybym siedziała przed sądem na ławie przeznaczonéj dla świadków i składala zeznanie pod przysięgą“ (1).

Oto więc teorya metody artystycznéj; a oto druga teorya co do wyboru przedmiotów.

„Odkrywam bezdenne źródło ciekawości i współczucia w próbowanych tutaj przedstawieniach jednéj z tych monotonnych domowych egzystencyi, które są losem większéj nieskończenie liczby mych bliźnich. Daleko mniéj konieczną rzeczą zda mi się, aby mnie nić sympatycznie wiązała z owym łotrem w czerwonéj wstędze i zielonym pióropuszu, niż z tym oto pospolitym obywatelem, który w kamizelce źle leżącéj i krawacie źle dobranym, sprzedaje mi funt cukru.....“ (2).

Z dwoma temi teoryami wiąże się jeszcze trzecia, osobna i bardzo osobista teorya—w materyi piękna. Czy i o ile osobisty żal do natury, dający się przypuścić u Miss Evans, wpłynął na wytworzenie tego kierunku w jéj artystyczném natchnieniu, przesądzać nie chcę. To jest rzeczą pewną, że Miss Evans nie była ładną, i że może nie dla tego, ale obok tego utworzyła sobie aksyomat z pogardy dla ładnych twarzy i dla piękności wogóle.

„Czy tylko rzeczy piękne mogą być godnemi kochania? Mam nadzieję, że nie! Nie jestem wcale pewną, czy przeważna większość ludzkich stworzeń nie była od początku świata brzydką. Mam między moimi przyjaciołmi jednego i drugiego towarzysza, których rysy należą stanowczo do téj kategoryi, że uwieńczenie ich czoła Apo-

(1) „Adam Bede“. — (2) Tamże.

linową fryzurą okazać by się musiało nader przykrém doświadczeniem; jednak wiem z zupełną pewnością o czułych sercach, które biły dla nich, i miniaturowe ich konterfekty—pełne pochlebstw, ale jeszcze dalekie od piękności—spotykają się, w sekrecie, z pocałunkami ust macierzyńskich... Znam niejednę przezacną matronę, która w najpiękniejszych dniach swoich nie mogła być ładną, a która chowa przecież w strzeżonéj zazdrośnie szufladzie wiązankę pożółkłych bilecików, i na któréj żółte policzki sypią się pocałunki całéj gromadki rozkosznych dzieciaków. Domyślam się także całéj rzeszy młodocianych bohaterów, którzy, dopóki im broda nie zagęściła się na twarzy, nosili się z przekonaniem, że niepodobna im kochać czegoś mniéj wspaniałego od boskiéj Dyanny, a którzy czują się obecnie szczęśliwymi zgoła, w małżeńskiém pożyciu z towarzyszką, posiadającą chód młodéj kaczki... Tak jest. Dzięki Bogu, uczucie ludzkie ma podobieństwo do potężnych rzek użyźniająeych ziemię naszą: nie ogląda się ono za pięknością; płynie z niepowstrzymaną siłą i *przynosi* piękność z sobą!“

Ale nietylko zbyteczną jest piękność, w pojęciu naszéj powieściopisarki; jest ona nawet szkodliwą. Pięknemi są wszystkie jéj grzesznice, zacząwszy od zalotnéj *Hetty Sorrel* a skończywszy na dumnéj *Gwendolinie Harleth.* I wszystkim piękność właśnie staje się okazyą do grzechu. Natomiast idealna *Dinah Morris* posiada tylko moralną piękność wyrazu w natchnionéj twarzy. A już połączenie się z sobą dwóch pięknych istot przedstawia się 38-letniéj samotnicy w charakterze czegoś zgoła nielogicznego, anormalnego, potwornego prawie. Jeżeli piękność może miéć wartość jakową, to chyba tylko przez ofiarę uczynioną z siebie; owóż istota, która już sama przez się jest piękną, nie potrzebuje takiéj ofiary, nie potrafi jéj ocenić. Złośliwość znajdzie i tu pole do wniosków, wiążących się z osobistemi zewnętrznemi, właściwościami panny Evans. Osobiście wolę poprzestać na zaznaczeniu faktu, bez wnioskowania o jego zagadkowych przyczynach.

Realizm tedy posunięty aż do protokólarnego oddania zebranych wrażeń, przywiązanie się do przedmiotów poziomych i pozornie trywialnych, nakoniec cześć zazdrosna i prawie wyłączna dla *duchowego* piękna—oto trzy artykuły wiary artystycznéj, któréj *credo* znajduje się już w „Scenach z życia klerykalnego,“ a któréj ewangelią jest „Adam Bede.“

Czy atoli jest zarazem tenże „Adam Bede“ ostatecznym wyrazem artystycznéj twórczości przez się reprezentowanéj? Odpowiedź wypada przecząco. Powiedziałem wyżéj o wierności przechowanéj przez naszą powieściopisarkę w ciągu jéj całego zawodu, dla wypie-

lęgnowanych w długiéj samotności filozoficznych pojęć i przekonań. Inaczéj się ma z artystyczną tegoż zawodu połową. W tym względzie „Silas Marner" (1863), trzecia z kolei powieść szerszego zakroju, podpisana imieniem Jerzego Eliot, stanowi granicę między dwoma kierunkami, przedstawiającemi jeszcze pewne cechy wspólne, ale též i głębokie różnice. W chwili tej, autorka rozchwytywanych, entuzjazmujących Anglią całą arcydzieł, dobiła się szczytu sławy; świat cały, nietylko ten świat monotonnych egzystencyi i poziomych istot, który zjednał sobie pierwsze jéj sympatye, ale sam *wielki świat*, z pierwszorzędnych gwiazd literackich i arystokratycznych potentatów złożony, uderzył czołem przed nią i otworzył jéj swoje progi. Weszła ona w te progi, niegdyś zdaleka pogardliwém mierzone okiem,— i niebawem zapomniała o dawnych sympatyach i dawnych prostaczych ulubieńcach swéj wyobraźni. Episier z przeciwka przestał jéj zdawać się równie interesującym jak poprzednio. Trywialne postacie pospolitych tkaczy i majstrów ciesielskich przestały jéj zdawać się zdolnemi do odziewania jéj wybredniejszych już teraz pomysłów. Nie chcąc może przyznać się do tego saméj sobie, cofając się przed natychmiastowém zaparciem się swojéj wiary artystycznéj, szuka ona zrazu ucieczki w świecie fikcyi i w dalekich historycznych widnokręgach. Ona, wczorajsza realistka, powtarzająca *pod przysięgą* to, co widziala naocznie i słyszała własnemi uszami, przenosi się do Włoch, w czasy Medyceuszów. Ubiera swą filozoficzną tezę w fantastyczne kształty greckiego bakałarza *Tito-Melemy*, i Sawonarolowskiéj uczennicy, *Romoli*. Ale, w obec wyraźnego niepowodzenia téj próby, kapituluje ostatecznie, pali dawne swoje bogi i wkracza stanowczo z „Danielem Deronda" w poufale teraz sobie sfery *highlife'u*. *Gwendolina Harleth* jest tą samą wprawdzie grzeszną niewiastą co *Hetty Sorrel*, tak samo zbałamuconą przez własną piękność i przez powiązane z tym zdradzieckim darem pokusy światowe, ale, zamiast robić séry, jeździ konno na czystéj krwi rumakach *lorda Grandcourt*.

Pilno mi dodać, że, w pewnéj mierze, zwrot ten tłómaczy się także naturą samą talentu, który dostał się w dziale autorce „Adama Bede" i „Daniela Deronda." Talent to potężny—ale potężny głównie refleksyjną właśnie siłą swoją. Wyobraźnia okazuje się skąpą u Jerzego Eliot. Jej obraz życia Florenckiego, w epoce dzielącéj śmierć wielkiego Medyceusza od śmierci Savonaroli, jest suchą kronikarską kompilacyą. Natomiast jéj dzisiejsi powszedni tkacze i majstrowie ciesielscy są postaciami mistrzowską oddanemi ręką i tak samo mistrzowskim typem jest *lord Grandcourt*. Tych widziała w saméj rzeczy autorka na własne oczy i slyszała własnemi uszami.

W ogóle jednak, druga połowa jéj „zwierciadlanych“ odtworzeń mniéj okazuje się szczęśliwą od pierwszéj. Snać zwierciadło stało się już mniéj czułem, siła jego refleksyjna mniéj potężną.

Ten refleksyjny charakter jéj twórczości jest tak dalece wybitnym u Jerzego Eliot, że wyklucza nawet tę miarę osobistéj fantazyi, za pomocą któréj pędzel innych artystów, nie przekształcając natury, opromienia ją poetycznym urokiem. Jéj opisy są dokładnemi, ale nic nad to; jéj krajobrazy mają podobieństwo do map geograficznych. Chyba że jakaś myśl filozoficzna, czy poetyczna, rzucona w poprzek, udziela im osobliwego blasku i niezwykłéj wypukłości:

„... Jakże szczęśliwym wyglądać musi kraj ten przed oczyma obojętnego wędrowca, przebiegającego tę oto dolinę, zatrzymującego się na tym oto pagórku. Myślałam często o tém, w obcych krajach, kiedy, trafiwszy na pola i lasy podobne do naszych w *Loamshire*, na żyzne role z równém uprawione staraniem, i drogi zbiegające tak samo z łagodnych pochyłości i zielone łąki—spotykałam się nagle z czémś, co przypomniało mi, że nie jestem w *Loamshire*; z obrazem strasznéj męczarni—męczarni krzyża! Wyrósł on oto przedemną w cieniu kwitnących jabłoni, albo w pełnym blasku słońca przy porosłych bujném zbożem zagonach, albo na zakręcie leśnéj drogi, opodal od jasnego strumyka szemrzącego w wąwozie; i zapewne, gdyby zjawił się tam pielgrzym, nie wiedzący nic o historyi naszych losów na téj ziemi, ten męczeński wizerunek musiał-by mu się zdać dziwnie nie na swojém miejscu pośród téj wesołéj przyrody. Nie zgadłby on, że za kwitnącemi jabłoniami, albo pośród złotéj fali kłosów, albo w leśnych pachnących klombach kryje się może serce ludzkie, bijące trwogą i rozpaczą; kryje się może młoda, do pączka róży podobna dziewczyna, która nie wié, gdzie szukać ucieczki przed szybko nadchodzącą hańbą“...

Takim opisem otwiera autorka scenę (w „Adam Bede“)—jednę z najdramatyczniejszych jéj piórem skreślonych—w któréj *Hetty Sorrel* znajduje *ucieczkę* przed hańbą, w morderstwie swego dziecka.

Kilka słów teraz jeszcze o *realizmie* artystycznym autorki „Adama Bede.“ Jest to realizm rzetelny, ale realizm *sui generis*, który nie przeszkadza temu, że ten sam „Adam Bede“ liczyć się może śmiało do najidealniejszych i nie waham się dodać, najfantastyczniejszych kreacyi, jakie wyszły kiedykolwiek z pod czyjegokolwiek pióra. Jużci za realnego i realistycznie traktowanego ujść musi ten syn cieśli i cieśla sam, kiedy, pracując nad sporządzeniem trumny dla swojego ojca, (który wypiwszy za wiele, swoim zwyczajem, utopił się w sąsiednim stawie), nie broni się on przed uczuciem pewnego zadowolnienia na myśl, że ten wiecznie pijany ojciec nie będzie już dlań

powodem zmartwienia i wstydu, a potém kieruje swoje wspomnienia do pięknych oczu *Hetty Sorrel*. Ale w pięć minut potém ten sam cieśla mówi takim językiem, najwznioślejszych uczuć pełnym, jakim nie mówił nigdy żaden cieśla. Mówi jak mędrzec grecki a działa jak bohater z pierwszych wieków chrześciaństwa. Brat zaś jego młodszy, *Seth*, współzawodniczy z nim w tym względzie i bodaj czy go nie przewyższa jeszcze. Brat ten rozkochał się w metodystce, *Dinie Morris*; ta jednak nie chce kochać go inaczéj jak braterskiém uczuciem, pragnąc poświęcić się w całości służbie bożéj. Po rozmaitych dopiero kolejach i bolesnych przeprawach, serce jéj mięknie i daje przystęp uczuciom czulszym—ale dla *Adama*. Tak się przynajmniéj zdaje temu ostatniemu, który pyta przeto brata:

— „Czy sprawiło by ci tó przykrość, gdyby ona kochać miała więcéj mnie niż ciebie?

— Jak możesz przypuszczać coś podobnego?—odpowiada *Seth* gorąco. Żaliż tak mało współczułem twojemu smutkowi, iżbym nie miał współczuć twojéj radości?“

Jedna tylko Hetty Sorrel,—*piękna* Hetty—nie zabłąkuje się nigdy w sfery ideału:

— „Czy kochasz mnie na prawdę, *Hetty*?—pyta ją *Adam*.—Czy chcesz być moją żoną, towarzyszką, którą kochać i pielęgnować będę, tak długo jak Bóg mi żyć pozwoli?“

Hetty oddała dopiero co swoje serce, i coś więcéj jeszcze, młodemu i pięknemu spadkobiercy imienia i majątku *Donnithornów*. Ale *Artur Donnithorne* odjechał, nie wiadomo kiedy wróci i niema pewności, czy wróci *do niéj*, więc *Hetty*:

„... Nie rzekła słowa, ale czując twarz *Adama* blizką swojéj twarzy, przytuliła rumianą buzię do téj męzkiéj twarzy, jak kotka. Potrzebowała pieszczoty, potrzebowała wyobrazić sobie, że *Artur* jest znowu przy niéj“...

W jakiż tedy sposób realistką jest Jerzy Eliot? W ten sposób, że dostrzega ona, rozróżnia i zaznacza z przedziwną przenikliwością, wszystkie rozmaite, sprzeczne czasem, rysy i odcienia ludzkiéj natury, ludzkiego charakteru; ale, dokonawszy téj analizy, *potęguje* dowolnie ten lub ów rys, najpospoliciéj rys dodatni, i tworzy, za pomocą téj sztucznéj kombinacyi, postaci, względnie prawdziwe, bo niemasz w nich nic fałszywego, prócz przesadzonéj skali pewnych, prawdziwych zresztą i w naturze zaobserwowanych uczuć, względnie realne, ale z absolutnego punktu widzenia, zgoła należące do fikcyi. W ten sposób osięga ona tę idealną plastykę, która udziela jéj kreacyom ich niezrównanego uroku, w ten sposób oblewa strumieniami poezyi najtrywialniejsze szczegóły i najpospolitsze typy, w ten spo-

sób i w téj mierze, pozostając wierną swemu realistycznemu programowi, czyni ze swojéj rzekoméj prawdomówności największę pochlebczynię serc i sumień ludzkich, z jaką spotkać się można. To jéj sekret, to jéj sztuka i najpewniéjsze źródło jéj powodzenia przed światem. Kilkakrotnie ponawiane przez nią próby kreacyi poetycznych w wiązanéj mowie nie wypadły szczęśliwie. Ale „Adam Bede" mimo prozaicznéj swéj formy jest najrzetelniejszym poematem.

Mistrzyni zresztą, niedościgniona mistrzyni w zakresie analizy psychicznéj. Powiedziano o subtelnéj czułości jéj analitycznego zmysłu, w tym względzie, to co mówią o zmyśle muzykalnym chińczyków, których ucho zdolném jest podobno uchwycić *ćwierci tonu*. Pełna także trafnych spostrzeżeń, bystrych pomysłów i głęboko sięgających poglądów—choć zawsze prawie drobiazgowych bardzo, nie wychodzących ze *szczegółu*. Do szérszych ogólnień mało zdolna. Powiedziano o niéj także, że byłaby mogła napisać „Charaktery" La Bruyer'a, ale nie „Maksymy" La Rochefoucauld'a. Jakoż spróbowano uzbierać i wydać w osobnym tomie wiązankę najpiękniéjszych kwiatów jéj myśli—i próba nie powiodła się. Uszczknięte z miejsca, na którém rozsiała je jéj ręka, kwiaty straciły barwę swoję i zapach.

Rozszerzyłem mimowolnie ogólną tę charaterystykę i brakuje mi miejsca na krótki nawet, zamierzony przegląd główniejszych utworów wspomnianych w jéj ciągu lub pominiętych.

„Sceny z życia klerykalnego," mimo powodzenia, z którém się spotkały, są jeszcze świadectwem niewyrobionego talentu. Widać w nich jakby próbę doświadczalną rozmaitych metod artystycznych. Mistrzem wyzwolonym, pewnym siebie i swojéj sztuki okazuje się Jerzy Eliot dopiero w „Młynie nad rzeką Floss". Historya to dwóch charakterów, i dwóch temperamentów brata i siostry. *On* krzepki, energiczny, tępy do książki ale przedziwnym zmysłem obdarzony do interesów, pełen poczucia obowiązku, ale nie znający pobłażliwości, nie przebaczający niczego ani sobie ani drugim,—typ najdoskonalszy może w całéj literaturze angielskiéj zimno-krwistego Anglika. *Ona* wiotka, nerwowa, z czułém sercem i gorącą wyobraźnią, rozczytana w romansowéj literaturze i szukająca romansu w życiu—typ przedziwny także swojskiéj wyegzaltowanéj *miss*. W nim *pierwiastek sympatyczny* zanikł zupełnie; w niéj rozwinął się fałszywie. *On* dochodzi do tego, że wypędza z domu własną siostrę, niesprawiedliwém oskarżeniem zniesławioną. *Ona* do tego, że daje się uwieść narzeczonemu najlepszéj swéj przyjaciółki. Oboje jednak przychodzą do poznania swego błędu. *Ona* wyrzeka się dobrowolnie szczę-

ścia wydartego nieprawym postępkiem ukochanéj przez się istocie, opuszcza swego uwodziciela i skazuje się na życie pokutnicze w niedostatku i upokorzeniu. On—nie przebaczający brat—doczekuje się nocy, w któréj wezbrana nagle powódź zaskakuje go, grożąc niechybną śmiercią, w zalanym dokoła domu, do którego wdzierają się piętrzące się fale. W tém zjawia się pod oknem łódka z kobiecą w niéj postacią. To *ona*, wypędzona z domu siostra, przybywa na jego ratunek. Ale napróżno. Porwany przez powódź stos belek potrąca kruchą łódkę, i wtedy obejmując ją ostatnim braterskim uściskiem, *on* pogrąża się razem z nią w przepaść.

Tyle filozoficznéj treści powieści. Reszta należy bądź do obrazowego opisu obyczajów i typów, bądź do rozbioru charakterów i temperamentów. Strona opisowa jest szeregiem arcydzieł; ale szereg może trochę długi. Świat *Dodsonów* i *Tulliverów*, młynarzy, *farmerów* i mało miasteczkowych rentyerów przedstawia się nam z plastyką zapożyczoną od holenderskich mistrzów pędzla, ale nuży nas trochę. Strona analizy psychologicznéj niema podobno równéj sobie w żadnéj literaturze. *Tom Tulliver* i *Maggie Tulliver*, jego siostra, są unikatami w tym względzie. Ale może i zabrana z niemi znajomość, tak bliska, że każde uderzenie ich serca staje się nam przytomném, naprzykrzyć się jest w stanie mniéj cierpliwemu czytelnikowi. Zapewne sprawiedliwém jest to pojęcie, że, dla dokładnego poznania i należytego zrozumienia danego charakteru i temperamentu, trzeba sięgnąć do samych początków powolnego ich rozwoju. Ztąd w „The Mill on the Floss“ ustęp poświęcony idylicznemu opisowi dziecinnych lat obojga *Tulliverów*. Ale ustęp ten zajmuje 400 kartek, całość 1-go tomu dwutomowéj powieści. Idylla jest ładną, ale trochę długą. Historya także finansowych kłopotów i niefortunnych spekulacyi starego *Tullivera*, ojca, trzyma zawiele miejsca w obu tomach.

Godzi się dodać że, według wszelkiego prawdopodobieństwa, obraz sympatyczny *Maggie* w dziecinnych latach, jest w pewnéj mierze autobiografią—co udziela mu osobliwego interesu.

Te same przymioty po części i te same wady odnajdują się w „Adamie Bede“—razem z tą samą myślą filozoficzną, tylko w odmiennym kształcie. *Adam Bede*, cieśla z profesyi, jest ideałem ciesielskiego majstra i nawet do pewnego stopnia ideałem mężczyzny. Biegły w swém rzemiośle, pracowity, sumienny, silny jak lew i jak lew wspaniałomyślny, pełen naturalnego rozumu przytém, bystrości, energii i woli, grzeszy on chyba tylko zbyteczną pewnością siebie i skłonnością do ulegania popędom szlachetnego serca. Piękne oczy *Hetty Sorrel* pociągnęły go ku sobie i nie oparł się on ich magnetycz-

néj sile. Tak samo młody przystojny, dzielny i szlachetny *Artur Donnithorne* ujść by mógł za ideał dżentlemana wiejskiego, gdyby lepiéj umiał trzymać na wodzy swój krewki temperament. W rezultacie, rozumny i poważny *Adam* robi z pięknéj ale płochéj *Hetty* swoję narzeczoną, sympatyczny zaś *Artur* uwodzi ją i przyprowadza do dzieciobójstwa. Ocalona od haniebnéj śmierci pod szubienicą, dzięki usiłowaniom *Artura*, *Hetty* umiéra za dalekiemi morzami w pokutniczéj szacie galerników. *Artur* opuszcza dostatki i rozkosze życia, o którém marzył, a którego progi śmierć wuja otworzyła właśnie przed nim, i idzie zmywać swoję winę krwią wylewaną na polach bitew. *Adam*, przebolawszy swoję boleść, łączy się z metodystką *Diną Morris*.

Powieść otwiera się kazaniem, wygłoszoném w otwartém polu przez młodą metodystkę, (która, pracując w papierni, jako prosta robotnica, znajduje zagadkową możność obnoszenia po całéj okolicy swego apostolstwa). Kazanie to, nieco długie znowu, nadaje ton całéj powieści, pełnéj skądinąd idylicznych a nawet dramatycznych scen, mistrzowską skreślonych ręką. Sceny, w których *Hetty Sorrel* walczy najpierw z myślą samobójstwa a późniéj z myślą drugiéj, ostatecznie spełnionéj przez się zbrodni, są arcydziełem i dramatycznego obrazowania i analizy psychicznéj. Z niezrównaną także biegłością i niezrównanym wdziękiem oddać umie Jerzy Eliot powolne stopniowanie uczuć, za pomocą którego dwa stworzone dla siebie serca, *Adama* i *Diny*, przebywają dzielącą je z początku przestrzeń. Nikt chyba nie przewyższył, nikt nie doścignął może autorki angielskiéj w misterném a pełném poezyi odwzorowaniu: „drobnych słów, nieśmiałych spojrzeń, bojaźliwych dotknięć, za pomocą których jedna dusza zbliża się powoli do drugiéj, niby dwa drżące dészczowe strumyki, dopóki nie spłyną w jeden potok“...

Po „Adamie Bede,“ „Silas Marner“ jest rodzajem artystyczno-filozoficznego intermezzo. Historya to nieszczęśliwéj ofiary ludzkiéj niegodziwości, biednego tkacza, który niesłusznem podejrzeniem o kradzież dotknięty i odepchnięty od swoich, zamyka się w samotności i w rozwiniętéj stopniowo namiętności do zbierania, srebrnych szylingów i złotych gwinei. Jednego dnia skarb, zazdrośnie przezeń strzeżony, znika zbrodniczą uniesiony ręką, i zdaje się wtedy rozpaczającemu starcowi, że nic już nie pozostaje dlań na ziemi. Aliści, w niepewném blasku płonącego komina, spostrzega on przed sobą, na ziemi, coś podobnego do kupki złota: to złotowłosa główka dziecka, którego matka umarła dopiero co z głodu i zimna pod progiem jego domu. Dziecko zostawione samo sobie zobaczyło przez otwarte drzwi płomień komina i przypełzło do światła i ciepła. *Silas*

Marner przygarnia biedną sierotkę, przywiązuje się powoli do niéj i w tém przywiązaniu odnajduje skarb prawdziwy, odnajduje stracone szczęście.

Obraz humorystyczny stosunków społecznych i towarzyskich w parafii Raveloe wiąże się z tą filozoficzną treścią.

Po „Silasie Marner“—„Romola,“ to jest, jak już miałem sposobność nadmięnić, przełom w dotychczasowéj jednolitości artystycznego zawodu, rozpoczętego „Scenami z życia klerykalnego.“ Chodzi tym razem naszéj autorce o wykazanie, do czego doprowadzić może człowieka, nawet niezłego z gruntu, przewaga choćby raz tylko udzielona przezeń instynktom egoistycznym. Dla czego podobało jéj się szukać swojego egoisty aż na wyspach greckich i w XV wieku, o tém wspomniałem już także. Tito Melema jest tedy młodym Grekiem, którego jedna z częstych w owéj epoce przygód morskich rzuca na brzeg włoski i zawodzi do Florencyi. Z rozbitego przez burzę statku uniósł on razem z życiem kilka drogocennych klejnotów, które pozwolić mu mogą na osiedlenie się w rozkosznėm mieście włoskiém i na szukanie w niém szczęścia. Ale klejnoty te są własnością jego przybranego ojca, jego opiekuna i dobroczyńcy, który prawdopodobnie dostał się do niewoli i wygląda okupu.

Znanym jest zapewne czytelnikom apolog *o mandarynie*, świeżo wyzyskany przez francuzkiego powieściopisarza (Juliusza Claretie) w „Janie Mornas.“ Gdyby ktoś wiedział, że jedném skinieniem palca może o cztery tysiące mil zabić gdzieś w Pekinie nieznanego mandaryna i odziedziczyć po nim jego dostatki, czy ten ktoś cofnął by się przed taką zbrodnią?—*Tito Melema* nie zabija nawet *mandaryna*, tylko przypuszcza, że on nie żyje. W tém pochlebiającém mu przypuszczeniu, sprzedaje klejnoty przez się jakoby odziedziczone, i zaczyna wieść wesołe a szczęśliwych przygód pełne życie. Aliści mandaryn—to jest za nieżyjącego poczytany dobroczyńca—zjawia się. Co ma począć nieszczęśliwy *Tito*? Przyznać się do winy i pożegnać się z rozkoszami i obietnicami dopiero co rozpoczętego zawodu? Dusza jego zepsuta, znikczemniona pierwszém ustępstwem, uczynionėm przezeń podszeptom i wymaganiom egoizmu, cofa się przed tém żądaniem surowego obowiązku. Wyrzeka się on, zapiera się biednego starca, któremu winien w przeszłości wszystko. Ale odtąd brnąć mu już przychodzi z jednego kłamstwa w drugie i z jednéj zbrodni w najstraszniejszą przepaść moralnego upodlenia. *Tito Melema* jest właściwym bohaterem powieści i może—niezależnie od swego otoczenia, jako psychologiczne studyum—najdoskonalszą kreacyą Jerzego Eliot. Tytułowa bohaterka, *Romola*, idealnie szlachetna małżonka niegodnego greka, służy właściwie tylko za kontrast i za

pretekst do wprowadzenia na scenę *Savonaroli*, którego penitentką i wyznawczynią entuzyastyczną staje się ona chwilowo. Powiedziałem już, co myślę o podjętém przez autorkę wskrzeszeniu odległéj a burzliwéj epoki życia włoskiego. Panoramiczny charakter skreślonych przez nią obrazów nie przyczynia się do ich ożywienia. Postać zagadkowa natchnionego mnicha nie występuje z nich dość wypukło. *Tito Melema* ginie w ulicznym rozruchu, przez siebie po części wywołanym; chroniąc się przed rozwścieczonym tłumem rzuca się do rzeki, i dobija się do brzegu, ale, w pół omdlały, wpada w ręce mściwego starca—zdradzonego przez się dobroczyńcy—który dusi go i kona sam na jego trupie. *Romola* poświęca się dobrym uczynkom.

Artystyczna metoda kontrastu, wyzyskana tutaj za pomocą dwóch postaci *Tity-Melema* i *Romoli*, doczekuje się szerszego jeszcze rozwinięcia w „Danielu Deronda.“ Dwa tu już światy całe, niby świat Ormuzda i świat Arymana, występują przed nami w pełnym antagonizmie. *Daniel Deronda* jest synem słynnéj niegdyś śpiewaczki, żydówki z pochodzenia, która wydała się za księcia rosyjskiego, pierwéj zaś jeszcze powierzyła swego syna lordowi angielskiemu, który go wychował jako anglika i zataił przed nim jego pochodzenie. Mimo swéj nieświadomości w tym względzie, *Daniel* ulega tajemniczemu pociągowi do religii i do rasy, z któremi wiąże go węzeł krwi, a także zagadkowemu fatalizmowi, który go zbliża do jednéj i do drugiéj. Pływając łódką po Tamizie, znajduje on młodą żydówkę, która chce się topić; tropiąc zaś po zaułkach londyńskich za rodziną tejże ocalonéj przez się żydówki, z imienia i nazwiska *Maryi* („Miriah“) *Lapidoth*, spotyka uczonego talmudystę *Mordecai*'ego, który okazuje się być bratem pięknéj *Miriah* i natchnionym prorokiem. Prorok umiera, *Daniel* zaś dowiaduje się o swojém pochodzeniu, i bierze w spadku po zmarłym jego siostrę, z którą się żeni, i jego mesyaniczne marzenia, dla urzeczywistnienia których udaje się na wschód.

Dlaczego wśród tych wszystkich zdarzeń spotyka się on w Homburgu z piękną i arystokratyczną *Gwendoliną Harleth* i dlaczego my sami spotykamy się z jéj historyą oraz z historyą jéj późniejszego męża, lorda *Grandcourt*, które te dwie historye biegną odtąd przed nami równolegle z losami samego Daniela i jego semickich przyjaciół, nie wiążąc się zresztą z sobą żadnym koniecznym węzłem? Dla kontrastu właśnie i tylko dla kontrastu, *Daniel*, *Mordecai*, *Miriah*—to świat wzniosłych idei, szlachetnych uczuć i poświęceń bez granic, świat sympatycznych pierwiastków. *Gwendolina Harleth*, i lord *Grandcourt*—to świat małoduszności, nikczemnéj dumy i egoizmu. *Gwendolina Harleth* wydaje się za lorda *Grandcourt*, nie kochając go,

dla jego imienia i dostatków—i znajduje w tym pożądanym przez się i zazdroszczonym przez drugich losie tylko upokorzenie i niesmak. Przyjmuje ona to imię i te dostatki, choć wie że, tak czyniąc, krzywdzi inną kobietę, któréj dostojny lord przysiągł niegdyś wieczną miłość—i zgryzoty dręczące mszczą się na niéj. *Daniel Deronda* słucha tylko głosu sumienia i serca, kocha i poświęca się—i jest szczęśliwym. Takim jest los dzieci Ormuzda a takim dzieci Arimana. Przy końcu powieści Ormuzd tryumfuje stanowczo. Lord *Grandcourt* tonie wśród yachtowéj wycieczki na morzu Adryatyckiém, wyspowiadana zaś przez *Daniela* i nawrócona *Gwendolina* wyrzeka się wszystkich marności tego świata i wszystkich jego rozkoszy—zaczynając od téj, (niedostępnéj zresztą dla się), która przypadła w udziale szczęśliwszéj *Miriah*, ukochanéj przez *Daniela*.

Jednym z najdoskonalszych i najplastyczniéj oddanych typów, w całéj galeryi Jerzego Eliot, jest typ spleenowatego, wykwintnego w obejściu a brutalnego w czynie, zamkniętego w swym egoizmie, jak żółw w swéj skorupie, a zimnego jak wąż—lorda *Grandcourt*.

Przegląd mój zatrzymać się tu może. Jeżeli „Silas Marner“ zaznacza przełom w talencie i zawodzie literackim swéj autorki, tedy „Daniel Deronda“ stanowi metę, po za którą talent ten i zawód przestają być równemi sobie. Natchnienie wyczerpało się widocznie, zmysł artystyczny przytępił się i uległ niepożądanym wpływom. W „Feliksie Holt“—nie nadto szczęśliwym portrecie demokraty angielskiego i nie nadto szczęśliwéj wycieczce na pole literatury politycznéj—widać chęć obronienia się przed zarzutem dostrzeżonego przez niektórych krytyków braku pomysłowości w dotychczasowych kreacyach; więc przerażającą obfitość dramatycznych komplikacyi, intryg, spisków, zbrodni, fałszywych metryk i zabójstw. Widać w „Middlemarch“ rozpaczliwy zamach na stworzenie czegoś oryginalnego, nie *widzianego* przez się, ani téż przez nikogo, więc dziwaczny pomysł „ś-éj Teresy Protestanckiéj,“ a obok tego cudaczną plątaninę aż czterech na raz wątków powieściowych. We „Wrażeniach pana Teofrasta Such“ („Impressions of sir Theofrastus Such“), ostatnim, wczesną śmierć poprzedzającym utworze, nie widać już nic—ani nawet szczątków wielkiego talentu.

Śmierć ta (w 1880 r.) osierocając liczne już teraz grono przyjaciół, nie przyniosła krzywdy ani sławie autorki,—ani literaturze angielskiéj.

2. **Tomasz Hardy.**

„Kiedy *Farmer Oak* śmiał się, krawędzie jego ust rozszerzały się tak, iż mało już znacząca przestrzeń tylko dzieliła je od uszu, oczy

jego sprowadzały się do rozmiaru prostych szczelin a rozchodzące się na wszystkie strony zmarszczki występowały dokoła nich, pokrywając całą jego fizyonomią, nakształt promieni w skreślonym na prędce obrazie wschodzącego słońca.

„Na imię chrzestne było mu *Gabryel* i w dnie robocze odznaczał się on jako młodzieniec obdarzony zdrowym sądem o rzeczach, swobodnemi ruchami, przyzwoitém odzieniem i charakterem ogólnie dobrym. Dnie świąteczne natomiast pokazywały w nim człowieka o mglistych poglądach, skłonnego do odkładania rzeczy na późniéj i zakłopotanego swoim niedzielnym strojem oraz okazałym parasolem: zajmującego jedném słowem pod względem moralnym szeroką neutralną przestrzeń między nabożną połową parafii a połową pijaną—to jest, że chodził do kościoła, ale ziewał prywatnie podczas *Nicejskiego credo*, a myślał o tém, co będzie na obiad, wyobrażając sobie, że słucha kazania....

„Nosił *Mr. Oak* w charakterze zégarka instrument, który właściwiéj zwać się mógł małym srebrnym zégarem; innemi słowy był to zégarek z kształtu i intencyi, ale mały zégar z rozmiarów swoich. Instrument ten kilkoma latami starszy od *Oakowego* dziada, miał tę podwójną właściwość, że albo chodził za prędko, albo wcale nie..... Téj ostatniéj właściwości zaradzał *Oak* często powtarzaném szturchaniem i potrząsaniem; złym zaś następstwom wyniknąć mogącym z pierwszéj zapobiegał ciągłemi porównawczemi obserwacyami dokonywanemi na słońcu i gwiazdach, oraz przykładaniem twarzy do szyb sąsiednich domostw, posiadających ścienne, zielono malowane regulatory.... Nadmienić godzi się, że przystęp do *Oakowego* zégarka przedstawiał osobliwą trudność, ze względu na nieco wysoko położoną sytuacyą tegoż w kieszeni od pantalionów, wysoko pomieszczonéj także pod kamizelką; przezwyciężenie przeto téj trudności wymagało koniecznie przechylenia całego ciała na jednę stronę aż do ostatecznéj przez równowagę dozwolonéj granicy, z równoczesném sprowadzeniem gęby i twarzy do bezkształtnéj masy cielesnéj, skutkiem nieodzownego wysiłku muszkułów; poczém zégarek wyciągał się za pomocą łańcuszka doń przytwierdzonego, niby kubeł ze studni.....“

Kiedy tym portretem rozpoczynająca się powieść p. t. „Zdala od szalonego tłumu“ („*Far from the madding crowd*“) ukazała się na kilka lat przed śmiercią Jerzego Eliot, zrozumiano powszechnie i ogłoszono entuzyastycznie, że wielka powieściopisarka, autorka „Adama Bede“, doczekała się następcy. Za portretem szła scena oświadczyn *Gabryela Oak* o rękę ubogiéj wyrobnicy, *Betsy Overdene*. Przypadek niefortunny zrządził, że *Betsy* nie znalazła się w domu podczas przybycia rozkochanego w jéj piękności *fermera*. Ciotka

zaś jéj uznała za stosowne dać temuż do zrozumienia, że co najmniéj tuzin konkurentów wyprzedził go w pochlebnych skądinąd intencyach.

„— To okoliczność nieszczęśliwa— rzekł *Farmer Oak*, wpatrując się z głębokim smutkiem w szczelinę kamiennéj podłogi.—Jestem prostym tylko człowiekiem i mogłem rachować na to jedynie, że będę pierwszym.... Kiedy tak, nie mam co czekać....."

Ale zaledwie *Gabryel Oak* uszedł paręset kroków z powrotem do domu, usłyszał za sobą przeciągłe „*hoi - hoi!*" ze śpiewnego wychodzące gardła; obejrzawszy się zaś, zobaczył dziewczynę, biegnącą za nim i powiewającą białą chustką. *Gabryel Oak* zatrzymał się i krew nabiegła mu do twarzy. Poznał piękną *Betsy*.

— „Fermerze Oak — rzekła *Betsy*, i zatrzymała się dla braku oddechu, przykładając rękę do boku. Pobiegłam za tobą, ażeby ci powiedzićć, że moja ciotka omyliła się odprawiając cię i odstręczając od swatów.... Tak, była to prosta omyłka. I to co ciotka powiedziała o téj masie konkurentów, to nieprawda. Niemam żadnego i nie miałam nigdy...."

— „Dalibóg rad jestem to słyszéć" — rzekł *Farmer Oak* i roześmiał się jednym ze swych szerokich uśmiechów, czerwieniejąc jednocześnie od radości. Poczém wyciągnął rękę, aby ująć tę, którą *Betsy* odjęła w téj chwili od boku, ulżywszy sobie z téj strony, a przyłożyła do głośno bijącego ciągle serca. Ale zaledwie dotknął jéj, téj pożądanéj rączki, schowała się ona za plecami, wymykając się z jego grubych palców jak piskorz.

— „Mam ci ładną, chędogą *fermę* — rzekł *Gabryel Oak*, tracąc połowę dopiero co osiągniętéj ufności.

— „Tak jest, wiem o tém.

— „Znalazłem trochę pieniędzy do pożyczenia, na początek, ale te będą spłacone wkrótce; a choć jestem tylko prostym człowiekiem, jednak wyrobiłem się trochę od czasu jak byłem chłopcem. Gabryel wymówił „trochę" tonem oznaczającym, że używa téj formy przez skromność, zamiast „dużo". — Jestem pewny—ciągnął daléj— że skoro się pobierzemy, będę mógł pracować dwa razy tyle co teraz.

„Tu postąpił krokiem naprzód i wyciągnął znowu rękę. *Betsy* dogoniła go była w miejscu, w którém wyrósł niski krzak ostrokrzewu, pokryty w téj chwili czerwonemi jagodami. Widząc, że ruch jego przybiera kierunek grożący możliwém uwięzieniem jeżeli nie przygnieceniem jéj osobie, *Betsy* szybkim zwrotem umieściła kolczasty krzak między swym konkurentem a osobą.

— „Ależ Farmerze Oak — rzekła przez wierzch krzaku, poglądając nań okrągłemi od zdziwienia oczami — nie powiedziałam wcale, że myślę iść za ciebie.

— „A to nowina dopiero!—rzekł *Oak* z najwyższym niesmakiem.

Ale Betsy wyparła się na seryo wszelkiéj matrymonialnéj intencyi, nie odmawiając sobie jednocześnie odrobiny kokieteryi, dostatecznéj do napełnienia biednego *Gabryela* nowemi nadziejami.

— Dalibóg mogę cię uczynić szczęśliwą — rzekł, zwracając tymrazem mowę do jéj pleców. — Będziesz miała fortepian za rok, albo za dwa — żony fermerów grywają teraz na fortepianie — ja sam zaś gram na flecie jako tako, i grywać będziemy razem wieczorami....

— Tak, to by mi się podobało.

— I podobało by ci się także miéć mały dwukołowy wózek (za dziesięć funtów) do jeżdżenia na jarmark, i ładne kwiaty, i ptaki (koguty i kury ma się rozumiéć, jako użyteczne) — ciągnął daléj Gabryel, czując się zawieszonym między poezyą a prozą.

— O! tak, bardzo!

— I beczki do ogórków, jak u gentlemana i lady.

— Tak.

— A po ślubie ogłoszenie w dzienniku, na liście nowych małżeństw....

— O! to także, bardzo!

— I małe stworzonka w pieluchach — tęgie chłopaki jeden w drugiego. I w domu, przy kominie, byleś spojrzała znajdziesz mnie obok; bylem spojrzał, znajdę obok ciebie.

— Nie, to zanadto, proszę nie być nieprzyzwoitym!

Jéj twarz, rozjaśniona na chwilę, spochmurniała. Jéj usta zamilkły, Gabryel patrzył i patrzył na dzielący go od niéj krzak ostrokrzewu, tak, że w późniejszém życiu ostrokrzew zdawał mu się znakiem kabalistycznym, oznaczającym oświadczyny. Nakoniec *Betsy* odwróciła się ku niemu.

— Nie, to całe gadanie na nic. Nie chcę stanowczo iść za ciebie.

. . . .

Nie potrafiłem, czuję to dobrze, zachować w moim przekładzie niezrównanéj świeżości, prostoty i wdzięcznéj naiwności obrazu. A i tak może ująłem czytelnika. Za tym zaś obrazem rozwinął się w dwóch tomach powieści cały ich barwny szereg, te same odsłaniający przymioty, ten sam zmysł spostrzegawczy, tę samę plastyczność wyrazu, ten sam wdzięk, ten sam humor; obok zaś głębokie i poetyczne i oryginalne poczucie natury, któregośmy napróżno szukali u saméj pani Eliot; oryginalny, własny, nowy sposób widzenia rzeczy widzianych od dawna.

„Dla osoby stojącéj samotnie na wzgórzu w jasną noc gwiaździstą, podobną do téj, ruch słonecznego świata w stronę wschodu jest prawie dotykalnym ruchem. Czy panoramiczne posuwanie się

gwiazd w stosunku do ziemnych przedmiotów, łatwo dostrzedz się dające w ciągu kilku minut spokoju i ciszy, czy szerszy z wysokiego miejsca rzut oka na przestrzeń, czy wiatr, czy samotność staje się tego uczucia narzędziem, mniejsza, ale uczucie samo, uczucie pochodu naprzód, jest żywém i trwałém.“

Kto nie spędził kilku chwil samotnych na wzgórzu pod gwiaździstem niebem? Wielu doświadczyło dopiero co opisanego wrażenia, które uderza jednak jak coś nie kłamliwego, nie sztucznego, odczutego na prawdę?

Ale znalazło się coś więcéj jeszcze w „*Far from the madding crowd.*“ Bez kaznodziejskiego tonu, cokolwiek nużącego czasem w „Adamie Bede“, bez wyraźnego tendencyjnego założenia, bez wygłoszonych z katedry filozoficznych pretensyi, znalazła się myśl filozoficzna konsekwentnie przeprowadzona, formuła etyczna głęboko pomyślana, w artystycznêm wcieleniu. Tak jak *Adam Bede*, *Gabryel Oak* jest także idealnym symbolem pewnéj wiary filozoficznéj, typem pewnéj doskonałości moralnéj— w zetknięciu z pewnemi słabościami, nieodstępnemi od ludzkiéj natury. Zaraz na wstępie niewywołana przezeń żadną winą katastrofa pozbawia go owocu długoletniéj pracy. Spłoszone przez wściekłego psa stado owiec, jedyne jego bogactwo, wpada w głęboką jamę i ginie w niéj. Wobec tego nieszczęścia, wobec ruiny grożącéj mu za jego przyczyną, wobec straconéj *fermy* i konieczności przyjęcia znowu służby u obcych, pierwszém uczuciem biednego *farmera* jest litość dla nieszczęśliwych stworzeń, konających tam, na dnie przepaści, w strasznych męczarniach, a drugiém uczuciem—wdzięczność.

— Dzięki Bogu nie ożeniłem się; coby się z *nią* stało wśród téj nędzy, która mnie teraz czeka?

Nędza ta, dla tak dzielnego pracownika jak on, nie trwała by prawdopodobnie długo. Raz się już dorobiwszy jakiego takiego dostatku, potrafiłby on dorobić się go raz drugi. Ale jest przeszkoda, która staje mu na wstręcie: miłość—miłość ślepa i nierozsądna—dla pięknéj, ale skądinąd na tyle przywiązania nie zasługującéj *Betsy*. Podczas gdy los nieprzyjazny przyprawiał go o ubóstwo, Betsy wyrosła niespodzianie na wielką panię. Wędrując za służbą, *Gabryel Oak* trafia na pożar w przydrożnéj fermie. Przyczynia się roztropnością i dzielnością swoją do ugaszenia go, i w nadgrodę dostaje wakującą posadę owczarza—u swéj bohdanki. Właścicielką teraźniejszą fermy, świeżo po zmarłym wuju odziedziczonéj, jest Betsy. Nie odstręcza to bynajmniéj Gabryela; owszem, ale ta służba u lekkomyślnéj, zarozumiałéj a pogardliwie teraz traktującéj go pani, jest dlań źródłem nieskończonego szeregu upokorzeń, prześladowań, po-

święceń i udręczeń. Piękna Betsy nie umie dać sobie rady ze swoją *fermą* i *Gabryel* pracuje po nocach, aby zapobiedz skutkom jéj nieudolnych rządów. Piękna Betsy flirtuje z sąsiednim *farmerem*, panem *Boldwood*, narażając się złym językom niechętnéj parafii, i *Gabryel* ostrzega ją napróżno. Ostatecznie piękna Betsy wydaje się za przystojnego podoficera od kawaleryi, wielkiego łotra, który ją ograbia z pieniędzy, przyprawia niemal o ruinę i porzuca ostatecznie. *Gabryel* nie przestaje grać roli niewdzięcznością odpłaconego anioła-stróża, doradcy, opiekuna i obrońcy. Nakoniec jednak, pod brzemieniem nawiedzających ją ciosów, w świetle przebytych doświadczeń, oczy pięknéj zawsze ale osamotnionéj teraz i przygnębionéj Betsy otwierają się. Mąż jéj poległ z ręki zazdrosnego *farmera Boldwooda*, który sam ocalał od szubienicy na to tylko, aby skończyć życie w więzieniu; a oto *Gabryel Oak* sam, chcąc niby szukać lepszego losu dla siebie, a właściwie strzegąc siebie i płochą Betsy przed nowemi podejrzeniami, mogącemi doświadczyć jéj i tak już nadwerężoną dobrą sławę, objawia zamiar oddalenia się. Tak jest, ludzie zaczynają pomawiać go o chęć pozyskania młodéj jeszcze i przystojnéj wdowy.

„— Pozyskanie mnie? — pyta zawsze skłonna do kokieteryi Betsy. — Co to ma znaczyć?

„— No, ożenienia się z panią w prostéj angielskiéj mowie. Odpowiadam jak byłem pytany, więc nie powinienem ściągnąć na siebie nagany.

„*Gabryel* przypuścił, iż ta odpowiedź zrobi na *Betsy* wrażenie armaty wystrzelonéj tuż mimo jéj ucha. Ale *Betsy* nie okazała się bynajmniéj przestraszoną do tego stopnia.

„— Ożenienie się ze mną! — rzekła spokojnie. — Nie myślałam, abyś o tém chciał mówić. Byłoby to zanadto nie do rzeczy, zawcześnie myśléć o czémś podobném, o wiele zawcześnie.

„— Tak, nie do rzeczy, zapewne. Nie pragnę nic podobnego; przypuszczam, że rzecz to dość widoczna dzisiaj. Niezawodnie jesteś ostatnią osobą, o któréj pozyskaniu w ten sposób mógłbym myśléć. Byłoby to zanadto nie do rzeczy, jak powiedziałaś sama.

„— Powiedziałam: „za wcześnie.“

„— Przepraszam, że poprawić muszę. Powiedziałaś pani: „zanadto nie do rzeczy“, i ja mówię tak samo.

„— Przepraszam także—odparła ze łzami w oczach. „Za wcześnie“ — oto słowa, których użyłam. Rzecz to obojętna zresztą, całkiem obojętna, ale chciałam tylko powiedzieć: „za wcześnie.“ Doprawdy nie chciałam powiedzieć czego innego, panie Oak, i musisz wierzyć mi.“

„*Gabryel* spojrzał jéj w twarz i patrzył długo, ale ogień z komina oświecał słabo, więc nie było wiele do zobaczenia.

„— Betsy — rzekł w końcu z mieszanym wyrazem czułości i zdziwienia w głosie, zbliżając się nieco, — gdybym wiedział tylko jednę rzecz; gdybym wiedział, że mi pozwolisz kochać cię i zjednać cię sobie i mieć cię za żonę w końcu, gdybym wiedział tylko!

„— Ale nie będziesz nigdy wiedział.

„— Dla czego?

„— Bo nigdy nie pytasz.“

. . . .

„Odprowadził ją z powrotem do domu, aż p d sam szczyt pagórka, tłómacząc jéj przez drogę środki obmyślane przez się dla objęcia w posiadanie sąsiedniéj fermy. O wzajemnych uczuciach swoich mówili mało; zapewne dlatego, że piękne słowa i czułe wyrażenia były zbytecznemi między taką parą wypróbowanych przyjaciół. Ich przywiązanie wzajemne do siebie było tém treściwém uczuciem, które powstaje (jeżeli powstaje uczucie jakiekolwiek) między dwojgiem ludzi, którzy zaczęli od zapoznania się z najmniéj dodatniemi stronami swych charakterów, a przyszli późniéj dopiero do poznania lepszych. Romans wyrósł wtedy ze szczelin téj twardéj skały, która zwie się prozaiczną rzeczywistością. Taka przyjaźń, taka *kamaraderya*, będąca pospolicie owocem mierzących do jednego celu usiłowań, bywa rzadkim przyczynkiem do miłości między mężczyzną a kobietą, ponieważ mężczyźni i kobiety łączą zazwyczaj nie prace swoje, ale przyjemności tylko. Kiedy jednak okoliczności sprzyjają jego wytworzeniu, to z dwóch pierwiastków złożone uczucie okazuje się jedyną miłością silną jak śmierć,— tą miłością, któréj fale morza zagasić ani zatopić nie zdołają, a wobec któréj namiętność, tém imieniem zwykle zwana, jest tylko kłębem pary rozwiewającéj się w powietrzu.“

Teorya w ten sposób rozwinięta może nie znaleść łaski u wielu moich czytelników a zwłaszcza czytelniczek. Nie myślę też czynić się jéj obrońcą; zwłaszcza, że proces rozwojowy zbiorowego uczucia (*compounded feeling*), cieszącego się sympatyami autora, zdaje mi się niedokładnie wskazanym w jego powieści. Nie umiem mianowicie dostrzedz *ujemnych* stron w charakterze wiernego, heroicznie wiernego i poświęcającego się Gabryela. Prawda, że charakter lekkomyślnéj *Betsy* dostarcza ich na dwie osoby. W scenie oświadczyn, *Gabryel* okazuje istotnie pewną słabość, która nawet staje się ostatecznym w umyśle i sercu pięknej *Betsy* argumentem przeciwko niemu.

— „Panie Oak — rzekła Betsy z olśniewającą jasnością w doborze słów i podziwienia godnym rozsądkiem,—jesteś w lepszéj kon-

dycyi niż ja. Tak jest. Ja nie mam jednego prawie *penny* przy duszy; mieszkam przy ciotce, która mnie żywi za moją pracę; jestem lepiéj wychowaną od ciebie i nie kocham cię ani na krztę: to moja strona w téj sprawie. A teraz twoja: jesteś dopiero co poczynającym *farmerem* i, rozsądnie rzeczy biorąc, powinieneś, jeżeli się masz żenić (o czém niepowinieneś niezawodnie myśléć na teraz) szukać żony z majątkiem, któréj posag pozwolił by ci wziąć większą fermę niż tę, którą masz.

Gabryel spojrzał na nią z niejakiém zdziwieniem a z wielkim podziwem.

— „Akurat to co sam myślałem — rzekł naiwnie.

„*Farmer Oak* posiadał półtora z chrześciańskich charakterystycznych cnót zanadto, dla podobania się pięknéj *Betsy*: skromność swoję i zbyteczną połówkę uczciwości. *Betsy* uczuła się stanowczo zniechęconą.“

Oczywiście jednak te *półtora cnoty*, jakkolwiek zbyteczne w stosunku do *Betsy*, nie może w stosunku do jakiegokolwiek etycznego ideału, ujść za rys *ujemny* w charakterze *Gabryela*. — Co nie przeszkadza temu, że pisząc „*Far from the madding crowd*“, autor napisał małe arcydzieło. Tylko na nieszczęście znużył się jego napisaniem. Czy nie miał w sobie więcéj materyału jak na jednę powieść téj wartości, czy zbałamucił się osiągniętém powodzeniem, czy zwichnął swój talent używając go do nieodpowiednich dlań przedmiotów, dość, że nietylko nie napisał drugiéj powieści takiéj jak ta (choć zapełnił półki księgarskie sporą liczbą tomów), ale nie napisał żadnéj chociażby tylko zbliżającéj się bądź głębokością treści, bądź doskonałością formy do zostawionego za sobą wzoru.

Są zapewne ładne rzeczy w „Szefie trębaczów“ (*The Trumpet-Major*); jest obraz młynarskiéj osady (*Overcombe*), przywołujący plastycznością wykończenia pamięć Eliotowski młyn nad *Flossą*; jest zwłaszcza historycznego niemal dokumentu wartość przedstawiający wizerunek prowincyonalnéj okolicy nadmorskiéj, w epoce poprzedzającéj bitwę pod Trafalgarem i oczekiwane wylądowanie Napoleona — strasznego „*Boney*.“

„Sierżant, który dopiero co przytwierdził do słupa przed kościołem odezwę, wzywającą do broni całą ludność męską parafii, stanął teraz pośrodku placu a przed nim wyciągnął się szereg rekrutów zwołanych na mustrę. Zastęp ten przyszłych pogromców „*Boneya-ludożercy*“ składał się z mieszkańców sąsiednich osad w zwyczajnym stroju świątecznym. W téj chwili bojowa ich postawa polegała na zwróceniu oczu w jednę stronę, w stronę sakiewki, z któréj sierżant dobył garść szylingów, dając każdemu po jednym w nagrodę za stawienie się do musztry.

— „Ludzie! rozpuściłem was, jak widzę, za wcześnie. Do musztry! do musztry napowrót, mówię wam. Mój zegarek musi się śpieszyć. Nabożeństwo nie rozpocznie się jak za dwadzieścia minut. Daléj! Ci, którzy nie mają karabinów na lewo! Oczy przed siebie i równać się!

Na nieszczęście każdego z szeregowców zaprzątnęła widocznie ciekawość zobaczenia jak sąsiedzi stoją w szeregu. Z prawego i z lewego końca wysunęli się rekruci naprzód w tym celu; tak, że w końcu projektowana linia prosta zamieniła się w podkowę."

— „No patrzcie na siebie teraz! Jeden przez drugiego lezie przed front. Do szeregu! Równać się!

„Jakoż zrównali się na chwilę, ale niebawem, skutkiem tych samych motywów, linia wygięła się napowrót w kabłąk. I już zostawił ją tak biedny sierżant, dając za wygraną.

— „A teraz — rzekł stojąc pośrodku utworzonego łuku — mam nadzieję, że będziecie mieć trochę cierpliwości i pilnować się będziecie komendy, bacząc na każde słowo, tak jak je wam powiem; jeżeli się zaś omylę, będę wdzięczny każdemu dżentlemantowi za sprostowanie omyłki, ponieważ byłem sam w wojsku tylko trzy tygodnie i jesteśmy wszyscy ludźmi skłonnymi do błądzenia.

— „Jesteśmy! Jesteśmy!—powtórzył szereg z serdecznem przekonaniem.

— „Baczność! Prezentuj broń! Doskonale!

— „Za pozwoleniem, co mają robić ci, którzy nie mają broni? ozwały się głosy od lewego końca z rozpaczliwą intonacyą.

— „Czy słyszał kto kiedy takie pytanie? Co macie robić? A jużci nic, tylko myśléć jakbyście prezentowali broń, gdybyście ją mieli! Wy parobcy co macie kije albo motyki do kapusty, powinniście naturalnie używać ich, niby karabinów, ażeby wam się zdawało, że macie karabiny. Baczność teraz! Na cel! Ognia! (Nie strzelać na prawdę, ma się rozumiéć). Bardzo dobrze—doskonale; tylko że niektórzy pośpieszyli się trochę, a reszta spóźniła się trochę.

— „Za pozwoleniem, panie sierżancie. czy mogę odejść, bo moje skrzypce, co na nich gram na chórze, nie chcą całkiem trzymać strun o téj porze roku, kiedy ich nie naciągnę zawczasu. . . .

— „Tfu do licha! Jak możesz myśléć o kościele i skrzypcach, w takim czasie, kiedy twoja własna rodowita ojczyzna zagrożona jest najazdem? — rzekł sierżant poważnie. — A przytém wiecie, że musztra kończy się na trzy minuty przed nabożeństwem, tak mówi prawo, a brakuje jeszcze kwadransu. Baczność! Kiedy powiem: Ładuj!— Sypcie proch (ci co mają) do panewek; potém zamykajcie panewki, ot tak, szybkim ruchem prawéj ręki do ciała. Zapomniałem po-

wiedzieć wam pierwéj, że na komendę: *bierz ladunek!* — powinniście schwycić szybko ładunek, podnieść do ust, odgryść wierzch dobrze, a nie połykać prochu zanadto i krztusić się potém a kichać, zamiast pilnować musztry. A co tam? Czego chce ten z drugiego szeregu?

— „Za pozwoleniem, panie sierżancie, to Antoni Cripplestraw, który chce wiedzieć jak ma odgryzać ładunek, kiedy niema jednego zęba w gębie?

— Człowiecze! A gdzie twój zmysł wojenny? Jak masz radzić sobie? A jużci podnieść ładunek do pierwszéj sąsiedniéj gęby z prawéj strony, żeby ci go odgryziono! A czego jeszcze chce ten drugi? Czy nie rozumiesz po angielsku?

— „Z przeproszeniem, panie sierżancie, ale jeżeli Boney przyjdzie, zanim dostaniemy karabiny, my z lewego końca, to co?

— „Co? — weźmiecie dzidy razem z resztą niezdolnych do musztry. Znajdziecie ich przygotowany zapas w rogu od wieży kościelnéj. A teraz, na ramię brrroń!...

— „Stójta! Dzwonią do kościoła! — zawołał Dawid, parobek od młynarza z Overcombe.

„Cały szereg wydał jedno wielkie westchnienie zadowolnienia, i ciskając broń, rozbiegać się zaczął.

— „Cóż robić — rzekł sierżant — muszę was rozpuścić. Ale nie, czekajcie! Przyszła musztra we wtorek. Czekajcie! Baczność! Od prawego boku w lewo, to jest nie, nie, w prawo, marrrsz!

„Niektórzy ruszyli w prawo, niektórzy w lewo, a niektórzy skłonni do ustępstw, próbowali za przykładem Antoniego Cripplestraw iść jednocześnie w jednym i drugim kierunku.

— „Stój! Do szeregu! Czekajcie nowéj komendy. Dżentlemeni, na nieszczęście, kiedy mi się śpieszyć trzeba, nie mogę nigdy odróżnić prawéj strony od lewéj, i nie mogłem od dziecka. Zechcecie mi przebaczyć. Praktyka wydoskonala, jak mówi przysłowie. Ale choć się człek uczy dużo, zawsze znajdzie się coś nowego. A teraz baczność. Z prawego boku w prawo! Marsz! Stój!... Zdaje się, że tak trzeba; ale zobaczę w książce, przed wtorkiem.“

Wogóle nastrój ducha w parafii *Overcombe* i w jéj okolicach, tak jak nam przedstawia autor w téj dramatycznéj chwili, nie jest bohaterskim. Nutą przeważająca zdaje się być panika, obok uczucia zazdrości względem szczęśliwych mieszkańców północnéj strefy kraju, do któréj groźny Boney późniéj dopiero dotrze, albo nie dotrze wcale, w swym zwycięskim pochodzie. „Szef trębaczów“, choć żołnierz z profesyi i przeznaczony do chlubnéj śmierci na hiszpańskiém jakiémś pobojowisku, nie ma tymczasem serca i oczu jak tylko dla pięknéj *Anusi Garland*. Drugi bohater powieści, *Bob Loveday*,

brat trębacza i szczęśliwy jego w sercu *Anusi* współzawodnik, odznacza się wprawdzie później pod Trafalgarem, ale tymczasem chowa się w kryjówkach starego młyna przed niemiłym *press-gang*'iem, werbującym ludzi do wojennéj floty.

Nie brakuje ładnych szczegółów i w „*A Laodicean. Or the castle of the de Staneys*“, jednéj z ostatnich powieści młodego jeszcze autora,— zacząwszy od charakterystycznego portretu prowincyonalnéj piękności, „która daje sobie dwadzieścia pięć lat, wygląda na trzydzieści, uchodzi za mającą trzydzieści pięć, a ma czterdzieści.“ Jest nawet w dość błahym i pospolitym wątku opowiadania (w którego wysnuciu nie nadużył autor tym razem swéj wyobraźni) coś podobnego do intencyi filozoficznéj, a nawet do dwóch filozoficznych intencyi powiązanych z sobą. Stary malowniczy zamek *de Staney*'ch dostał się razem z dostatkami przywiedzionéj do ubóstwa szlachetnéj rodziny w ręce *Miss Power*, córki wielkiego kolejowego przedsiębiorcy. *Miss Power* jest młodą i piękną osóbką, wielce wyemancypowaną, przesiąkniętą od stóp do głów duchem czasu i rozpoczynającą swoje zagospodarowanie się w staréj arystokratycznéj siedzibie od ustawienia w swoim sypialnym pokoju aparatu telegraficznego. Powoli jednak atmosfera otaczająca ją w tych sędziwych murach, pokrytych portretami bohaterskich przedstawicieli wielkiego rodu, zaczyna oddziaływać na nią. Powziąwszy z razu myśl przebudowania normandzkich sklepień, ostrołuków i bastyonów, nie mile rażących jéj oko, w upodobanym przez się neo greckim stylu, nakłania się ona później do odrestaurowania ich z pobożną archeologiczną dokładnością, poświęca dwa miliony na ten cel, rozkochuje się w młodym architekcie powołanym do spełnienia planu restauracyjnego, a w końcu bierze przed się odrestaurowanie samego rodu *de Staney*'ch — przed oddanie swojéj ręki dojrzałemu już oficerowi od kawaleryi, noszącemu to imię.

Ale duch czasu upomina się niebawem o swoje prawa. Kapitan *de Staney* nie jest złym z gruntu człowiekiem, ale jest lekkomyślnym i skłonnym do kompromisów wstydliwych między cnotą i honorem a dokuczliwemi wymaganiami swego położenia. Posiada on zaś w dodatku naturalnego syna, Williams'a, który choć lat ośmnaście liczący zaledwo, jest już skończonym łotrem, typem wyrodzonéj i spodlonéj rasy, i, aby zapewnić ojcu a pośrednio sobie olbrzymie wiano panny *Power*, ucieka się do najhaniebniejszych intryg i podstępów, w których sam *de Staney* nie macza wprawdzie rąk, ale z których korzysta. Ostatecznie prawda wychodzi na wierzch, i rozczarowana *Miss Power*, uciekając od arystokratycznéj przeszłości i od zgnilizny dobywającéj się z jéj szczątków, wraca do zdrowéj, sumiennéj, szlachet-

néj i pracowitéj, choć mniéj poetycznéj teraźniejszości — w osobie wzgardzonego na chwilę architekta.

Co nie przeszkadza temu, że gdy w kilka dni po ślubie stary zamek ginie w płomieniach, mściwą ręką Williams'a podpalony, odzywa się ona do niemile tą uwagą dotkniętego zapewne męża:

— „Mniejsza, ale wolałabym jednak aby mój zamek był się nie spalił i abyś ty był *de Staney*'m."

Miss Power jest z instynktu wyznawczynią eklektyzmu i ztąd tytuł powieści *A Laodicean*, będący nadaném jéj przez autora przezwiskiem; ale duch czasu sprzeciwia się jakoby jéj eklektyzmowi, i ztąd powieści rozwiązanie.

Wogóle p. Tomasz Hardy nie dotrzymał dotąd tego, co obiecał. Może obiecał za dużo. Realista tak jak Eliot, w téj saméj mierze i w tym samym do idealistycznych pierwiastków stosunku, ale mniéj konsekwentny w zastosowaniu identycznéj metody artystycznéj, bezwiednie raczéj niż samowiednie przyswojonéj przez się. Stylista mniéj wytworny także, o ile cudzoziemcowi wolno być sędzią w téj materyi; a bezwarunkowo mniéj wytrawny psycholog, mniéj subtelny analizator uczuć i wrażeń w grę wprowadzonych; w układzie natomiast swych powieści o wiele poprawniejszy,— pomiędzy żyjącymi pisarzami mający, bądź-co-bądź, prawo do jednego z pierwszych, jeżeli nawet nie do pierwszego miejsca.

K. Waliszewski.





REGULOWANIE STOSUNKU ILOŚCIOWEGO PŁCI

U ISTOT ORGANICZNYCH.

Jakkolwiek sama istota życia w ogóle stanowi dla nas jedną nierozwiązalną zagadkę, to przecież nie bacząc na ogólną trudność zrozumienia tego zjawiska, biologowie badają i rozstrząsają najrozmaitsze pytania, istoty życia dotyczące, i w taki sposób coraz bardziéj rozszerzają granice poznania téj dziedziny zjawisk.

Nowoczesne poglądy biologiczne, jakie zapanowały w nauce dzięki pracom Karola Darwina i całego szeregu jego poprzedników i następców, rzuciły nowe i odmienne od dawniejszego światło na istotę osobnika żyjącego. Osobnik żyjący nie jest żadną całością naturalną, nie jest istotą ograniczoną w przestrzeni i czasie, podobnie jak nie realném jest pojęcie gatunku, lub rodzaju. Osobnik, powstający z komórki i już jako zarodek noszący w sobie komórki rozrodcze, które w nowe rozwinąć się mają osobniki—jest tylko przelotną fazą długiego łańcucha życiowego, podobnie jak wszystkie stadya jego rozwoju osobnikowego są znów tylko ogniwami téj fazy. Ważne i niezmiernie interesujące fakty, dotyczące tak zwanéj przemiany pokoleń, znakomicie stwierdzają ten pogląd. Z jajka rozwija się polip, organizm pozornie skończony i stanowiący zamknięty osobnik; polip ten drogą pączkowania wydaje wszakże potomstwo całkiem różne od siebie, płodzi osobniki odmienne—meduzy, z których znów wytwarza się na drodze płciowéj polip itd. Ani więc polip, ani meduza nie stanowią całkowitéj jednostki fizyologicznéj zamkniętéj w sobie i przedstawiającéj skończoną całość życiową; tylko obie te formy razem tworzą cykl całkowity. Jeśli sobie wystawimy, że forma *a* płodzi formę odmienną *b*, ta zaś różną znów formę *c*, która

wytwarza znów pierwotną formę *a* (przykłady takiego rozmnażania się istnieją u zwierząt), będziemy natenczas twierdzili, że kolejne formy *a*, *b*, *c*,—stanowią zamknięty jakby cykl życiowy, tj. cykl od powstania osobnika do wydania takiego samego osobnika. Możemy sobie dalej wystawić, że tych odmiennych kolejnych form pośrednich jest bardzo wiele, a wtedy pojęcie skończonego osobnika fizyologicznego obejmować będzie długi łańcuch istot żyjących. Gdy różnice pomiędzy temi kolejnemi pośrednikami coraz będą mniejsze i wreszcie staną się tylko bardzo podrzędnemi, natenczas zamiast przemiany pokoleń, znów mieć będziemy zwykłe rozmnażanie się. Widzimy więc stąd najwyraźniéj, że we wszelkich tych formach rozmnażania różnice są więcéj natury ilościowéj, niż jakościowéj, dla tego téż niepodobna nakreślić granic naturalnych dla osobników fizyologicznych, wychodząc rozumie się ze stanowiska ogólnobiologicznego, filozoficznego.

Jeśli tedy pojęcie osobnika żyjącego wiąże się tak ściśle i nierozerwalnie z kwestyą życia gatunkowego, czyli życia pokoleń, jeśli życie osobnikowe uważać musimy ze stanowiska ogólnego za cząstki, ogniwa, za oddzielne jakby stadya przelotne trwałego życia pokoleń, to wynika z tego, jak wielką dla zrozumienia właściwéj istoty procesu życiowego mają doniosłość prawa rozmnażania się zwierząt, czyli prawa związku biologicznego pomiędzy następującemi po sobie osobnikami.

Te prawa związku biologicznego kolejnych osobników oznaczane są ogólném mianem praw dziedziczności i zmienności, a najprostszym, że tak powiem, objawem praw tych jest powstawanie płci. W zjawisku tém mamy zawsze jednocześnie dziedziczność i zboczenie. Jeśli bowiem osobnik męski *a* i żeński *b* wydają osobnik trzeci *c*, który jest wypadkową fizyologiczną obu pierwszych, to jakąkolwiek będzie płeć osobnika tego, będzie ona zawsze odziedziczeniem jednéj tylko płci rodzicielskiéj, zboczeniem zaś od drugiéj. Dla zrozumienia przeto praw dziedziczności kwestya powstawania płci jest pierwszorzędnéj wagi naukowéj.

Nad zagadnieniem tém pracowało bardzo wielu uczonych w różnych czasach i rozmaitemi metodami. Dosyć będzie wyliczyć tylko nazwiska Höfackera i Sadlera, Plossa, Thury'ego, Janke'go, Burdacha, Leuckarta, Mayerhofera, Hensena, Darwina i wielu innych. Każdy z tych uczonych posunął naprzód kwestyą tę drogą usilnych badań i trudnych doświadczeń. Ale każdy z nich pracował wyłącznie w pewnym tylko kierunku, nad jedną tylko stroną tego złożonego przedmiotu. Dlatego też gromadziło się w nauce mnóstwo faktów pozornie najzupełniéj sprzecznych z sobą, nieraz wyłączających się

nawet wzajemnie. Zjawisko takie daje się spostrzegać w nauce zawsze, ilekroć faktycznéj stronie przedmiotu brak pewnéj ogólnéj myśli przewodniéj, brak hypotezy, teoryi, która by z jednéj strony nagromadzone fakta wiązała, z drugiéj zaś wskazywała, w jakim kierunku dalsze prowadzić poszukiwania. W ostatnich czasach młody uczony jenajski, dr. C. Düsing, zestawił z sobą mnóstwo napozór najsprzeczniejszych faktów, dotyczących téj ważnéj kwestyi naukowéj i oświetlił je hypotezą, która najlepiéj godzi je z sobą i dla tego téż posiada niemało prawdopodobieństwa.

Postaram się zapoznać czytelnika z wywodami Düsing'a (1). Gdyby nawet pewne strony teoretycznych wniosków Düsing'a okazały się słabemi lub téż zupełnie upadły, praca jego będzie miała zawsze niepoślednią doniosłość naukową z tego już ważnego względu, że uczony ten zebrał w systematyczną całość tysiące rozrzuconych faktów z téj dziedziny, a prócz tego ogłosił bardzo wiele nowych danych statystycznych z niezużytych jeszcze dotąd źródeł urzędowych, półurzędowych i prywatnych.

Teorya dra Düsing'a wychodzi z tego faktu, iż stosunek ilościowy płci u człowieka, zwierząt i roślin, jest stały, o ile rozumie się wykazują wszystkie dotychczasowe badania w tym względzie. Pod słowem stosunek ilościowy płci pojmujemy stosunek ilościowy osobników męzkich do żeńskich, w danym gatunku istot żyjących. Rozumie się, że mowa tu o stosunku statystycznym, rozciągającym się na wielką ilość osobników. Co do człowieka np. wiadomo, że w każdéj rodzinie pojedynczéj ilościowy stosunek chłopców i dziewcząt bywa różny. Jeśli jednak rozpatrzymy stosunek rodzących się chłopców i dziewcząt w danéj prowincyi lub w danym kraju, znajdziemy, że wynosi on stale 106 : 100 (na 106 chłopców, 100 dziewcząt). W taki sposób u ludzi rodzi się zawsze przeciętnie więcéj nieco potomków płci męskiéj aniżeli żeńskiéj. Zupełnie co innego znajdujemy u innych istot. Tak np. u konia na 100 klaczy rodzi się 98 ogierów, a zatém więcéj samic niż samców. U innych zwierząt, jak u owiec, żab, wykryto także drogą statystyczną pewną stałą prawidłowość stosunku płciowego. Ale stałość taką nie tylko napotykamy u zwierząt; u roślin, o ile wszystkie dotychczasowe badania wykazują, znajdujemy również pewien stały, przeciętny stosunek płciowy. Tak np. u rośliny szczyr występuje zawsze więcéj urodzeń

---

(1) *Dr. C. Düsing.* Die Regulierung des Geschlechsverhältnisses bei d. Vermehrung d. Menschen, Thiere und Pflanzen. 1884. Jena.—Porównaj téż „Kosmos" wydawany przez prof. Vettera 1885, gdzie sam Düsing streszcza teoryę swoją, oraz „Biologisches Centralblatt" 1885.

męskich, u konopi zaś więcéj żeńskich. U pierwszéj z tych roślin stosunek osobników męskich (pręcikowych) do żeńskich (słupkowych) jest prawie taki sam, jak u człowieka. Wszelako stosunek ilościowy płci u rozmaitych gatunków zwierząt i roślin jest stałym tylko przy jednakowych warunkach zewnętrznych, albowiem, jak to później zobaczymy, te ostatnie ważny wywierają wpływ na jakość rodzącéj się płci.

Jeśli zatém u różnych istot żyjących stosunek płci jest stałym przy jednakowych warunkach, zachodzi bardzo ważne pytanie, w jaki sposób przyroda zachowuje wciąż ten stały stosunek? Ponieważ większość cech morfo- i fizyologicznych przynosi zwierzętom jakąś korzyść. albowiem cechy te zostały nabyte drogą doboru naturalnego, należy więc, jak powiada Düsing, przypuszczać, że organizmy i ze względu na produkcyą obu płci, mają własności pożyteczne. Własności te muszą zatém służyć do tego, aby zachowywać stały stosunek płci, czyli regulować go. Tak np. gdy panuje znaczny brak samców, będzie się rodziło następnie więcéj samców, tak iż brak ten zostanie wkrótce wyrównany, a stosunek płci tym sposobem uregulowany; przy braku zaś samic następuje większa produkcya samic. W taki sposób wszystkie przypadkowe wahania w ilościowym stosunku płci bywają wyrównywane; Düsing oblicza nawet matematycznie w dziele swém, że te osobniki, które produkują więcéj téj płci, jakiéj jest brak, wydają więcéj wnuków czyli mają w ogóle liczniejsze potomstwo, aniżeli osobniki téj właściwości pozbawione. Nie ulega zatém wątpliwości, iż jest to cecha pożyteczna—produkować więcéj osobników téj płci, jakiéj panuje ubóstwo.

U ludzi więc powinno się rodzić więcéj chłopców wtedy, gdy mało jest mężczyzn i na odwrót. Wskutek stosunków panujących w pośród społeczeństw ucywilizowanych, często się zdarza, że kobiety względnie późno za mąż wychodzą. Kobiety więc owe znajdują się w takiém położeniu, jak gdyby był pewien brak osobników męzkich. I rzeczywiście, jak wykazuje statystyka, pierwsze urodzenia przynoszą znacznie większy procent chłopców niż dziewcząt; gdy bowiem zwykły stosunek chłopców do dziewcząt wynosi 106 : 100, przy pierwszych urodzeniach stosunek ten wynosi 120 : 100. Wynika to z tablic podanych przez Heckera, Ahlfelda, Winckel'a, Schramm'a, Bidder'a i innych. Tablice te wskazują nawet, że im w późniejszym wieku kobiety rodzą po raz pierwszy, tém większą jest przewaga chłopców (1). Ogólny zatém wynik jest taki, że koncepcye w póź-

---

(1) W dziele Düsinga są zestawione stosunki liczbowe z prac powyższych autorów i ściśle rozebrane oraz porównane z sobą, dokąd też odsyłamy czytelnika pragnącego bliżéj poznać tę kwestyę.

nym stosunkowo wieku kobiety przedstawiają prawdopodobieństwo urodzenia się płci męzkiej, gdyż późne koncepcye odpowiadają brakowi osobników męzkich.

Statystyka wykazuje daléj, że po każdéj wojnie długotrwałéj kiedy znaczna ilość osobników męzkich ubywa, wzmaga się bardzo widocznie procent rodzących się chłopców. We Francyi po wojnach Napoleońskich zjawisko to występowało zawsze tak silnie, że obawiano się braku kobiet.

Przy pierwszych urodzeniach (bez względu na wiek kobiet) istnieje także pewna przewaga płci męzkiéj nad żeńską, albowiem, jak powiada Düsing, kobiety znajdują się przecięciowo przed weselem w stanie, odpowiadającym brakowi płci innéj, gdy tymczasem u mężczyzn miewa to miejsce daleko rzadziéj.

Brak osobników jednéj płci wywołuje przedewszystkiém taki skutek, że nieliczne osobniki płci téj bardziéj oddają się życiu płciowemu, aniżeli wtedy, gdy ich jest więcéj. Gdy np. znajduje się w naturze mało samic, a wielu samców u pewnego gatunku zwierząt, pierwsze są bardzo poszukiwane przez ostatnich. Jeśli zatém teorya regulacyi płci jest prawdziwą, natenczas płeć, któréj osobników jest mniéj czyli, co na jedno wychodzi, płeć częściéj spółkująca, winna płodzić więcéj osobników własnéj swéj płci. Tak np. samice częściéj pokrywane, winny rodzić więcéj samic, niż pokrywane rzadziéj, częściéj zaś pokrywające samce—więcéj samców. Statystyka stwierdza najzupełniéj ten wniosek teoretyczny. Tak np. znany hodowca amerykański Fiquet powiada: „Jest to zjawisko bardzo zwykłe, stale występujące w wielkich stadach bydła, żyjących na stepach amerykańskich, że byk, bardzo często pokrywający, płodzi najwięcéj byczków, gdy tymczasem w stadach, gdzie jest wiele byków, przeważają jałówki.“

Okoliczność tę Düsing rozjaśnia daléj na zasadzie bardzo obficie zebranego i zestawionego materyału statystycznego, zaczerpniętego z roczników stadnin pruskich. W stadninach tych ogiery nie pokrywają jednostajnie; w jednych stadninach częściéj, w innych rzadziéj, a także rozmaicie w różnych porach roku. Otóż na zasadzie stosunku płci 800,000 urodzeń—liczby jak widzimy bardzo pokaźnéj—wyprowadza Düsing wniosek, że im częściéj ogier pokrywał, tém więcéj płodził ogierów, im rzadziéj zaś—tém więcéj klaczy; klacze zaś, najczęściéj pokrywane, płodziły najwięcéj klaczy i na odwrót. Ponieważ wniosek ten wyprowadzony został z bardzo obficie i ściśle zebranych danych statystycznych (jak się o tém można przekonać, czytając dzieło Düsing'a), musimy więc mieć do niego zaufanie.

Teraz zachodzi pytanie, jakie właściwie cechy stanowią o płci zarodka? Ponieważ zarodek rozwija się z elementów rozrodczych czyli płciowych t. j. z jajka i ciałka nasiennego cechy te podobnie jak wszelkie inne cechy dziedziczne spoczywają głównie w samych komórkach płciowych, a także poczęści we własnościach osobników o tyle, o ile wpływają one na cechy elementów rozrodczych. Czém że więc różnią się elementy płciowe, np. nasienie samca, płodzącego wiele, od nasienia samca, powstrzymującego się od częstych spółkowań. Düsing odpowiada na to tak. Przy częstych spółkowaniach zaledwie nasienie wytwarza się, natychmiast zostaje zużytém, przez co bywa ono bardzo młodém. Przy częstych zatém spółkowaniach samce zapładniają stosunkowo młodém nasieniem, a *nasienie* takie, jeśli teorya jest prawdziwą, dąży do wydania płci męzkiéj. To samo stosuje się i do płci żeńskiéj. Jeśli samic jest niewiele, zostają one pokrywane natychmiast po wystąpieniu okresu ciekania się, przez co zapładniają się jajka młode, a *jajka* te znowu dążą, na zasadzie teoryi regulacyi do produkowania płci żeńskiéj. Można więc w ogóle powiedzieć: „im większy jest brak osobników jednéj płci, im bardziéj przeto pozostałe oddają się życiu płciowemu, im szybciéj i w młodszym okresie zużywają się ich produkty płciowe, tém dążą one do wydania większéj ilości osobników płci swojéj.“

W jaknajściślejszym związku z tym postulatem pozostaje kwestya opóźnionego zapładniania jaj. Znany hodowca szwajcarski *Thury*, wypowiedział twierdzenie, że krowy pokrywane na początku ciekania się, rodzą zawsze cielęta płci żeńskiéj. U krów takich jajka, zapładniane są dosyć młode, i dlatego dążą do wydania płci żeńskiéj. Krowy zaś pokrywane w długi czas po okresie ciekania się, które w ten sposób musiały długo czekać, rodzą, według *Thury'ego*, tylko cielęta męzkie; albowiem zapładniane jajka są wtedy dosyć stare. *Thury* wykonał doświadczenia z 29 krowami, pokrywanemi na początku ciekania się, lub późniéj, a w obu razach rodziły się albo wyłącznie samce, albo téż tyko samice. Gdy Thury ogłosił teoryę swoję, która nie mało zdziwiła uczonych i hodowców, zaczęto w rozmaity sposób próbować prawdziwości jéj. Badania te przemawiały poczęści za, poczęści przeciwko teoryi. W akademii rolniczéj w Pruszkowie i w Eldenie wykonano szereg doświadczeń, które wypadły na niekorzyść teoryi, podobnie jak i doświadczenia wykonane w stajniach księcia Fryderyka Wilhelma; przeciwnie zaś *Touchon* w Hohenau i *Albini* w Neapolu potwierdzili znów teoryę Thury'ego. Nie będziemy wspominali o wielu innych doświadczeniach, dotyczących kwestyi téj, a podanych dokładnie i zebranych skrzętnie w dziele Düsing'a. Zauważymy wszakże, że u ludzi skonstatowano także

wpływ opóźnionego zapłodnienia na płeć zarodka. Tak np. większą przewagę chłopców u żydów w porównaniu do innych plemion objaśniają niektórzy (Thury, Hermman) tém, że według przepisów mojżeszowych mężowi nie wolno obcować z żoną dosyć długi czas po monstruacyi (jajko więc bywa zwykle stare, długo czeka).

Wszystkie doświadczenia w celu rozjaśnienia teoryi Thury'ego doprowadziły ostatecznie do rezultatu, że nigdy nie rodzą się, jak twierdził Thury, wyłącznie samce, ani też wyłącznie samice, lecz że przy odpowiednich warunkach istnieje tylko pewna przewaga jednéj płci nad drugą.

Najbardziéj krańcowy wypadek opóźnionego zapłodnienia jajka, ma miejsce wtedy, gdy jajko mogące być zapłodnioném i zwykle zapładniane, nie ulega zapłodnieniu w skutek braku samców. Ma to miejsce przy t. z. arrenotokicznéj partenogenezie czyli mężorodném dzieworództwie. Działanie tego, najbardziéj krańcowego wypadku braku samców objawia się też najbardziéj krańcowym stosunkiem płci, albowiem zgodnie z teoryą Düsinga z jaj takich powstają tylko samcy. Takie niezapłodnianie jaj znajdujemy u pszczół i os. Królowe owadów tych mogą składać jaja zapłodnione i niezapłodnione. Z pierwszych rozwijają się tylko samice, z ostatnich tylko samce tj. trutnie. Jak wiadomo, składanie naprzemian jaj zapłodnionych i niezapłodnionych stanowi u pszczołowatych owadów zjawisko normalne. Ale i w tych także wypadkach, kiedy samica przypadkowo nie zostaje zapłodniona, składa ona jajka na samce. Tak np. według Siebold'a, gdy królowa pszczół posiada szczątkowe skrzydła i nie może być przeto zapłodniana w locie lub też gdy np. ciałka nasienne zapładniających ją trutniów zostają zabite przez mrozy składa ona jajka, z których rodzą się wyłącznie samce. Pozornie wydaje się to bardzo dziwném i zupełnie niezrozumiałém, iż jajka niezapłodnione, czyli nie zlane z komórkami męzkiemi, wydają właśnie samców; zdawałoby się, iż naodwrót w samców powinny prędzéj rozwijać się te jajka, które zawierają w sobie element męzki, czyli— zapłodnione. Trudności te wyjaśnia jednak, jak widzimy, najzupełniéj teorya regulacyi stosunku płciowego; albowiem absolutne niezapłodnianie jaj równa się absolutnemu brakowi osobników męzkich, a stąd też jajka niezapłodnione wydają samych tylko samców.

Jeśli zatém właściwości produktów płciowych (różny wiek ich) warunkują sobą płeć potomstwa, wynika z tego, że i wszystkie postronne okoliczności, wywierające wpływ na własności produktów tych, muszą też oddziaływać na jakość płci potomstwa. Do okoliczności takich należy przedewszystkiém zaliczyć „odżywianie się układu płciowego." Im słabiéj jest on odżywiany, tém wolniéj mogą się

odnawiać zużywające się produkty płciowe. Im zaś odżywianie się jest lepsze, tém odnowa elementów płciowych jest szybszą. A daléj, wynika z tego, że np. samiec dobrze odżywiany będzie zapładniał ciałkami nasiennemi znacznie starszemi, niż samiec odżywiany gorzéj, u pierwszego bowiem ciałka prędko się tworzą i mają czas długo leżeć w organizmie, zanim znów zostają użyte. To samo rozumowanie prowadzi nas do wniosku, że samiec źle odżywiany, zapładniać będzie nasieniem młodszém. Według zaś teoryi, w tym ostatnim razie powinno się rodzić więcéj samców. I rzeczywiście liczne doświadczenia wykonane przez *Fiquet'a* dowiodły, że gdy dobrze odżywiana krowa pokryta zostaje przez głodzonego byka, rodzi się cielę płci męzkiej. Układ narządów rozrodczych źle odżywianego byka jest tak samo nadwerężony, jak i byka bardzo często pokrywającego przy zwykłém odżywianiu. Oba zapładniają stosunkowo bardzo młodymi ciałkami i przecięciowo produkują téż więcéj samców. Fiquet powiada: „Zauważyłem pomiędzy swymi znajomymi, że wszędzie, gdzie silny, sangwiniczny i namiętny małżonek żeni się z zimną i nienamiętną kobietą, ilość córek przeważa i że przeciwnie, przy stosunkach odwrotnych, rodzi się więcéj chłopców. To naprowadziło mię na myśl, aby podobną różnicę w temperamentach wywołać téż sztucznie u bydła i w ten sposób sprobować rozwiązania kwestyi.“ Obserwacya powyższa, dotycząca ludzi, o tyle tylko zgadza się z wynikami doświadczeń Fiquet'a i Janke'go (zwolennika teoryi Fiquet'a), o ile siła, sangwiniczność i namiętność płciowa idą w parze z dobrém ożywianiem się i w ogóle z dobrą i normalną przemianą materyi.

Wszelako doświadczenia Fiquet'a „nie są bardzo liczne i dlatego też ta część teoryi (Düsinga), wymaga jeszcze nowych doświadczeń. Jeśli jednak dotąd wyjaśniona część teoryi jest prawdziwą, i ta téż musi być słuszną; jest ona bowiem bezpośrednim wynikiem tamtéj.“

Daleko bliżéj i dokładniéj rozjaśnioną została okoliczność, dotycząca wpływu *wieku ojca i matki* na płeć potomstwa. Bardzo liczni statystycy twierdzili, że im starszy jest ojciec w porównaniu do wieku matki, tém więcéj rodzi się chłopców. Hofacker i Sadler pierwsi wypowiedzieli to twierdzenie. Jakiż wpływ wywiera wiek na układ płciowy? Nie ulega, zdaniem Düsinga, wątpliwości, że system rozrodczy w młodości bardzo słabo jest odżywiany, że następnie odżywianie wzrasta stopniowo i dochodzi do maximum w czasie największéj działalności reprodukcyjnéj, późniéj zaś znów stopniowo osłabia się. Tak więc w pewnym wieku sprawność płciowa osiąga swoje maximum. Zgodnie zaś z teoryą Düsinga, *à priori* możemy po-

wiedzieć, że w tym to właśnie wieku u mężczyzny powinno być niewielkie prawdopodobieństwo rodzenia chłopców, u kobiety zaś— dziewcząt. Z drugiéj zaś strony, prawdopodobieństwo rodzenia chłopców będzie największém wtedy, gdy mężczyzna będzie w wieku najbardziéj odległym od tego maximum, kobieta zaś—w najbliższym. „Ponieważ jednak w większéj części małżeństw to maximum wieku bywa przekroczone—według więc teoryi, powinno się rodzić tém więcéj chłopców, im starszy jest mężczyzna w porównaniu do kobiety.“ A to właśnie stanowi prawo, wypowiedziane już dawno przez Hofackera i Sadlera. Prawo to było wielokrotnie stwierdzane i wielokrotnie też obalane. Ciekawego czytelnika odsyłamy do dzieła Düsinga (str. 68—74), gdzie podane są cyfry i statystyczne dane, wyjęte z obserwacyj różnych badaczów téj kwestyi. Najrozleglejsze atoli badania statystyczne, opierające się na 300.000 wypadków przeprowadził w najnowszych czasach Düsing i doszedł do wniosku, że teorya stwierdza się.

Przy wszystkich rozpatrzonych dotąd stosunkach szło nam o różnice pomiędzy obojgiem rodziców. Jedno z nich było nadwerężone zbyt częstemi spółkowaniami, inne—nie, jedno było młode, drugie—stare, jedno dobrze odżywiane, drugie—źle. Wszystkie te wypadki, jak widzieliśmy, dają się zawsze sprowadzić do tego, że brak jest osobników jednéj płci i że zawsze rodzi się wtedy więcéj osobników téjże płci, dla wyrównania, uregulowania stosunku płciowego. Sądząc zatém tylko z tego, co mówiliśmy dotąd, możnaby wnosić, że w naturze istnieje tylko dążenie (rozumie się, nie w znaczeniu celowości) do regulowania, normowania, stosunku płciowego, stosunku określonego i pożytecznego dla rozmnażania się danego gatunku. Ale zachodzi pytanie, czy byłoby to korzystne, aby stosunek płciowy pozostawał zawsze taki sam przy wszystkich okolicznościach? Otóż, wcale tak nie jest. Przeciwnie, dla prosperowania danego gatunku przy niektórych okolicznościach bardzo jest korzystném, aby rodziło się raz więcéj samców, w innym znów razie—więcéj samic. To stanowi drugą część teoryi Düsinga, do przedstawienia któréj przystąpimy z kolei. Dla zrozumienia jednak dalszych wywodów teoryi téj, rozpatrzmy naprzód pokrótce stosunki *płodności* u różnych zwierząt, gdzie przez wyraz płodność pojmować będziemy ilość rodzących się młodych.

Wiadomo powszechnie, że niektóre zwierzęta np. słonie rodzą niewiele tylko młodych, inne, jak myszy, rodzą ich bardzo wiele. Widzimy zatém, że podobnie jak u rozmaitych zwierząt istnieje dla każdego gatunku pewien stały i określony stosunek płciowy, tak też i stałą jest płodność. Używając tu wyrażenia „stały“ nie mamy,

rozumie się, na myśli jednego lub kilku wypadków, lecz cyfrę przeciętną, pojedyncze bowiem osobniki mogą się odznaczać większą lub mniejszą płodnością, przy przeciętnéj zaś z wielu pojedynczych wypadków wahania te wyrównywają się, tak, że przeciętna jest stałą dla każdego gatunku przy jednakowych rozumie się warunkach.

Płodność zwierzęcia nie jest zatém czémś przypadkowém, lecz związana jest ściśle z jego stosunkami życiowemi.

Tak np. gatunki zwierząt, posiadające wiele nieprzyjaciół, ginące w wielkiéj ilości, są bardzo płodne, inaczéj bowiem mogłyby wygasnąć bardzo prędko. Zwierzęta małe są zwykle więcéj na niebezpieczeństwa, na napaści nieprzyjaciół wystawione, one też rozmnażają się zwykle silniéj niż większe, tak, że nawet niektórzy naturaliści szukali bezpośredniéj mechanicznéj zależności pomiędzy wielkością ciała zwierzęcia, a płodnością jego. Sądzono np. że ptaki śpiewające są płodniejsze od drapieżnych, ponieważ są mniejsze; jest to wszakże pogląd, zdaniem Düsinga, niesłuszny. Ptaki śpiewające mają bez porównania więcéj wrogów niż drapieżne i to jest właśnie przyczyną większéj ich płodności. Że wielkość ciała nie odgrywa tu żadnéj roli, dowodzi np. fakt, iż drobny kolibr rozmnaża się tak samo słabo, jak wielki kondor; kolibry wskutek nadzwyczajnie małych wymiarów ciała i niepospolicie bystrego lotu posiadają bardzo mało wrogów, tak mało jak kondory — wskutek wielkości i niezwykłéj siły swéj; dlatego więc oba te ptaki są jednakowo mało płodne. Podobnych przykładów można by przytoczyć bardzo wiele.

Nietylko jednak zwierzęta mające więcéj nieprzyjaciół są bardziéj płodne; większą płodnością odznaczają się téż i te gatunki. które wskutek jakichkolwiekbądź innych właściwości życia lub rozwoju swego narażane są częściéj na zagładę. Tak np. robaki pasorzytne, potrzebujące do całkowitego rozwoju swego odbyć złożone wędrówki z ciała jednych gospodarzy do drugich, są ogromnie płodne. Soliter produkuje do ośmdziesięciu pięciu milionów jaj! Ale jakież olbrzymie ilości jaj zwierzęcia tego giną. Ile to bowiem potrzeba szczęśliwych zbiegów okoliczności, aby drobne jajeczka, wydostające się na zewnątrz ciała ludzkiego z kałem, dostały się do żołądka i do mięsa świni, a ztamtąd, aby znów nienaruszone i żywe przedostały się, jako węgry, do żołądka ludzkiego! Mniemano, że robaki pasorzytne składają takie olbrzymie ilości jaj dlatego jedynie, że żyjąc we wnętrzu ciała gospodarza swego, posiadają znakomite warunki odżywiania się i wskutek tego produkcyjność ich narządów płciowych jest tak wielką; że nie stanowi to wszakże przyczyny płodności ich, dowodzą fakta, iż liczne inne zwierzęta, jakkolwiek nie są pasorzytami, są niemniéj płodne, potrzebując, podobnie

jak soliter wielu bardzo szczęśliwych zbiegów okoliczności do całkowitego swego rozwoju. Wspomnę chociażby o owadzie majówce, któréj gąsienice muszą skakać na ciała samców pszczelich, stąd przeskakiwać na samice pszczół, zanoszące je do swych gniazd podziemnych; majówki odbywające tak liczne i niebezpieczne wędrówki w młodocianym swym wieku są téż niezwykle płodne; odwłok samicy brzęknie, pęcznieje i wypełnia się cały olbrzymią ilością drobnych jajeczek.

Widzimy więc, że im dany gatunek bardziéj narażany bywa na zagładę, tém jest płodniejszy. Skutkiem tego zachodzi ścisła zależność pomiędzy śmiertelnością a płodnością zwierząt. Stąd téż, pomimo, iż różne gatunki odznaczają się tak rozmaitym stopniem płodności, ilość osobników każdego gatunku pozostaje mniéj lub więcéj jednakową. Niekiedy jednak nie dostrzegamy tego. Tak np. szczur wędrowny rozmnożył się niezwykle w ostatnich czasach; rozsiedlił się bowiem z Rosyi po całéj Europie i po innych nawet częściach świata, liczba zaś pewnych zwierząt, jak np. słoniów znacznie znów zmalała, a niektóre gatunki całkiém wyginęły. Wogóle jednak takie powiększanie lub zmniejszanie się ilościowe różnych gatunków zwierząt jest nie bardzo znaczne, i jest raczéj zjawiskiem wyjątkowém, uwarunkowaném specyalnemi jakiemiś okolicznościami, niż objawem powszechnym.

Skoro więc rozmnażanie się, t. j. ilościowy stosunek osobników każdego gatunku jest ściśle określony, zachodzi pytanie, w jaki sposób reguluje się ten stosunek, t. j. w jaki sposób różne warunki zewnętrzne wpływają na większą, lub mniejszą płodność osobników i w jakim to pozostaje związku z *jakością rodzącéj się płci.*

Zwierzęta posiadają to więcéj, to mniéj żywności. Większość ma podczas lata nadmiar żywności, podczas zaś zimy cierpi niekiedy głód. Jeśli pożywienia jest podostatkiem, w takim razie pożyteczną jest dla gatunku wielka płodność, albowiem liczne młode pozostaną wszystkie przy życiu, doczekają dojrzałego wieku i znów bedą mogły się rozmnażać. Ponieważ widzimy, że w naturze gatunki rozmnażają się, o ile tylko nie stają temu na przeszkodzie warunki zewnętrzne, czyli w najobszerniejszém tego słowa znaczeniu — walka o byt, rozmnażanie się będzie energiczne, ilekroć razy pokarmu znajdować się będzie podostatkiem.

Gdy żywność będzie szczupłą — rzeczy mieć się będą inaczéj. Gdy przy braku dostatecznego pożywienia, zwierzę zrodzi wiele potomków, każdy z tych ostatnich nie znajdzie dla siebie dosyć żywności, nie rozwinie się przeto jak należy, a dzieci jego w tém gorszém jeszcze będą położeniu. Wskutek tego liczne z nich zginą, a pozo-

stanie przy życiu z konieczności pewna ograniczona tylko liczba osobników; a nawet z tych, co przy życiu zostaną, nie wszystkie rozwiną się dobrze, albowiem w młodości zmuszone będą cierpieć głód i współzawodniczyć ze słabszymi braćmi swemi. Dlatego też, wychodząc z zasady doboru naturalnego, rozwijającego i utrwalającego właściwości dla osobników żyjących korzystne — dojdziemy do wniosku, że dla organizmów korzystném jest słabe rozmnażanie się przy niedostatecznych środkach żywności. Można więc przypuszczać, że zwierzęta osiągnęły właściwość regulowania swéj płodności, zależnie od istniejących warunków życiowych. Płodność zatém nie jest nieustannie jedną i tą samą, lecz istnieje *regulowanie rozmnażania się.*

Düsing wykazuje bardzo wielką ilością przykładów, iż u człowieka, zwierząt i roślin przy lepszych okolicznościach ma rzeczywiście miejsce silniejsze rozmnażanie się. Z wielu tych niezmiernie interesujących przykładów i danych statystycznych, przytoczymy tu tylko kilka, dla wykazania czytelnikowi prawdziwości powyższego twierdzenia. Co do człowieka, istnieją między innemi następujące spostrzeżenia podróżnika Barrowa, cytowane przez Herberta Spencera w jego „Zasadach Biologii.“ — „Plemię Boerów na przylądku Dobréj Nadziei nie lubi pracować i prowadzi życie rozpustne. Kobiety ich wiodą żywot bez trosk i pracy. Hotentoci przeciwnie, jakkolwiek są biedni i źle odżywiani, muszą spełniać za nich wszelkie roboty.“ Stosownie też do tego, różną jest płodność tych plemion. „Sześcioro lub siedmioro dzieci w rodzinie Boerów uważa się za ilość małą; tuzin do dwudziestu nie jest niczém nadzwyczajném.“ Hotentoci przeciwnie, „mają rzadko więcéj niż troje dzieci, a wiele ich kobiét jest całkiém niepłodnych.“ W przeciwstawieniu znów do nich Kafrowie, posiadający wiele bydła i wiodący życie bez trosk, są bardzo płodni i nawet bardzo często rodzą bliźnięta. Jakkolwiek sam Spencer sądzi, że liczby powyższe są może nieco przesadne, w każdym jednak razie zredukowane nawet, wskazują znaczną różnicę. Wpływ klimatu jest także znaczny. Im mniéj człowiek traci na produkowanie ciepła, tém więcéj materyi może zużywać na działalność płciową. Tak np. ku południowi staje się obfitszém krwawienie podczas menstruacyi; u angielek wynosi ono 90—105 gr., u mieszkanek Niemiec południowych 230 gr., u hiszpanek 350 gr., u murzynek 600 gr. (Ludwig). W klimacie cieplejszym występuje też znacznie wcześniéj dojrzałość płciowa. Płodność człowieka zmienia się też bardzo podczas różnych pór roku. W zimie zużywa organizm więcéj materyału na potrzeby indywidualne, niż w lecie, kiedy człowiek więcéj też może zużywać materyi na dzia-

łalność reprodukcyjną, o czém przekonać się łatwo z interesujących tablic statystycznych Horn'a (1).

Co się tyczy zwierząt, to Crampe (1883) miał sposobność zbadać wpływ odżywiania się na płodność szczura wędrownego. Powiada on: „Gdy szczury były karmione racyonalniéj, stały się wcześniéj płodnemi, rodziły wcześniéj, a potomstwo ich rzadko ginęło.“ Herbert Spencer (2) cytuje następujący trafny przykład, dowodzący, iż pomiędzy domowemi ssącemi, dobrze odżywiane są płodniejsze od odżywianych gorzéj. „Na wysokich i stosunkowo nieurodzajnych Cotswolds rzadko się zdarza, aby owce rodziły bliźnięta, gdy tymczasem bardzo często rodzą one bliźnięta w sąsiedniéj, bujnéj dolinie Sewernu....“ Weismann wykazał daléj, że raczki dafnidy są bardzo czułe na brak pokarmu pod względem swych zdolności reprodukcyjnych. Doszedł on do wniosku, że podczas głodu bardzo prędko ulegają wsysaniu ich komórki płciowe, grupa za grupą. Claus i Siebold zauważyli również, że źle odżywiana królowa pszczół składa jajka „głuche“, to jest nie mogące się rozwijać. Trembley, a w nowszych czasach William Marshall zauważyli daléj, że stułbia czyli polip wód słodkich dobrze karmiony silnie pączkuje i jest bardzo płodny, głodzony zaś—przestaje się rozmnażać. Ponieważ zwierzęta domowe lepiéj są odżywiane niż dzikie, są téż dlatego płodniejsze od tych ostatnich. Według Darwina, „dziki królik mnoży się cztery razy na rok i co najwyżéj produkuje sześcioro młodych; królik zaś oswojony—sześć lub siedem razy na rok rodzi czworo do jedenaściorga młodych.“ Według Spencera, pies rodzi naraz 6—10 szczeniąt, wilk zas i lis 5—7; dziki kot rodzi raz na rok 4—5 kociąt, domowy zaś dwa lub trzy razy rocznie po 5—6 kociąt. Zwierzęta jednak dzikie, trzymane w niewoli, gdzie wogóle warunki życia są dla nich po większéj części niekorzystne, tracą na płodności; niektóre, jak np. ptaki drapieżne, przestają się całkiem rozmnażać, gdy są trzymane w niewoli.

Podobnie téż zmniejsza się odżywianie układu płciowego w starości. Klimat, pory roku, wielkość pracy mięśniowéj i inne okoliczności okazują téż wpływ na energią odżywiania się układu płciowego, a tém samém i na płodność zwierząt.

Nakoniec przekonano się, że i u roślin także lepsze warunki odżywiania się sprawiają większą płodność i naodwrót. Stwierdzają to doświadczenia i obserwacye Hermana Müllera, Heyera, Hoffmana, Darwina i wielu innych naturalistów.

---

(1) Bevölkerungswissenschaftliche Studien aus Belgien. Von J. C. Horn. 1854.
(2) Zasady Biologii.

Bardzo liczne zwierzęta posiadają nader pożyteczną właściwość wtórnego, czyli następczego regulowania rozmnażania się swego. A mianowicie, gdy to ostatnie było zbyt silném w stosunku do istniejących warunków, młode pożerają się wzajemnie, lub też rodzice zjadają dzieci swe. Dla pozostających przy życiu jest to pożyteczne. Düsing oznacza to zjawisko mianem „poprawki (*correction*) płodności przez bratożerstwo, lub dzieciożerstwo.“ Dziecio- i bratożerstwo obserwowano u głodzonych szczurów, dzików, wilków, os.

Jeśli zważymy wszystkie powyższe fakty, musimy przyznać, że istoty żyjące posiadają rzeczywiście pożyteczną zdolność, regulowania swéj płodności, zależnie od warunków zewnętrznych. Otóż zachodzi teraz pytanie, jaką rolę odgrywają w tém obie płcie? Teorya odpowiada na to, że wskutek fizyologicznego podziału pracy, samce i samice wzięły na siebie różne role przy rozmnażaniu się. Samiec szuka samicy, która wyczekuje spokojnie zapłodnienia; samiec jest ruchliwszy, czynny, samica spokojniejsza i bierna. Za to samica dostarcza materyi, potrzebnéj do budowania ciała młodych; zarodki rozwijają się i rosną w jéj łonie, karmiąc się krwią jéj, lub też gdy rozwijają się po za obrębem jéj ciała z jaj składanych, w tych ostatnich nagromadzone jest żółtko odżywcze, dla karmienia rozwijających się młodych przeznaczone, a z ciała matki pochodzące. Wynika z tego, że samica potrzebuje *do reprodukcyi znacznie więcéj żywności niż samiec*. Tysiączne fakta stwierdzają tę prawdę. Nie znany jest ani jeden wypadek u zwierząt, gdzieby męski układ płciowy był lepiéj odżywiany od żeńskiego, z drugiéj zaś strony znamy bardzo wiele faktów, dowodzących, iż dzieje się wprost przeciwnie.

Już przy pierwszém różnicowaniu się męskich i żeńskich elementów istnieje podobna różnica ze względu na odżywianie się obu płci. Tak np. u toczków (*Volvocineae*) komórki żeńskie są znacznie większe niż męskie, więcéj zawierają zarodzi. Uderzającą taką dwukształtność widzimy u wrotek (*Rotatoria*). Samce są tu znacznie mniejsze od samic, nie mają ani przełyku, ani kiszki. Opuszczają jajko zupełnie rozwinięte, nie przyjmują pożywienia i żyją wogóle tylko bardzo krótko; natomiast znacznie większe samice zaopatrzone są we wszystkie organy, służące do dobrego odżywiania. Najciekawsze stosunki znajdujemy u owadów. Samcy są tu prawie zawsze mniejsze i ruchliwsze od samic, które niekiedy nie mają nawet wcale skrzydeł; u wielu form (np. u termitów) samice w epoce dojrzałości jaj karmią się bardzo obficie, a odwłok ich pęcznieje i wielkie przybiera rozmiary. U pasorzyta winnic, *Phyloxery*, można nawet odróżnić dobrze jajka, z których mają się rozwinąć samce od jajek samiczych;

z większych jaj powstają samice, z mniéjszych samce, pozbawione kiszki i nie przyjmujące przeto żadnego pokarmu. U wielu owadów dwuskrzydłych samce (pozbawione żądeł) karmią się tylko sokami roślin, podczas gdy samice żywią się wyłącznie krwią zwierzęcą. Ponieważ wogóle samice potrzebują tak wiele materyi odżywczych, są one często wskutek przystosowania przekształcone w pasorzyty, podczas gdy taki jednostronny pasorzytyzm u samców nigdy się nie zdarza. U raków wiosłonogich (*Copepoda*), a mianowicie u rodzin *Lernae*, *Lerneopoda* i innych samice dosięgły wskutek życia pasorzytniczego kolosalnych rozmiarów; przyczém wszystkie organy zanikły, ciało rozszerzyło się i utworzyło liczne wypukliny. Samiec natomiast zachowuje normalny wygląd i nie dorasta takiéj wielkości. Jak dalece posunąć się może dwukształtność (dimorfizm) płciowa, wskazuje fakt, dotyczący glisty okrągłéj pasorzytnéj *Trichosoma crassicauda* oraz sikwiaka *Bonelia*, gdzie samiec tak jest mały, iż cały żyje w organach płciowych samicy. Düsing przytacza też fakty, dowodzące, że i u roślin organy, a tém samém i osobniki żeńskie więcéj potrzebują pożywienia niż męskie. I tak u żeńskiéj płci pożywienie, jak tego dowodzą powyższe i liczne inne przykłady, odgrywa większą rolę niż u męskiéj. Z téj już okoliczności wynika, że zmiana w odżywianiu się wywołać musi znacznie większe skutki u płci żeńskiéj, niż u męskiéj, a mianowicie gorsze odżywianie zmniéjsza siłę reprodukcyjną samicy; płeć żeńska, *respective* jéj organ płciowy jest daleko wrażliwszy na wahania w odżywianiu się, aniżeli u płci męskiéj. Przytoczymy na dowód tego spostrzeżenia Weismana, że u pewnych raków liścionogich podczas głodu następuje wessanie, czyli resorpcya żeńskich produktów płciowych; u samców nie zauważono tego dotąd. Zaznaczmy nakoniec, że i u roślin osobniki żeńskie czuléj reagują na zmiany w warunkach życia.

Nie ulega zatém wątpliwości, że wogóle płeć żeńska potrzebuje znacznie więcéj pokarmu, niż męska, i że wskutek podziału pracy przypada na nią główna rola przy rozmnażaniu się. Od ilości samic zależy stopień rozmnażania się; jeden samiec może w krótkim czasie zapłodnić bardzo wiele samic, większa zatém ilość produkowanych młodych zależy przedewszystkiém od większéj ilości samic. Możemy więc powiedzieć, że jeśli w pośród danéj ilości osobników będzie więcéj samic niż samców, w takim razie rozmnażanie się będzie energiczniejsze, potomstwa—więcéj; jeśli przeciwnie przeważać będzie ilość samców, rozmnażanie się będzie stosunkowo słabsze. Ponieważ zaś z drugiéj strony wykazaliśmy, że o ile przy nadmiarze pokarmów dla zwierząt pożytecznem jest energiczne rozmnażanie się, o tyle znów przy braku dostatecznego pożywienia korzystném

jest zmniejszenie się jego, musi też na zasadzie powyższego dowodzenia być korzystném dla organizmów, aby przy nadmiarze, obfitości środków pożywienia rodziło się więcéj samic, przy braku zaś— więcéj stosunkowo samców; tylko bowiem przy obecności wielu samic rozmnażanie się może być energicznem i silném. Jeśli zatém istnieje *regulowanie* stosunku płciowego w zależności od zewnętrznych okoliczności, to musi rodzić się więcéj samic przy korzystnych środkach odżywiania się i naodwrót więcéj samców, gdy warunki odżywiania się są niesprzyjające. Ten wniosek teoretycznie z góry wyprowadzony stwierdzają liczne fakty, dotyczące człowieka, zwierząt i roślin.

Co do człowieka, należy naprzód wyjaśnić pewną kwestyą, pozornie sprzeciwiającą się teoryi. Otóż okoliczności, iż przy gorszém odżywianiu rozwija się chłopiec, przy lepszém — dziewczyna, nie można pogodzić z faktem, że chłopiec podczas życia zarodkowego zużywa więcéj pokarmu niż dziewczyna, albowiem, jak się przekonano, płód męski jest cięższym od żeńskiego. Otóż słabsze odżywianie rozwijającgo się płodu powoduje, zdaniem Düsinga, na drodze mechanicznéj powstanie płci męskiéj, a okoliczność, iż płód męski, który raz rozwinął się jako taki, silniéj rośnie i energiczniéj karmi się, jest już zjawiskiem wtórném, od warunków powstawania płci niezależném. Skoro jednak płeć męska rozwija się wskutek braku dostatecznego pożywienia, musi być ona stosunkowo gorzéj rozwiniętą od żeńskiéj, powstającéj wskutek nadmiaru takowego. A jako bezpośredni wynik tego Düsing uważa większą śmiertelność chłopców tak w stanie już zarodkowym (t. j. płodów męskich), jakotéż po urodzeniu; że tak jest rzeczywiście, dowodzą tego dane statystyczne, zebrane przez Walsera na zasadzie 14,000 urodzeń; wynika z nich, że na 100 żeńskich martwych płodów dojrzałych i niedojrzałych wypada 206 męskich, a na sto dziewcząt umierających w pierwszym roku życia, umiera 154 chłopców. Stwierdzają to również tablice statystyczne Plossa, Engla, Granville'a, Bentzen'a i wielu innych (patrz dzieło Düsing'a, gdzie wyniki te są przytoczone). Większą śmiertelność płci męskiéj obserwowano nie tylko u człowieka, lecz i u innych istot: u koni, owiec, a z roślin także u konopi.

W dziele Düsinga podane są daléj bardzo interesujące tablice statystyczne, dowodzące, że w latach pomyślniejszych, kiedy środki życia były obfitsze i tańsze, rodziło się więcéj stosunkowo dziewcząt, aniżeli w latach niepomyślnych. Po wsiach, gdzie ludność odżywia się, jak wiadomo, znacznie gorzéj, niż w miastach, przewaga rodzących się chłopców jest większą niż w tych ostatnich. Stan rodziców okazuje również wpływ na płeć dzieci; gorzéj odżywiani rodzice wy-

dają więcéj chłopców. Bardzo interesującemi są stosunki u bliźniaków i trojaków. Bardzo jest naturalném, że bliźniaki, rozwijając się jednocześnie w łonie matki, robią sobie wzajemnie konkurencyą, która nie jest wszakże tak silną jak u trojaków; dlatego téż warunki odżywiania się trojaków są znacznie gorsze niż u dwojaków, a to właśnie wyjaśnia nam, dlaczego u pierwszych daleko więcéj rodzi się stosunkowo osobników męskich niż u drugich.

Wiek matki wywiera również wpływ na płeć dziecka, albowiem w miarę starzenia się osobnika, układ płciowy, a tém samém i płód odżywia się gorzéj. Starsze kobiety muszą więc stosunkowo więcéj rodzić chłopców; a jakkolwiek istnieją liczne na to dowody statystyczne, kwestya ta jednak komplikuje się téż bardzo wiekiem mężczyzny; stosunki te rozpatrzyliśmy wyżéj. Widoczniejszym jest wpływ klimatu i pór roku. Z koncepcyi, jakie miały miejsce podczas ciepłych miesięcy, kiedy organizm mniéj się zużywa na potrzeby indywidualne, rodzi się stosunkowo nieco więcéj dziewcząt, niż z koncepcyi zimowych; dowodzą tego dane statystyczne, opierające się na więcéj niż dziesięciu milionach wypadków. Większa produkcya dziewcząt w lecie nie dostarcza rozumie się człowiekowi żadnéj korzyści (w znaczeniu powiększenia rozmnażania się), albowiem zanim dziewczęta wzrosną, lato dawno już mija. Jest to jednak całkiem obojętne, czy jaka właściwość działa w pewnym danym wypadku pożytecznie, czy téż niepożytecznie, jeśli wogóle wpływ jéj jest pożytecznym. U człowieka tak sprzyjające, jako téż nieprzyjazne okoliczności (ze względu na sprawę płodności) są po większéj części przejściowe. Rzadko tylko naród jaki pozostaje przez dłuższy czas w warunkach niesprzyjających. W takim właśnie znajdują się dzikie pokolenia Ameryki i Australii, którym nagle narzuconą została kultura europejska. Otóż niezwykle szybka zmiana w sposobie życia i odżywiania się musiała być nieznośną dla tych ras. Wskutek téj ciągłości warunków niesprzyjających nastąpiło nadzwyczajne zmniejszenie się płodności, tak, że nieraz na sto rodzin przypada tylko kilkoro dzieci, przyczém dzieci te bywają przeważnie płci męskiéj.

Można z wielkiém prawdopodobieństwem przypuścić, że siła menstruacyi oraz waga łożyska okazują wpływ na późniejsze odżywianie się płodu. Otóż okazało się, że rzeczywiście przy słabszych menstruacyach i mniejszéj wadze łożyska rodzi się nieco więcéj chłopców.

W przeciwstawieniu wszakże do zwierząt, człowiek żyje w daleko jednostajniejszych warunkach odżywiania się, a stosownie téż do tego mają u niego miejsce nieznaczne tylko wahania się liczeb-

nego stosunku płci. Daleko silniéj występują one u zwierząt. U nich znajdujemy często najbardziéj krańcowe stany: nadmiar pożywienia i głód.

Przedtém już niektórzy przyrodnicy, a szczególniéj Rolph (1) starali się ująć w przyczynową zależność: wzrost ilości rodzących się samców ze zmniéjszeniem się dowozu pokarmów. Rolph nazywa nawet samców „pokoleniem głodowém“ („Hungergeneration“); ponieważ jednak odżywianie się nie stanowi tu jedynego momentu, wyrażenie to jest, rozumie się, nie dosyć ścisłém. W nauce istnieje wiele faktów, dotyczących wpływu pokarmów na płeć zwierząt. I tak Landois z tysięcy młodych gąsienic motyli (*Vanessa urticae*) otrzymymał dowolnie samców lub samice, zależnie od tego, czy dawał im lepsze, lub gorsze pożywienie. To samo ma téż miejsce, według Landois, u pszczół; a mianowicie larwy robotnic i królowych otrzymują początkowo jednakowo obfity pokarm, przez co rozwija się u nich płeć żeńska; po pewnym wszakże czasie larwy robotnic otrzymują gorsze pożywienie, a przez to płeć ich pozostaje nierozwiniętą. Daléj według Martergoute'a, owce, które rodziły osobniki żeńskie, miały przecięciowo większą wagę, aniżeli te, które rodziły tryków. Ploss zaś twierdzi, że ta większa waga pierwszych dowodzi lepszego ich odżywiania się, a tém samém i lepszego odżywiania się płodu. U zwierząt jajorodnych stopień odżywiania się zarodka zależy wprost od ilości t. z. żółtka odżywczego w jajku. Otóż u wielu zwierząt spotykamy jajka większe i mniejsze (mające więcéj lub mniéj żółtka odżywczego), a okazało się, że z większych rozwijają się samice, z mniejszych samce; widzimy to np. u *Phyloxery*, a także u grupy zwierząt niższych, zwanych *Orthonectidae*.

Nie będziemy już wyliczali innych przykładów, przytoczonych przez Düsinga, który rozbiera téż i na swoją tłómaczy korzyść kilka faktów, dotyczących wpływu pokarmu na płeć i pozornie niezgodnych z teoryą. Prócz wpływu pokarmu na płeć potomstwa ważnym jest téż wpływ wieku, klimatu oraz pory roku. Okazuje się, że wogóle wszelkie niesprzyjające warunki wywołują przyrost osobników męskich.

Widzimy więc w ten sposób, że u zwierząt przy nadmiarze pożywienia rodzi się więcéj samic. U wielu zwierząt niższych występuje nawet podczas największéj obfitości pożywienia—wypadek najbardziéj krańcowy tego zjawiska, a mianowicie: rodzą się tylko samice, które znowu tylko samice produkują i tak daléj, dopóki tylko warunki życia (ze względu na obfitość pokarmów) są pomyślne.

---

(1) Biologische Probleme, zugleich als Versuch einer rationellen Ethik. 1884.

Przy tém możliwie najsilniejszém rozmnażaniu się „które w ogóle ma miejsce podczas gorących miesięcy lata, samców brak zupełnie.“ Każdy osobnik płodzi samice, o ile można żyworodnie, które znów samice wydają i przytém bardzo często przy urodzeniu już są ciężarne. W ten sposób ma miejsce kolosalnie szybkie rozmnażanie się drogą dzieworództwa. Takie rozmnażanie się widzimy np. u mszyc i pcheł wodnych, czyli u dafnidów podczas lata, kiedy istnieje nadmiar pokarmów. Gdy zaś tylko z jesienią następuje brak tych ostatnich, znów powstają samce i znów jajka ulegają zapladnianiu.

Przedtém już rozpatrzyliśmy inny rodzaj dzieworództwa, przy którém z jaj niezapłodnionych rozwijały się samce. Dzieworództwo to możnaby więc nazwać mężorodném czyli samcorodném (*arrenotokia*) w przeciwstawieniu do dzieworództwa ostatnio opisanego, które należy oznaczyć mianem samicorodnego (*thelytokia*). Pierwsze warunkuje się brakiem zapłodnienia, wywolującym płeć męzką, drugie—nadmiarem pokarmów, określającym płeć żeńską potomstwa, albowiem gdy tylko nadmiar ten ustaje, kończy się też wpływ jego i nie rodzą się wyłącznie samice, lecz powstają także samce. Że wyłącznym czynnikiem w tym razie jest nadmiar pokarmów i w ogóle dobre warunki odżywiania się, dowodzą tego fakty następujące. Na różach i na goździku żyją mszyce, które podczas lata rozmnażają się bardzo silnie, wydając same tylko samice. Jeśli przez sztuczne oziębianie wywołamy (Landois) zamieranie roślin, na których mszyce te żyją, to wskutek braku odpowiedniego pożywienia, przestają one płodzić same tylko samice, lecz wydają też i samców, a dzieworództwo ustaje. U wielu innych zwierząt zauważono też podobne interesujące zjawiska.

Pączkowanie i dzielenie, które widzimy u wielu bardzo niższych zwierząt, np. u polipów, stułbi, u wielu robaków, może być także uważaném fizyologicznie jako rozmnażanie się samic niezapłodnionych, czyli jako pewna forma dzieworództwa. Otóż, i pączkowanie oraz dzielenie bywa najenergiczniejszém w lecie, gdy tymczasem w jesieni zastąpione zostaje mniéj lub więcéj przez rozmnażanie się drogą płciową. Rozmnażanie się bezpłciowe jest zatém stosunkowo silniejsze w czasie, gdy warunki odżywiania się są korzystniejsze. Bardzo ważnemi są pod tym względem poszukiwania Marshall'a nad rozmnażaniem się stułbi, czyli hydry wód słodkich. W naturze rozmnaża się ona przez pączkowanie tylko na wiosnę i w lecie, w jesieni zaś, kiedy warunki życia pogorszają się, ma miejsce rozmnażanie się płciowe; pączkowanie ustaje zupełnie, natomiast powstają jajka i ciałka nasienne. Otóż Marshall wykazał, że osobniki dobrze odżywiane mogą bez przerwy pączkować, gdy zaś tylko (nawet w lecie) zaczynamy głodzić stułbię, natychmiast występuje reprodukcya płciowa.

Szczególniéj interesującemi są zwierzęta, u których płciowe i bezpłciowe rozmnażanie występują kolejno, na przemian, jedno za drugiém (jak np. u *salp*). Otóż w wypadkach takich można zauważyć, że rozmnażanie się bezpłciowe występuje u pokolenia, które posiada nadmiar środków odżywczych. Często także to pokolenie dzieworodne jest pasorzytném, podczas gdy płciowe żyje swobodnie. To samo znajdujemy téż u rozmaitych organizmów jednokomórkowych, które rozmnażają się przez dzielenie i u których występuje tak zwane sprzęganie się czyli konjugacya, odpowiadająca procesowi zapładniania u zwierząt wyższych. Otóż u organizmów tych (u wielu wodorostów, wymoczków) rozmnażanie się drogą dzielenia, czyli bez zapłodnienia trwa tak długo, dopóki warunki zewnętrzne są sprzyjające, gdy tylko zaś przestają być takowemi, gdy np. woda, w któréj organizmy te żyją, zaczyna wysychać, natychmiast rozpoczyna się rozmnażanie drogą konjugacyi.

Düsing poświęca téż w dziele swém bardzo wiele miejsca rozpatrzeniu zjawiska tego u roślin. Ogólny wynik jest taki według niego, że przy lepszych warunkach odżywiania się roślin powstaje więcéj osobników żeńskich, przy gorszych zaś (gdy rośliny są bardzo gęsto posiane obok siebie) więcéj męskich. Düsing stara się obalić sprzeczne z tém prawidłem wyniki, jakie wyprowadza z doświadczeń swych Heyer. Ważnemi są tu spostrzeżenia Hermana Müllera, które wskazują, że niektóre rośliny alpejskie, marniejące w dolinach, produkują najwięcéj osobników męskich, a także doświadczenia Prantla, który wywoływał u paproci dowolnie osobniki męskie lub żeńskie, zależnie od tego, czy lepiéj, lub gorzéj odżywiały się przedrostki. — Do innych czynników, wpływających na regulowanie stosunku płciowego, Düsing zalicza daléj krewniacze krzyżowanie się. Większość naturalistów uważa krzyżowanie się bliskich krewnych tak u człowieka, jakotéż u zwierząt i roślin za szkodliwe dla potomstwa, jakkolwiek od czasu do czasu niektórzy badacze sprzeciwiali się poglądowi temu (co do człowieka, patrz poszukiwania Jerzego Darwina (1)). Szkodliwości krzyżowania krewniaczego starali się dowieść dr. Mitchell, Buxton, Montegazza, oraz prof. Stieda z Dorpatu (2), który wykazał statystycznie, iż w tych departamentach Francyi, gdzie małżeństwa pomiędzy krewnymi są najbardziéj rozpowszechnione, ilość ułomnych tak pod względem cielesnym jakotéż umysłowym jest największą. Co do roślin, szkodliwość krew-

(1) Die Ehen zwischen Geschwisterkindern und ihre Folgen. Von George Darwin. Lipsk 1879.

(2) Roczniki Medycyny Schmidta. 1866, pag. 8): „O małżeństwach pomiędz krewnymi.

niaczego krzyżowania wykazali Knight, Herbert, Gärtner, a szczególniéj Karol Darwin, który stwierdził to licznemi bardzo przekonywającemi doświadczeniami. U roślin istnieją bardzo liczne i interesujące przystosowania w budowie kwiatów, mające właśnie na celu przeszkadzać téj tak niekorzystnéj dla roślin ewentualności.

Ponieważ krewniacze krzyżowanie jest niekorzystném dla istot organicznych, rzecz naturalna, że przy rozmnażaniu się zwierząt i roślin wszelkie wogóle właściwości, sprzyjające usuwaniu takiego krewniaczego zapładniania, jako pożyteczne, powinny się przez działanie doboru naturalnego rozwinąć. Przypatrując się roli samca i samicy w rozmnażaniu się zwierząt, widzimy, że na samicę przypada głównie rola dostarczania pokarmu potomstwu, samiec zaś ma za zadanie wyszukiwanie samicy. Samica przy rozmnażaniu się jest bierniejszą, samiec zaś czynniejszy. Samce są téż dlatego ruchliwsze, często mają skrzydła wtedy, gdy samica jest ich pozbawioną (np. u świetlika świętojańskiego), są lżejsze i mniejsze. Ponieważ zatém samiec przy krzyżowaniu ma rolę czynną, od niego to głównie zależy, czy krzyżowanie to ma się odbywać pomiędzy bliskimi sobie osobnikami, czy téż odległymi. Unikanie zatém krewniaczego krzyżowania zależy przeważnie od samca. Düsing twierdzi, że im więcéj jest samców, tém prawdopodobieństwo krewniaczego krzyżowania jest mniejsze; im zaś samców mniéj, tém spółkowania pomiędzy bliskimi krewnymi są prawdopodobniejsze (1). Dlatego téż ilekroć razy wskutek jakichbądź warunków wzmaga się krzyżowanie krewniacze, natenczas rodzić się powinno więcéj stosunkowo samców w celu przeszkodzenia temu. Jest to wszakże dotąd tylko przypuszczenie teoretyczne, któremu brak dowodów faktycznych. Szereg doświadczeń nad tém, czy rzeczywiście ze spółkowań pomiędzy osobnikami bliskimi rodzi się więcéj samców, byłby bardzo pożądany.

Widzimy więc w taki sposób, że rozmaite okoliczności, warunkujące sobą płeć, dają się sprowadzić do cech pożytecznych, zdobytych na drodze doboru naturalnego. Rozpatrzone dotąd czynniki wynikały z warunków ogólnych, dających się zastosować do wszystkich zwierząt i roślin. Liczne atoli zwierzęta posiadają jeszcze specyalne właściwości życiowe, wskutek których rozwinęły się u nich szczególne cechy, wpływające też ze swéj strony na liczebne stosunki rodzącéj się płci. Uderzającym tego przykładem są liczne gatunki pcheł wodnych, czyli dafnidów, których stosunki rozmnażania się poznaliśmy dzięki niestrudzonym i starannym poszukiwaniom prof. A. Weismann'a. Mianowicie liczne z nich żyją w bardzo ma-

(1) Wniosek ten wydaje mi się bardzo naciąganym. — (*Przyp. autora*).

łych kałużach wodnych, w lecie wysychających bardzo często. Kiedy wegetacya jest najbujniejszą, znajdujemy prawie same tylko samice, rozmnażające się bardzo szybko i silnie. Składają one jajka letnie, a te posiadają pożyteczną w tych warunkach właściwość szybkiego rozwijania się. Powstające samice stają się bardzo prędko płciowo dojrzałemi i mnożą się równie silnie. W taki sposób ma miejsce energiczne rozmnażanie się, odpowiadające obfitości środków pokarmowych w lecie. W jesieni zaś, kiedy występuje brak środków odżywczych, powstają też i samce i zostają składane jajka zapłodnione. Noszą one nazwę jaj trwałych (*Dauereier*), leżą przez całą zimę i rozwijają się dopiero wtedy, gdy z początkiem wiosny woda zaczyna się ogrzewać. Gdyby woda w lecie wyschła, wszystkie raczki wyginęły by. Dlatego też raczki te rozwinęły w sobie pożyteczną cechę płodzenia od czasu do czasu samców i podczas lata oraz składania jaj trwałych, które mają zdolność rozwijania się wtedy dopiero, gdy przez pewien czas znajdować się będą w suchém miejscu. W taki sposób to ważne i pożyteczne przystosowanie się w sprawie płodzenia, zabezpiecza gatunek od zupełnego wygaśnięcia w danéj okolicy podczas gorących miesięcy letnich, kiedy wszystkie małe kałuże zazwyczaj wysychają. Otóż te gatunki pcheł wodnych, które zamieszkują bardzo małe kałuże i bagienka, często wysychające, produkują stale samców i jaja trwałe; te, które zamieszkują większe stawy, produkują już takowe znacznie rzadziéj, tylko od czasu do czasu. Nakoniec te gatunki, które zamieszkują jeziora, nigdy nie wysychające, wydają latem wyłącznie tylko jaja letnie i nie produkują wtedy wcale samców, gdyż taka właściwość rozmnażania się nie jest dla nich wcale pożyteczną.

Na zasadzie wszystkiego, cośmy dotąd powiedzieli, wynika jak najoczywiściéj, że na powstanie téj, lub owéj płci składają się liczne przyczyny. Przyczyny te działają nie tylko w chwili zapłodnienia, jak to niegdyś przypuszczano, lecz w rozmaitych, kolejnych okresach czasu. Już z góry jajko, jak powiada Düsing, ma tendencyą do rozwinięcia się w płeć męzką lub żeńską; tak samo też ciałko nasienne. Przy zapłodnieniu działają one z sobą harmonijnie, lub też wręcz przeciwnie, a od wypadkowéj ich zależy płeć płodu. Ale jeszcze długi czas po zapłodnieniu, kiedy zarodek rozwija się, odżywianie wywiera wpływ na powstawanie téj lub owéj płci. Nawet wtedy, gdy organy płciowe zaczęły się już rozwijać, nagła zmiana warunków może powstrzymać ten rozwój i spowodować częściowe przynajmniéj przeobrażenie się na organy innéj płci. W taki sposób wytłómaczyć sobie można powstawanie hermafrodytyzmu. Düsing przytacza nawet niektóre spostrzeżenia (nad cyklopami), wskazujące, że

gdy warunki odżywiania się nagle pogorszają się w lecie, mnóstwo samic okazuje ślady hermafrodytyzmu.

Tak więc na zasadzie wszystkich powyższych faktów i rozumowań Düsing dochodzi do wniosku, iż wszelkie właściwości zwierząt i roślin, okazujące wpływ na powstawanie płci, rozwinęły się przez działanie doboru naturalnego. Są one pożyteczne dla rozmnażania się osobników i działają w taki sposób, że jedna płeć produkowaną bywa zawsze obficiéj w takich warunkach, w jakich podobna odnośna nadprodukcya korzystną jest dla rozmnażania się gatunku. Przy pomocy tych właściwości stosunek płciowy sam się reguluje i waha wciąż około określonéj, wyrównywującéj się zawsze liczby. W niektórych atoli okolicznościach anormalny stosunek płciowy może być dla rozmnażania się korzystnym i występuje też dlatego rzeczywiście.

Oto taką jest treść teoryi młodego biologa jenajskiego. Czytelnik, który uważnie śledził za całym biegiem myśli teoryi niniejszéj, powiązanych z sobą nierozerwalnie jakkolwiek niekiedy jakby sztucznie, który ocenił doniosłość naukową rozumowań, gdzie dedukcya i indukcya wzajem się wspierają, gdzie dla dowiedzenia każdéj *à priori* wypowiedzianéj idei podane są najróżnorodniejsze fakty— przyzna bez wątpienia, że teorya ta przedstawia istotnie niezmiernie interesujący, niemal cały filozoficzno embryologiczny systemat. Ale z drugiéj strony sprawia ona wrażenie jakiejś spekulacyi, opartéj na darwinizmie, oraz dowcipnego jakby zestawienia szczęśliwie i udatnie dobranych faktów. Wrażenie takie jest wszakże tylko pozorném. Bliższe bowiem zastanowienie się, głębsze wmyślenie się, że tak powiem, w rozumowania Düsinga przekonywa nas, iż liczne fakty, dotyczące téj kwestyi są rozebrane i roztrząsane wszechstronnie, że autor w wielu miejscach sam sobie stawiał pewne zarzuty, odpierał je i wyjaśniał, że wreszcie sama myśl samoregulacyi płciowéj nie jest żadną spekulacyą filozoficzną, lecz wprost jednym z owych licznych powikłanych objawów biologicznyeh, jakie występują powszechnie pośród istot żyjących.

Aż dotąd teorya Düsinga jest tylko hypotezą, i będzie nią dopóty, dopóki większa ilość faktów a głównie eksperymentów nie potwierdzi jé lub nie obali. Stwierdzenie stanowcze jest tu jednak nadzwyczaj trudne, czynniki bowiem, płeć warunkujące, są bardzo różnorodne i współcześnie działające; a wskutek tego wykrycie bezpośredniéj przyczyny i bezpośredniego skutku staje się niezwykle uciążliwém.

Teorya Düsinga przewyższa jednak sobą wszystko, co dotąd w kwestyi przyczyn powstawania płci było wyrzeczone w nauce.

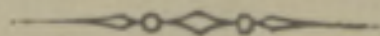
Wyższość jéj polega na tém, że jest najwszechstronniejszą, że bierze pod uwagę naraz wszystkie prawie czynniki i wszystkie prawie fakty ważniejsze, w nauce nagromadzone. Poprzednicy zaś Düsinga starali się stosunki ilościowe płci wyjaśnić albo tylko przez różnice wieku rodziców, albo przez konstytucyą i sposób odżywiania się tychże itp., jednem słowem, przez jeden tylko główny czynnik. Słusznie téż powiada prof. Preyer, że, wyłączając niektóre trudności téj teoryi, musimy ją uważać faktycznie, za czyniącą zadość surowym wymaganiom naukowym, a dzieło Düsinga, za niezwykle ważne dla nauki o rozmnażaniu się zwierząt. Nawet gdy przyszłe badania i nowe fakty podkopią tę, lub ową stronę teoryi regulacyi płciowéj, to jednak w każdym razie stanowić ona będzie niezaprzeczenie ważny krok naprzód w zrozumieniu téj dziwnéj zagadki życia, jaką jest płodzenie.

Jako jeden z najpoważniejszych krytyków hipotezy Düsinga wystąpił niedawno prof. A. Weismann (1). Wychodząc z téj zasady, że *wszelkie* cechy dziedziczne (a tém samém i odziedziczanie płci po rodzicach) przenoszą się z rodziców na potomstwo za pomocą plazmy elementów płciowych i zależą jedynie od jéj budowy *wewnętrznéj*, oraz że żadne cechy, nabywane przez rodziców w życiu indywidualném nie odziedziczają się przez potomstwo—Weismann tém samém nie przyjmuje wpływu warunków zewnętrznych na powstawanie płci zarodka. Nie będziemy jednak w tém miejscu wdawali się w bliższy rozbiór poglądów Weismanna. Stanowią one cały szereg niezmiernie interesujących dociekań w kwestyi istoty dziedziczności w ogóle i rzucają nowe światło na liczne kwestye, dotyczące życia, rozwoju i rozmnażania się organizmów. Z poglądami Weismanna zamierzam zapoznać czytelników w innym, specyalnie téj kwestyi poświęconym artykule.

---

(1) Dr. A. Weismann: „Die Continuität des Keimplasmas als Grundlage einer Theorie der Vererbung“ 1885, „Ueber die Bedeutung des geschlechtlichen Fortplanzung... itd.“ 1886 i inne.

J. Nusbaum.





O TAK ZWANÉJ
TABLICY PASCHALNÉJ LUBIŃSKIÉJ.

Roku 1883 umieścił pan St. Ł. w pierwszym tomie „Ateneum“ na str. 527—540 ciekawą rozprawę pod tytułem „Tablica paschalna lubińska“, w której wzywa i mnie, abym zabrał głos w przedmiocie przezeń poruszonym. Zanim jednak to uczynię, muszę naprzód tok całéj sprawy przypomnieć czytelnikom.

W drugim tomie „Monumentów“ ogłosił niegdyś Bielowski rocznik lubiński, obejmujący lata 1143—1176, a w przypisku umieścił wyrazy odczytane w ułamku pergaminowym, który znaleziono razem z kartą pergaminową zawierającą ów rocznik.

D-r Tadeusz Wojciechowski ogłosiwszy roku 1880 w czwartym tomie Pamiętników akademii umiejętności w Krakowie swą rozprawę: „O rocznikach polskich X—XV wieku“, zwrócił baczną na te zapiski uwagę i rozpatrując się w nich, spostrzegł ślady tablicy paschalnéj, która według jego zdania obejmowała lata 1169—1180.

Pisząc o jego rozprawie recenzyą, a mając pod ręką odpis własnoręczny Bielowskiego, który poprawniejszym i dokładniejszym był od druku, wykazałem, że owe daty paschalne nie odnoszą się do lat 1169—1180, lecz do lat 1263—1275, a zarazem starałem się udowodnić, że ułamkowe zapiski zawierają oczywiście wiadomości o zdarzeniach, które miały miejsce w owych czasach. Co się zaś tyczy zapisek na tak zwanéj stronie odwrotnéj się znajdujących, które żadnych dat nie zawierają, mniemałem, że te obejmują lata dalsze; dwie z nich należące niby do lat 1279 i 1280 objaśniłem tak, jak umiałem. Mając bardzo niedostateczną podstawę, t. j. odpis nie całkiem dokładny, Wojciechowski i ja zrobiliśmy, co wśród danych okoliczności było możebnem.

Biorąc asumpt z rozprawy Wojciechowskiego i uwag moich umieszczonych w Przewodniku naukowym i literackim, pan St. Ł.

poświęcił temu przedmiotowi bardzo gruntowną rozprawę; był jednak w szczęśliwszém od nas położeniu, bo jego zabiegom udało się otrzymać nowe odpisy, jeden zrobiony przez senatora Romualda Hubego, a drugi sporządzony przez d-ra Franckego w Berlinie i sprawdzony przez taką znakomitość jak ś. p. Waitz. Odpisy te dają po raz pierwszy dokładniejszy obraz ułamku; odwrotna strona, która dotychczas największe nastręczała trudności, zostala z wzorową prawie dokładnością odczytana, tak, że mając pewniejszą już podstawę, można było pomyśléć o odcyfrowaniu jéj. I na główněj stronie jest postęp. bo zamiast odczytanego przez Bielowskiego „lectio" (1) znajdujemy wyraz „ecclesia", który daje sens odpowiedni; inne miejsca jednak mniéj dobrze są oddane, mianowicie „post mar...", gdzie Bielowski dobrze już czytał „post incen..." i niektóre inne, o których późniéj dopiero mówić będziemy.

Mając taką podstawę, pan St. Ł. słusznie odrzucił zdanie moje, jakoby zapiski na stronie odwrotnéj pomieszczone ściągały się do czasów po roku 1275 i wykazuje, że należy je odnieść do lat 1242—1258 i stosownie do tego starał się objaśnić i uzupełnić zapiski, co z wielką znajomością rzeczy wykonał. Opierając się na zapiskach przez siebie odczytanych i uzupełnionych, doszedł pan St. Ł. do rezultatu, „że cała strona odwrotna uznana być musi za pomnik historyograficzny niezależny od tablicy paschalnéj, za nieznany dotąd rocznik lubiński, a raczéj za nieznaną część jego obejmującą środek XIII wieku, mianowicie od roku 1242 (?) do roku 1258; że część ta zajmuje co do czasu środkowe miejsce między rocznikiem lubińskim, ogłoszonym przez Bielowskiego, a zapiskami annalistycznemi znajdującemi się na tablicy paschalnéj." Co do strony zaś głównéj zgadza się pan Ł. na zapatrywanie Wojciechowskiego, że to tablica paschalna; moje zaś wnioski co do dopełnienia miejsc uszkodzonych wogóle przyjmuje, modyfikując je nieco, gdzie tego okazała się potrzeba. Trzy inne zaś zapiski przezemnie wcale nie objaśnione stara się na podstawie nowego tekstu tłómaczyć i uzupełnić.

Posunął zatém p. St. Ł. całą sprawę sporo naprzód, ale sam sobie nie zataił, że ostatecznego słowa nie wyrzekł i sam niewątpliwie czuł, że ostateczne rozwiązanie kwestyi nie jest możliwém, póki się ma przed sobą kopie zrobione przez obce osoby. Bielowski zrobił swój odpis bardzo prędko i dorywczo, bo nie miał czasu ślęczyć długo nad oryginałem. Odpis zaś Franckego jest kopią cudzoziemca, któremu do zrozumienia liter zatartych brak głębszéj znajomości historyi i historyografii polskiéj. Jestem przekonany, że i p. Ł. miał

(1) W 22 wierszu podobizny pana St. Ł.

wątpliwości, których nie mając oryginału przed sobą, sprawdzić nie był w stanie. I rzeczywiście rozwiązanie całéj kwestyi da się uskutecznić tylko za pomocą samego oryginału.

Podejmując na nowo kwestyą poruszoną przez p. St. Ł., czynię to, mając pod ręką oryginał, który dyrekcya biblioteki królewskiéj w Berlinie na prośbę zakładu narodowego im. Ossolińskich uprzejmie wypożyczyła do Lwowa.

Jak już wiadomo, cały rękopis (Msc. lat. fol 378) składa się z jednéj całéj karty pergaminowéj *in folio* i z ułamku drugiéj, które niegdyś razem znalezione przez Pertza, obecnie razem są oprawione. Wysokość karty głównéj wynosi mniéj więcéj 27·5 cm.; szerokość w miejscu najszerszém 17·7 cm.

Pierwsza stronica, która stanowiła niegdyś zewnętrzną stronę okładki książki drukowanéj, jest mocno zbrukana i wytarta, tak, że tu i owdzie tylko pozostały ślady linii, i pismo gdzieniegdzie ucierpiało; druga strona natomiast, która przylegała do książki, zachowała dotychczas całą swoją świeżość pierwotną.

Stronica ta zawiera 34 linii poziomych; margines po lewéj stronie jest 2 cm. szeroki i odgraniczony linią pionową; równolegle z nią a tylko przestrzenią 5-milimetrową od niéj oddzielona, idzie druga linia pionowa; jest to rubryka dla liter słonecznych; rubryka dla liczb rocznych wynosi 32 mm. i jest również osobną linią pionową oddzielona od tekstu; reszta stronicy jest przeznaczona dla zapisek. Brzeg górny wynosi 18 mm.; dolny zaś 46 mm.

Na trzeciéj linii z góry zaczynają się lata; dla każdego roku przeznaczono dwa wiersze bez względu na to, czy przy nim znajduje się zapiska lub nie; wyjątek stanowi rok przedostatni, dla którego wyznaczono tylko jeden wiersz.

Taki sam układ, takie samo urządzenie było, o ile to poznać jeszcze można, i na pierwszéj stronicy z tą jedną różnicą, że margines boczny nie znajduje się po lewéj stronie, lecz po prawéj i jest 26 mm. szeroki, to jest cokolwiek szerszy od marginesu na drugiéj stronie.

Lata pisane są cynobrem, a litery początkowe ozdobione czerwoną kréską; atrament ma kolor ciemno-czekoladowy.

Ułamek ma wysokość 16·4 cm. a szerokość 4·6 cm. Margines dolny wynosi na stronie z datami paschalnemi 11 mm., na drugiéj około 16 mm. Daty wielkanocne zajmują miejsce szerokie na 20—34 mm. i nie były oddzielone osobną linią pionową od zapisek. Linii poziomych jest lub raczéj było 24, nie wszystkie bowiem poznać jeszcze można. Daty są również pisane cynobrem, tudzież wielkie li-

tery początkowe są ozdobione czerwonemi kréskami na jednéj i na drugiéj stronie, z wyjątkiem jednak zapisek póżniéj dodanych. Na odwrotnéj stronie nie ma żadnego śladu linii, to jednak nie dowodzi, aby ich pierwotnie wcale nie było; gdybyśmy z całéj karty wycięli równie wielki kawałek, mielibyśmy to samo zjawisko, bo że pierwsza stronica była liniowana, tylko w jednèm miejscu jeszcze można wyraźnie widzićć.

Gdy porównamy pismo jednéj karty z drugą, łatwo się przekonamy, że najdawniejsza ręka w jednéj i drugiéj jest ta sama; skonstatować to można nie tylko na liczbach cynobrem pisanych, lecz na jednéj i drugiéj karcie powtarzają się te same wyrazy, jak np. „lubinensis“, „succedit“, „Bol..“, „eff...“, przekreślone wielkie *O*, jako znak za „obiit“ i t. p., które najlepiéj tożsamość pisma uwidoczniają. Ponieważ ostatnia zapiska tejże ręki odnosi się do roku 1275, stąd wynika, że prawdopodobnie około tego czasu musiała być czynną; jeżeli się zdaje, że ma charakter dawniejszy, to tylko dla tego, jak już p. Ł. słusznie zauważył, że należała do człowieka sędziwego, który się uczył pisać jeszcze w początkach XIII wieku.

Od téj ręki pochodzą na głównéj karcie zapiski z lat 1143, 1144, 1145, 1147, 1153, 1154, 1157, 1163, 1165, 1166, 1167, 1170, 1172 (pierwsza połowa), 1173 i 1175, a na ułamku wszystkie z wyjątkiem trzech.

Oprócz téj głównéj ręki spostrzegamy jeszcze na karcie głównéj późniejszą rękę XIV wieku, która zapisała wiadomości o biskupach poznańskich z lat 1146, 1152, 1159, 1164 i 1172 (druga połowa); tą samą ręką pisana jest na ułamku niezawodnie wiadomość o translacyi św. Jadwigi.

Okoliczność zatém, że tak karta główna jak i ułamek pisane są *jedną* ręką najdawniejszą XIII wieku, oraz że mają dodatki jednéj i téj saméj ręki XIV wieku, pozwala nam wyprowadzić wniosek, że w ułamku nie mieści się ani oddzielna tablica paschalna w ścisłém znaczeniu, ani oddzielny jakiś rocznik, lecz że cały ułamek jest tylko cząstką tego samego rocznika lubińskiego, którego jednę kartę całą razem z tym ułamkiem znaleziono kiedyś w jakiejś książce drukowanéj; można nawet iść daléj i powiedziéć, że jest cząstką tegoż samego arkusza pergaminowego, bo ułamek i karta pod tym względem niczem się nie różnią od siebie.

Świadomość tych stosunków ułatwi nam wielce pracę naszą około ułamku, bo możemy z góry przypuścić, że karta, z któréj ów ciekawy strzępek sam pozostał, była téj saméj wielkości i miała takie samo urządzenie jak karta powyżéj opisana. Nie mylimy się zatém zapewne, gdy utrzymujemy, że i ułamek w pierwotnym stanie

zawierał również po lat siedmnaście na każdéj stronicy, że również dla każdego roku dwie linie były przeznaczone. Mając to na uwadze, nie trudno będzie nam wyrachować, które lata się mieściły na obu stronicach ułamku, zwłaszcza że dolna część jego nie została uszkodzona, bo odcięto tam tylko kawałek szerokiego marginesu. Ułatwia nasze zadanie także tablica paschalna, któréj daty z największą ścisłością dadzą się oznaczyć.

Otóż ostatnia data paschalna z dołu, jak to ja i pan St. Ł. już wykazaliśmy, odnosi się do roku 1275; licząc 17 lat wstecz, otrzymamy jako pierwszą datę na téj stronicy rok 1259; dolna data zaś na stronie odwrotnéj, która, jak to p. St. Ł. dowodnie wykazał, odnosi się do czasów poprzedzających lata poprzedniéj stronicy, będzie w takim razie rok 1258. Że nasza rachuba słuszna, tego dowodzi okoliczność, że pan Ł. idąc zupełnie inną drogą, tę samę datę, ten sam rok wyprowadził. Gdy liczymy od roku 1258 począwszy 17 lat wstecz, otrzymamy jako pierwszą datę na téj stronicy rok 1241.

Jeżeli ten obrachunek jest prawdziwy, przestrzeń między pierwszym rokiem tu wykazanym, t. j. 1241 musi się w prawidłowy jaki sposób łączyć z ostatnią datą całéj karty, t. j. z rokiem 1176. Licząc od roku 1177, który był pierwszą datą na zaginionéj karcie następnéj, do roku 1240, jako ostatniego przed rokiem 1241, otrzymujemy lat 64; ta liczba nie da się wprawdzie dzielić przez 17, lecz przez 16, a tém samém daje dowód, że pomiędzy całą kartą a ułamkiem zaginął jeden arkuszyk pergaminowy, stanowiący 2 karty czyli 4 stronice, na każdéj z których było po lat 16, oraz że ten arkusz był środkowym całego zeszytu pergaminowego. Rękopisy bowiem składają się zwykle z pewnéj ilości zeszytów liczących po 4, 6, 8 i więcéj arkuszyków; do takiego zeszytu należały także te dwa arkusze, o których dopiero co mówiliśmy. Ponieważ, jak wykazaliśmy, zaginiony arkuszyk był środkowym, zatém ułamek i karta cała, jako łączące się z nim z jednéj i drugiéj strony bezpośrednio, musiały należéć do jednego arkuszyka, co potwierdza zdanie moje poprzednio już wypowiedziane. Lata zatém były na tych czterech kartach rocznika tak rozłożone:

str. 1.	1143—1159	po 17 lat na stronicy.
str. 2.	1160—1176	
str. 3.	1177—1192	po 16 lat na stronicy.
str. 4.	1193—1208	
str. 5.	1209—1224	
str. 6.	1225—1240	
str. 7.	1241—1258	po 17 lat na stronicy.
str. 8.	1259—1275	

Stąd znów daléj wynika, że oznaczenie stronic teraźniejszego ułamku jest mylne a oprawa jego bałamutna, bo dzisiejsza główna jest odwrotną a odwrotna główną stronicą.

Uzyskaliśmy w ten sposób pewną podstawę do oznaczenia czasu pojedyńczych zapisek; ale, aby wiedziéć, ile nam wolno dodać słów z początku i końca każdéj zapiski, trzeba koniecznie dobrze obliczyć, jakie miejsce ułamek zajmował niegdyś w całéj karcie. Nie mogąc robić eksperymentów z oryginałem, gdyż jest oprawiony, karty wszyte, a zatém nieruchome, zróbmy sobie wzór z papieru tak całéj karty jak i ułamku. Ponieważ odstępy linii poziomych, jednéj od drugiéj, na obu kartkach są równe, poliniujmy kartę papierową w ten sam sposób jak str. 2; przeznaczmy na lata i daty paschalne, których cała karta nie ma, przestrzeń taką jak margines z latami razem, t. j. około 37 mm. i umieśćmy tam lata i daty paschalne, trzymając się ściśle wzoru; ułóżmy potém wzór ułamku na karcie tak, aby pismo jego łączyło sie z naszym rysunkiem a oznaczywszy brzeg jego ołówkiem, będziemy mieli prawdopodobne miejsce jego w karcie pierwotnéj na stronicy powyżéj jako 8-ma oznaczonéj. Gdy jego brzeg szpilką przekłujemy, uwidoczni się miejsce ułamku i na drugiéj stronic, to jest na stronicy siódméj. Dodawszy tam takie samo miejsce na margines i lata, pokaże się, że dla uzupełnienia zdań uszkodzonych otrzymamy z przodu miejsce 31-milimetrowe a na końcu 28-milimetrowe; jest to przestrzeń wystarczająca na wszystkie potrzeby; należy naturalnie pisać wszystko zwyczajnemi skróceniami.

Podamy teraz lata przez nas znalezione oraz dopełnienia, zamykając wszystko, co od nas pochodzi, klamrami; skróceń tu używać nie możemy, a więc rozwiązujemy je, a zamiast liczb łacińskich podajemy arabskie, bo tu nie chodzi już o sposób naszego dochodzenia, lecz o jego ostateczny rezultat; przy każdéj zaś zapisce czynić będziemy uwagi, o ile takowe się okażą potrzebnemi.

Według naszéj rachuby przypada na pierwszą zapiskę na str. 7 rok 1247, a rozwiązujemy ją w ten sposób:

[1247. Conradus dux Maso]uiensis obiit et Bol[eslaus filius eius obiit.]

Pan Ł. odnosił to miejsce do roku 1242 i tłómaczył je: [Paulus episcopus Pozna]niensis obiit et Bo[guphalus succedit.]. Temu rozwiązaniu jednak sprzeciwia się raz okoliczność, że następna zapiska z r. 1248 od poprzedzającéj oddzielona jest 6 latami a tylko jedną linią w tekscie; powtóre, że o Boguchwale nie może być tu mowy, bo po literach „Bo“ widać jak najwyraźniéj ślad litery „l“ w rękopisie; gdyby tam było „g“, byłby ślad téj litery pozostał z dołu; tam

jednak nic nie widać. Bielowski zatém w tym wypadku dobrze czytał. Moje rozwiązanie opiera się na roczniku krakowskim (M. P. II, 838).

[1248. Gotfridus frater]ordinis predicatorum nunci[us domini pape
venit in Poloniam]colligere ab omnibus clericis[quintam partem
1249. de redditibus] omnium ecclesiarum.

Trzeci wiersz wkroczył już w rubrykę roku 1249, pod którym jednak żadnéj zapiski nie ma, wskutek czego wolne zostało miejsce na jeden wiersz. Co do treści zapiski, zgoda jest pomiędzy mną a panem Ł., bo różnię się od niego tylko w drobiazgach.

[1250. Heclinus ab]bas lubiniensis effe[ctus est.]

Źródła lubińskie: *liber confraternitatis* pisany w XII i XIII wieku, nekrolog założony w początku XII-go i doprowadzony do tego wieku, ale uszkodzony, bo brak nieomal 4 miesięcy, Krzywińskiego *Antiquitates* i Kieszkowskiego *Accessio ad libros duos antiquitatum* nie wyjaśniają początkowych dziejów klasztoru lubińskiego należycie. Wiemy tylko, że w XII i XIII wieku nie wybierano opatów dożywotnych, lecz tylko na czas krótki, zwykle na 3—4 lata.

Od roku 1246—1250 był poraz wtóry opatem Wojsław, który umarł dnia 22 stycznia r. 1250. Że tu nie ma mowy o jego śmierci, jest dowodem, że umarł już po złożeniu godności opackiéj i po obiorze następcy. Tym następcą zdaje się być według wspomnianych źródeł Jakób, pierwszy w XIII wieku opat dożywotni, który umarł dnia 1 grudnia roku 1278. Ale że rocznik pod rokiem 1254 podaje śmierć opata i wspomina o obiorze jego następcy, którym według téj zapiski jest Jakób, musi być tu mowa o kimś innym. Znamy 10 opatów lubińskich, których rok śmierci nie jest znany, ale tamci należą zapewne jeszcze do XII i do początku XIII wieku. Od roku 1238 począwszy mamy już dokładne wiadomości o śmierci opatów z wyjątkiem opata Heklina, który tę godność przed Wojsławem już 2 razy piastował i to od r. 1240—1242 i od r. 1243—1246. Z współczesnych mu opatów około r. 1250 nikt już nie żył; przypuszczam zatém, że roku 1250 jego obrano po raz trzeci opatem i że potém umarł dnia 22 czerwca r. 1254. Przy roku *1251* nie ma zapiski; pomiędzy poprzednią a następną są zatém 3 wiersze wolne.

[1252. Boguphalus] episcopus poznaniensis obiit et [Petrus succedit.]

lub „eligitur“, jak pan St. Ł. chce. Ł. podaje tę zapiskę pod rokiem 1253 i słusznie, bo pod ten rok należy. Tu jest ona pomylona, jak i następna, o czém później pomówię; pomimo to tak zostać musi, bo żadną miarą data zmienić się nie da.

[1253. Petrus episcopus p[oznaniensis obiit et Bogup[halus succedit.] lub „eligitur“, jak pan Ł. ma. Ł. nadaje téj zapisce słusznie r. 1254, pod którym jednak tutaj żadną miarą stać nie mogła.

[1254. Heclinus ab]bas lubiniensis obiit et J[acobus succedit].
Obacz r. 1250. Pierwszą literę imienia zupełnie dobrze jeszcze poznać można.

[1255. Castrum Nakel a p]omoranis capitur et circa [illud postea pomerani] multi occiduntur.
Co do roku i treści zapiski jest zupełna zgoda pomiędzy mną a panem Ł.; różnimy się tylko w drobiazgach stylistycznych.

[1256. Boleslaus dux Polonie] *) duxit uxorem fili[am regis Hungarie].
Tak czytam zgodnie z rocznikiem Traski: 1256. Boleslaus Jolentam duxit in uxorem; Ł. przypuszcza rok 1258, ale według rocznika wielkopolskiego (M. P. III, 32) żonę swoję roku 1258 adduxit in terram suam de terra Cracoviensi; ślub zaś odbył się tak według roczników wielkopolskich jak i kroniki wielkopolskiéj (II, 582 M. P.) anno uno ante obitum fratris sui Premislonis, t. j. roku 1256.

[1257. Premisl dux Polo]nie obiit et eodem anno [natus est filius
[1258. Fulco archiepiscopus g]nezdnensis obiit. || **) ducis Premislii.]
[Janussius in] archiepiscopatum successit.
W tych zdaniach nieco większa jest różnica pomiędzy mną a panem Ł. i to dlatego, że jego odpis w tém miejscu był wadliwy. Opuszczono bowiem w drugim wierszu po „gnezdnensis“ wielkie O przekreślone, t. j. „obiit“, co przy dobrém oświetleniu gołem okiem widzieć można; od „O“ do || jest miejsce niezapisane. W pierwszym wierszu stoi wyraźnie „nie“ a nie „otte“, jak to w Berlinie wyczytano. Dla tego téż zapiski te nie odnoszą się tylko do śmierci arcybiskupa Pełki i wyboru jego następcy, lecz mowa tu jeszcze o drugiéj; poprzedzające zaś „nie“ każe się domyśléć Polonie“ a zatém śmierci księcia; tym księciem był Przemyśl, który umarł roku 1257 pridie Nonas Junii. Co następuje nie można łączyć ze śmiercią Pełki, która wiadomość zajmuje pierwszą połowę linii następnéj; odnosi się bowiem do innego zdarzenia, gdyż to zdanie kończy się w końcowéj części linii następnéj, jak nas o tém poucza znak tam stojący. Po śmierci księcia Przemyśla najważniejszém zdarzeniem tegoż roku

*) „nie“ znajduje się już na ułamku, ale bez reagensów chemicznych, których mi niewolno użyć, nic wyraźnego wyczytać nie potrafię.

**) W tém miejscu jest kreska taka sama jak pod rokiem 1163 i 1175, która oznacza, że pisarz koniec zdania przenosi z linii poprzedniéj na następną.

było niewątpliwie dla Wielkopolan urodzenie się Przemyśla II, syna dopiero co zmarłego księcia tegoż imienia. W tym sensie zatém uzupełniłem owo zdanie ułamkowe.

Na tém skończyliśmy restytucyą tekstu stronicy, która najbardziéj uszkodzona i zbrukana, najwięcéj nastręcza trudności.

Lat 1259—1262, które były początkowemi na stronicy następnéj, wcale nie ma.

[1263. Kal. Aprilis. Castellania Lovicensis domini archiepiscopi a] pruthe[nis vastatur.].

Brak czerwonéj kréski w „p"(ruthenis) dowodzi, że wyraz ten stoi w środku zdania i dla tego téż nadałem zapisce teraz nieco inną fornę jak dawniéj.

[1264.] XII Kal. Maii. Boguph[alus episcopus Poznaniensis obiit; Petrico] succedit et [paulo post resignavit.]

[1265.] Nonas Aprilis.

[1266.] V Kal. Aprilis. Ecclesia p[oznaniensis exusta est.]

[1267.] XV Kal. Maii. Nichola[us episcopus poznaniensis in Romana cu]ria cons[ecratur.]

[1268.] VI Idus Aprilis. Translac[cio sancte Hedvigis.]

Ta zapiska nie jest współczesna, lecz została w XIV wieku do rocznika wciągnięta przez tegoż, który na głównéj karcie rocznika umieścił biskupów poznańskich.

[1269.] IX Kal. Aprilis. Anno Domini [M°CCCC°LXXX...] post incen[dium ecclesie lubiniensis]

[1270.] Idibus Aprilis. campane [nove date sunt monasterio] per Kazi[mirum regem.].

Roku 1474 Szlązacy spustoszyli Wielkopolskę i nawiedzili tak ciężko Lubin, że według świadectwa przeora Tomasza († 1567), autora zaginionéj kroniki klasztornéj, w początkach XVI wieku jeszcze nie wszystkie skutki téj klęski były usunięte. Spalono wtedy także kościół w Święciechowie, wsi do Lubina należącéj, oraz jak z niniejszéj zapiski domyśléć się można, i kościół klasztorny w Lubinie. Stąd wynika, że klasztor otrzymał dzwony od króla Kazimierza pomiędzy r. 1474 a r. 1492. Ponieważ odbudowanie kościoła trwało zapewne lat kilka, przypuszczam, że to miało miejsce w ośmdziesiątym którymś roku. Źródła lubińskie o téj darowiźnie nic nie wspominają. P. Ł. opierając się na mylnéj lekcyi „mar" zamiast „incen", chciałby zdarzenie to odnieść do r. 1457 i 1460; sądzę jednak, że tłomaczenie moje jest bardziéj uzasadnioném. Nadmienić należy, że cała zapiska została wciągnięta do rocznika ręką współczesną, ręką XV wieku.

[1271.] Nonas Aprilis.
[1272.] VIII Kal. Maii.
[127]3. V Idus Aprilis. Constru[cta est nova domus claustralis, in] qua refe[ctorium fratrum pulcherrimum.]

Ponieważ mam wątpliwość czy w XIII wieku istniała już odrębna *curia abbatialis*, wolałem myśl podaną przez Ł. zmienić w sposób powyższy. Wiadomość ta pochodzi od innéj ręki XIII wieku.

[127]4. Kal. Aprilis. Ecclesia p[oznaniensis a Nicholao episcopo conse]crat[a est.]

W Berlinie czytano: Ecclesia et. . .
domus. ;

„et“ niewątpliwie nie ma; można natomiast przy dobrém oświetleniu poznać wyraźne ślady litery „p“; również „domus“ odkryć nie mogę; pierwsza litera ma wprawdzie pewne podobieństwo do „d“, ale nie jest „d“, lecz „c“, nad którém jest znak „r“; następna litera zdaje się być „a“; po „a“ następuje „t“; innych liter pozostały tylko ślady niewyraźne; niewiedziéć zatém, czy tam było „est“ lub czy inne jeszcze nastąpiło słowo. Katedra poznańska ulegała częstym pożarom; ale znowu przypuścić trudno, aby w przeciągu 8 lat dwa razy zgorzała; dlatego téż nie można tu zastosować wiadomości Wspominek poznańskich pod r. 1274: Teutonici Poznaniam comburunt. Od czasu pożaru w r. 1266 aż do zupełnego odbudowania katedry minęło zapewne lat kilka i dlatego przypuszczam, że roku 1274 katedra już była tak dalece wykończona, aby ją otworzyć dla pobożnych i że w tym celu ją konsekrowano, na co zdaje się wskazywać kilka liter w drugim wierszu, które właśnie w tym sensie dadzą się dopełnić.

[1 78]. XVIII Kal. Maii.

Przy téj dacie, która jest ostatnią, nie ma żadnéj zapiski.

Załatwiwszy się z ułamkiem, należy się zastanowić jeszcze nad rocznikiem samym. Przechował się niestety tylko drobny fragment jego, z którego jednak tyle wnieść można, że w pierwszéj swéj części nie jest samodzielną pracą pisarza lubińskiego, lecz kopią jakiegoś starego rocznika, który blisko jest spokrewniony z rocznikami krakowskiemi i małopolskiemi. Ponieważ obejmuje tylko lata 1143—1173, w których nie spotykamy żadnych charakterystycznych zapisek, ponieważ nie znamy ani jego początku, ani jego końca, trudno zatém o nim coś stanowczego wyrzec. Zdaje się jednak, że był jednym z roczników, z których powstała kompilacya zwana dziś rocznikiem Sędziwoja. A że nadzwyczaj mało posiadamy roczników w kształcie dawnym lub pierwotnym — najwięcéj jest odpisów

XV wieku —tém bardziéj jest dotkliwą strata właśnie tego rocznika, że do najdawniejszych należy. Do pierwotnego tego rocznika nie należało jednak to, co pisarz opowiada o Lubinie; to jest niewątpliwie jego własny dodatek, opierający się zapewne na zapiskach klasztornych.

W czternastym wieku inna ręka dodała zapiski o biskupach poznańskich, najdawniejsze, które w historyografii naszéj posiadamy; w dokumentach współczesnych tylko znajdujemy o nich nieliczne wzmianki.

Jeżeli nad utratą pierwotnego rocznika ubolewać nam przychodzi więcéj ze względów krytycznych, bo mógłby się nie mało przyczynić do wyjaśnienia stosunku roczników pomiędzy sobą, aniżeli ze względu na treść jego, bo zapiski mogące tam się znajdować, zawiera niewątpliwie rocznik Sędziwoja, to ubytek wiadomości o dziejach klasztoru lubińskiego i o biskupach poznańskich jest wielką klęską dla naszéj wiedzy historycznéj. Źródła lubińskie o założeniu klasztoru i jego historyi XII wieku i w początkach XIII nic pewnego nie podają, a spisy dobrodziejów kościoła, zakonników i opatów z XII wieku, które zawierają tylko daty dzienne każdéj śmierci a nie rok, wiedzę naszę niezbyt zdołają zbogacić.

Co się zaś tyczy historyi biskupów poznańskich, to zapiski o nich znajdujące się na głównéj karcie porównane z Długoszem pokazują, jak ważne są dla historyi. Katalog bowiem Długosza jest nadzwyczaj niedokładny; brak w nim całego szeregu biskupów a następstwo imion w nim pomieszczonych jest pomięszane i pobałamucone; nadto daty przez niego podane są mylne i aż do początku XIII wieku na żadną nie zasługują wiarę.

Jeżeli rozważymy skład roczników podobnych do naszego, będziemy mogli twierdzić z wszelką pewnością, że, jak rocznik Sędziwoja i inne, zaczynał od roku 965 lub 966. Jest to kwestya o tyle ciekawa, że pozwala nam wnieść o objętości rękopisu lub zeszytu, w którym się mieścił niegdyś nasz rocznik. Dochodzenia nasze pouczyły nas, że na 4 kartach, któremiśmy się bliżéj zajmowali, mieściło się 4 razy po 16, również 4 razy po 17 lat na stronicy. Stosunek ten był zapewne wszędzie zachowany w obrębie rocznika. Licząc zatém 16 lub 17 lat na każdéj stronicy, dojdziemy do rezultatu, że przed kartą główną dotąd przechowaną zaginęło kart 6; cały zatém zeszyt pergaminowy zawierał 8 arkuszyków *in folio* czyli kart 16 w szeregu ich zajmują lata 1143 — 1176 siódmą a ułamek kartę dziesiątą.

W ułamku mamy niewątpliwie już wiadomości miejscowe, o których piszący z własnéj pamięci mógł nam donieść; odnoszą się bo-

wiem głównie do Lubina, Poznania, Gniezna i wogóle do Wielkopolski; do Mazowsza odnoszą się dwie zapiski; jedna podaje wiadomość o splądrowaniu kasztelanii łowickiéj, ale fakt ten interesował Wielkopolan, ponieważ Łowicz był własnością arcybiskupa gnieźnieńskiego; druga wspomina o śmierci księcia mazowieckiego Konrada i syna jego Bolesława, które zdarzenie dla zakonników lubińskich było o tyle ważném, że fundacya książąt mazowieckich, Jeżów, była ich filią, była pod ich opieką i zarządem.

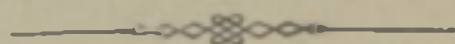
Że zaś zapiski w ułamku przechowane jeszcze nie są współczesne, że w części przynajmniéj za takowe nie mogą być uważane, tego dowodzą pomyłki w datach śmierci biskupów poznańskich Boguchwała II i jego następcy Piotra, które o rok zawcześnie podaje. Stąd wynika, że te wiadomości nie zostały wciągnięte współcześnie, lecz o kilkanaście lat późniéj, gdzie taka pomyłka była już prędzéj możliwą. Nie wiedząc, do którego roku pisarz swoje notatki doprowadził, nie możemy téż odgadnąć na pewno, kiedy przestał pisać ani kiedy zaczął pisać. Co do pierwszéj kwestyi, zapewne nigdy już nie otrzymamy odpowiedzi, chyba żeby się udało odszukać resztę rocznika; co do pytania ostatniego, nastręcza sam rocznik nam niejakie wskazówki. Tą wskazówką są właśnie daty paschalne. Skoro ich w dawniejszéj części nie było, mogły mieć tylko praktyczne znaczenie, bo znajomość daty wielkanocnéj była dla zakonników konieczną potrzebą w licznych obchodach i obrządkach kościelnych. Przypuścić zatém należy, że zaczęto je zapisywać dopiero wtedy, kiedy dla piszącego okazała się potrzeba praktyczna. Ponieważ na stronnicy ostatniéj obejmującéj lata 1259—1275 daty te już były, możnaby sądzić, że pisarz zaczął pisać już około r. 1259; temu jednak sprzeciwia się okoliczność, że daty z lat 1253 i 1254 są pomylone a człowiek piszący około r. 1259 byłby je z pewnością dobrze jeszcze pamiętał. Z drugiéj strony musiałyby nieliczne zapiski następne być zapisywane w przeciągu lat kilkunastu, każda z osobna, a w takim razie musiałaby się dać widzieć pewna różnica w piśmie i kolorze atramentu. Atrament jednak i pismo są jednostajne i wskazują na to, że zapiski od razu zostały zaciągnięte. Ta okoliczność zniewala nas przypuścić, że jedna z końcowych dat téj stronicy oznacza początek pracy pisarza; daty zaś paschalne dodał od początku stronnicy, choć nie były mu potrzebne, dla tego tylko, aby utrzymać pewną harmonią dolnéj jéj części z górną. Sądzić należy, że zakonnikom nie chodziło o to tylko, aby przez zapisanie dat paschalnych ówczesnych zadość uczynić chwilowéj potrzebie, lecz aby się raz na zawsze w stałe daty zaopatrzyć na jak najdłuższe czasy, i pewnie nie mylimy się, gdy utrzymujemy, że następujących 6 kart było temu celowi

poświęconych. Rachując po 16—17 lat na każdéj stronicy, wnieść można, że daty paschalne doszły mniéj więcéj do r. 1470, najdaléj do r. 1480. Że zaś przypuszczenie nasze nie jest może nieuzasadnionéni, tego dowodzi okoliczność, że wiadomość o dzwonach podarowanych przez króla Kazimierza, którą do czasów po roku 1480 odnoszę, umieszczono pod rokiem 1269—1270, naturalnie dlatego, że rocznik i daty paschalne tego roku już nie miały, oraz dlatego, że karty musiały być zapełnione zapiskami, bo inaczéj pisarz byłby ją niewątpliwie bliżéj właściwego czasu umieścił.

Jeżeli pierwszy pisarz zaczął pisać około roku 1275, być może, że późniejsze jego zapiski jako współczesne były liczniejsze; być może, że je daléj prowadzono po jego śmierci, na co wskazywać by mogła druga ręka XIII wieku, którą pod rokiem 1273 spotykamy. Że zaś w XIV wieku rocznik otrzymał staranniejszą kontynuacyą, wnieść można z licznych i ciekawych zapisek, które wówczas zostały dodane na jednéj i drugiéj z kart uratowanych rocznika. Zwyczajem bowiem było kontynuatorów uzupełniać wiadomości swych poprzedników.

W całości był to, jak się zdaje, rocznik nadzwyczaj ciekawy, składający się z rocznika małopolskiego i kilku kontynuacyi, sięgających do drugiéj połowy XV wieku. Póki daty paschalne były w używaniu, rękopis był w poszanowaniu; gdy zaś potrzebom codziennym służyć już nie mógł, gdy nadto rozczytywano się w książkach drukowanych i mniéj zważano na rękopisy, użyto go jak wiele innych cennych rękopisów, do oprawy książek drukowanych. Przeor lubiński Tomasz, który napisawszy kronikę klasztorną umarł r. 1567, rocznika już nie znał, bo choć jego dzieła dziś już nie posiadamy, to jednak mieli je pod ręką Krzywiński w XVII i Kieszkowski w początku tego wieku. Pisząc o XII, XIII i XIV wieku, opierają się tylko na dokumentach; stąd widać, że ani Tomasz, ani oni nie znali rocznika i jego zapisek o zdarzeniach klasztornych. Chwila zniszczenia rocznika przypada zatém prawdopodobnie na początek XVI wieku; z tego czasu pochodzą także napisy znajdujące się na głównéj karcie będącéj wówczas już okładką: „Iste liber est Lubinensis monasterii“ i „Largitor omnium bonorum benedicat potum suorum servorum.“

Dr. Wojciech Kętrzyński.





JEGO JUŻ NIEMA!

(MAJACZENIA CHOREGO).

Było nas dwóch na świecie bliskich myślą, uczuciem, wiekiem, krwią... dziś jego już niema—ja sam jeden, sam jeden!...

Nas dwóch stanowiło całość—dziś połowy zabrakło... Nie! to nie możebne!! Jakżeby jeden z nas mógł pozostać bez drugiego?! Jakżeby on mógł mnie opuścić, porzucić??! Chyba to sen? Albo mnie trapi zmora, że on umarł? albo może, ja sam go rzuciłem i teraz, po śmierci, roję że żyję?! Nie! my razem i teraz; tu, w tym zimnym grobie, marzymy o chwilach przeżytych... Tam na powierzchni ziemi, los nas na krótko rozdzielił... śmierć litościwa połączyła, a dobrzy ludzie, wiedząc żeśmy nierozdzielni, złożyli do jednej mogiły....

Co to jest?! Dzień świta—tu w podziemiu?... okno? A tam—ruch, gwar, turkot.,. A! dziś piątek.—Wieśniacy na targ... Wisła szara... czerniejący most, Zjazd .. tu—kolumna wysoka a na niéj mały król... Więc ja widzę, czuję, żyję??! A on? on?!

W studenckiéj naszéj izbie jeszcze ciemno. Gdy się rozjaśni, zobaczę łóżko i w łóżku jego. On śpi.—Cicho!

Rozwidnia się.—Łóżko—puste! Gdzie on?

A!.. wyjechał—na krótko, bo czyż my możemy żyć jeden bez drugiego?! Miał wrócić—wróci—jutro, pojutrze, może dziś? Tak! dziś go jeszcze zobaczę.

Odkąd jego niema, żyję jakiémś połowiczném życiem—i on takiém żyć musi! Nawykliśmy oddychać dwiema parami płuc, patrzéć czterma oczami. Czego brakło mojéj głowie, to odnajdowaliśmy pod jego czaszką; czego on nie uczuł, to ja odczułem—dopełnialiśmy się. Byliśmy jedném w dwóch, i para kochanków nie jest ściśléj złączona sercem i myślą, jak my dwaj,—on i ja...

Byliśmy?... Nie!.. To trwa ciągle... Tylko los na chwilę rozłączył dwa ciała, a one trzymają w rozłączeniu dwa duchy... dwie myśli.. których wysiłek dąży do unicestwienia przestrzeni... Od dzieciństwa—zawsze razem... O! pamiętam... zabawy, uczucia... grzechy i nadzieje wspólne... On i ja—on i ja...

Była już chwila rozdziału, jedna chwila. Zakochał się—przestaliśmy rozumiéć siebie... Wrócił, i znowu my razem... Był blady i smutny: „Żadna kobieta nie zrozumie mnie, jak ty bracie...“

Odtąd, znów jedne nauki, jedne cele, wspólne błędy i nadzieje... Cele? nadzieje? Przez zwątpienie do prawdy, przez pracę do zasługi... Jeśli nie prawdę pochwycić, to przynajmniéj fałsz zwalczyć! jeśli nie dosięgnąć zasługi, to jednak nie o chlubę, nie o próżność, a o nią jednę się starać. Jeśli gwiazd nie posiąść, to chociaż wzrok zwracać ku nim! Roskosz najwyższa... czuć się zdźbłem, prochem, a pojmować, odczuwać bezmiary... być czémś ograniczoném, a przecie takiém, czego widnokrąg pomieścić nie zdoła, czuć że nieskończoność drży w naszém łonie... i być istotą zdwojoną odczuwającą dwa razy, wszelką rozkosz, istotą o dwóch siłach, a z jedną wolą!..

Czasem... przypominam sobie... różniliśmy się w zdaniach... lecz po to tylko, żeby je lepiéj wyjaśnić. Żeby z dwóch powstało jedno, oczyszczone, nieosobiste, lepsze od każdego z obu pojedynczych... sprawiedliwsze. Różniliśmy się w chęciach, ale nigdy w donioślejszych pragnieniach! Jedne ideały przyświecały naszemu życiu i nie wiém, czy nie gwałtowniejszą walkę, między dobrém i złem, czuł nieraz każden z nas w pojedynczéj swéj piersi, od tych walk, które powstawały między nami i pomagały zwyciężyć tamtą... wewnętrzną...

Dla czego ja tak mówię, jakby to wszystko minęło?.. Wszak to nie było... ale jest—i będzie? On wyjechał, ale powróci—dziś... jutro Nie, dziś koniecznie!

Już dzień zaświtał... Wiosenne słońce wstaje za Wisłą... Nad rzeką, jak puch lekkie, opary białe... złocą się... czerwienią... Wśród oparów maszty... Berlinki za mgłą majaczą... Kłęby dymu, u parowego statku, rozbijają tę zasłonę z wilgoci i wznoszą się ku górze, niebieskie... kręte... jak welon nowo-zaślubionéj, długie. Tam... na dole... targ... za gmachem z łazienkami parowemi. Pstry tłum rusza się... zielone gałęzie u wozów... mnóstwo zieleni... Czy mi się wydaje, że aż tu gwar słyszę?.. Z przeciwnéj strony, bzy na tarasach zamkowych, takie świeże... wilgotne... że patrząc na nie, czuję ich zapach... Krzyż w ręku Zygmunta III-go, złoci się w porannym blasku.

Która godzina?.. Ot zegar... piąta... W pokoju pusto... tylko na stole leży kapelusz... Dlaczego krepą opasany?.. dlaczego!? A!.. wiem;

śnił mi się pogrzeb... śnił mi się?.. Ależ teraz nie śnię... kapelusz trzymam w ręku... dotykam go... czuję pod palcami... To i pogrzeb snem nie był?.. Ratujcie! zbudźcie jeśli to sen!..

Ach! nie sen!.. Teraz przypominam... Tak było... On wyjechał. W dni kilka miałem list... interesa urządzał... miał wrócić... pilno mu było. Pisze...—pamiętam—że mu trudno radzić sobie bezemnie... A ja?., ja zupełnie uczyć się nie mogłem! Błąkałem się jak cień po elizejskich polach... Chwile naszego rozdziału uprzytomniały mi zawsze męczarnie Tartaru... Żyłem tylko... pisząc do niego... i w nocy,—kiedy śniłem o nim.

Gdyby tak potrwać miało?...

I po co uczyć się bez niego? Wszak mieliśmy jednocześnie zdawać egzamina ostateczne. A potem?... potem czuć się już ludźmi... Od przygotowań, przejść do czynu,—do działania.

Nocy jednéj położyłem się rozstrojony, myślą rachując, ile jeszcze godzin upłynie do jego powrotu... Zbudziłem się zmartwiałym. Śnił mi się pogrzeb,—pogrzeb jego... Obce miejsca... czarny karawan... nieznany kościół... i cmentarz, nad którym szumiały sosny... Wtedy, to był na prawdę sen... tak mi się zdaje... Potém...

O już nie wiem. Ja w sny nie wierzyłem... ja miałem jakieś przeświadczenia przyrodnicze... Dziś?..—nie mam żadnych pojęć ustalonych... Dziś, ja wierzę w sny i... nawet nie wiém, jak rozróżnić marzenie od jawy?..

Tak!—

Po tym śnie, wyszedłem na powietrze zmęczony i z takim bólem w członkach, jak gdyby były łamane na kole. Szedłem powoli,—niby w marzeniu... (może to wszystko było marzeniem tylko?..) Dzień był kwietniowy, pochmurny trochę... Czułem jakiś nacisk na mózg, który rozbijał moję świadomość na takie przelotne chwile i takie drobne szczegóły, że całkowitéj skupionéj samowiedzy, mieć nie mogłem. Widziałem psa, który przebiegł przed memi nogami. Nie chciałem o niego zawadzić; lecz na bok się biorąc, zauważyłem jakąś wystrojoną pannę na mojéj drodze. Nie umiałem z dwóch trudności wybrać mniejszéj,—i wpadłem na pannę... Spostrzegałem dorożki, i gdy mi trzeba było przejść ulicę, wyczekiwałem aż wszystkie przejadą, nie mogąc wymierzyć oddalenia... Jak mnie to wszystko stoi przed oczami. Wreszcie zdecydowałem się w chwili, gdy nadjeżdżał powóz... Nie dostrzegłem go... i nagle posłyszałem nad sobą chrapanie głów końskich, które w tył ciągnął furman, klnąc nieuwagę moję.

Dziś wszystko to sobie przypominam... wówczas, doznałem uczucia nieświadoméj przykrości... i szedłem daléj.

Tak minąłem duży kawał Krakowskiego Przedmieścia i stanąłem u bramy, wiodącéj na wystawę obrazów Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych. Afisz oznajmiał „Chrystus przed Piłatem“ Munkaczego. — Widzę i teraz czerwone głoski afiszu. — Wszedłem, — nie myśląc co robię... W ciemném otoczeniu, z blaskiem padającym od góry, obraz ten, jak żywa scena, pochwycił moję wyobraźnię... Dziś bo już nie umiem postawić granicy między tém, co zwą rzeczywistością, a tém, co uważają za złudę.... Słyszałem... tak, słyszałem, zewnątrz siebie, nie w sobie,—namiętny głos oskarżyciela, słyszałem szmer tłumu i wrzask krzykacza... zdziwiony, że kiedy mnie, obcego téj scenie, wrzask ten wstrząsał do głębi, żaden z jéj uczestników nie zwrócił nawet głowy.... Zauważyliście to?... Słyszałem, jak ten żyd w beduińskim burnusie, widać kupiec z karawaną wędrujący... z twarzą wyschniętą i spaloną, jak twarze flisów naszych... zjadliwie woła, ukazując palcem: „On powiada, że jest królem żydowskim!“ A tłum podnosi krzyk: „Ukrzyżuj go! ukrzyżuj! bo powiemy, żeś ty wróg cesarza!“ I wtedy ta młoda matka, stojąca pod murem, wzrok pełen słodyczy i prawdziwie kobiecéj litości zwróciła na tego człowieka w białéj szacie, co stoi w pośrodku, oskarżony i z góry potępiony.—Ona to wié! Podobno krytyka niezadowolona jest z postaci Chrystusa. Dla mnie on żył! Dla mnie, w tym wzroku spokojnym, było przeświadczenie takie i wiara taka, że stanąłem zatrwożony, czy on i ja... mamy takie wiary, za które znieślibyśmy obelgi i z podobną pogodą, patrzali w oczy męce?...

A gwar po za Chrystusem trwał. Głosy niepewności, zwątpienia, nienawiści, jaką każda wyższość budzi.... głosy nigdy nie milknące małych przedstawicieli wielkiéj ludzkości, a rozszalałe, ile razy zjawi się reformator i prorok.... głosy te odzywały się zewsząd. Jeden z kapłanów wzrokiem wściekłéj pogardy mierzył zwiastuna nowéj doby i radował się, że pomści upokorzoną swą pychę... że zgniecie tę myśl... zagasi ten płomień... I dziś są myśli... i dziś są płomienie, które stłumić by chciano. I dziś są faryzeusze... ale dziś tak samo.... krew prześladowanych rodzi wyznawców nowych.

Płomień... zgaszony. I on był płomieniem!.. Jakąż matką jest ta przyroda, jeśli sama gasi najlepsze światła swoje?... najlepsze światła.

O! on... był jasnym płomieniem!

W oczach mi ciemno i myśl się mąci... O czém ja mówiłem?.. A! wiem.

Stałem przed obrazem, aż żal mię zdjął, żem ja tam bez niego! Każdą radość zwykliśmy dzielić, jak i cierpienie każde... Cierpienie w podziale... łagodzi się, — radość się dwoi... Nie chciałem już pa-

trzyć... „Wrócimy tu razem“—pomyślałem. I... nie wróciliśmy!.. i ja sam nie wrócę!! Nigdy już obrazu tego widzéć nie chcę! Nigdy!

Wyszedłem. U Gebethnera sprzedawano bilety na odczyty. Dosyć Munkaczego! — Nie chcę żadnéj przyjemności, — bez niego wyrzucałbym ją sobie.

Spotykam kolegę;—namawia na koncert;—nie pójdę!

Zawróciłem do domu.

Powoli—nie śpiesząc się,— bo nie było do czego, — szedłem ku Zjazdowi. — (Sądziłem żem zapomniał wszystko... wszystko... a jak ja każden szczegół pamiętam! ..). Powoli wchodziłem na nasze poddasze. Czekała mnie pusta izba i samotność... tak samo jak na ulicy; tu, czy tam, wszystko jedno! — Wielkie przywiązania wyosabniają. On i ja kochaliśmy ludzi, aleśmy potrzebowali ich mało. Braliśmy udział we wszelkich robotach zbiorowych, organizowaliśmy nawet niektóre; koledzy zbierali się u nas... ale my — w ich życiu hulaszczém—mały braliśmy udział. Dla wszystkich byliśmy przychylni... płacono nam życzliwością, ale nie mieliśmy przyjaciół. Jeden drugiemu wystarczał zupełnie i święte to miano chowaliśmy wyłącznie dla siebie tylko. Dla mnie, po za nim, — dla niego, po za mną, nie mogło być przyjaciela...

Otworzyłem drzwi;—pod nogami zaszeleściał mi papier; — telegram w szparę wsunięty. Otworzyłem... Z początku zrozumiéć nie mogłem; wkońcu pojąłem.

On był chory!

Jechać natychmiast!

Pojechałem... Pamiętam stacyą kolejową, gwizd lokomotywy słyszę.... Sen powtórzył się... Zastałem martwe zwłoki!!.. o! straszny sen! — Leżał wyciągnięty, sztywny, na wołanie moje głuchy!... I był czarny karawan... i obcy kościół... i nieznany cmentarz—pod sosnami...

Miesiąc już... a ja ze strasznego snu tego zbudzić się nie mogę, i sam jestem, sam jeden! Jego już niéma! niéma!

Żyję wspomnieniami... Jakeśmy uczyli się razem... marzyli razem.... Przechadzki nasze... i winy wspólne. Wybryki młode i radości wielkie.. i nadzieje bezmierne... Przeżywam to wszystko... siadam nad książką czytać niby i wzrok od kart podnoszę: czy on nie siedzi po przeciwnéj stronie stołu? — Niema go! niema już. — Drzwi skrzypną... Może to on wchodzi?... Nie! nie wszedł! — W nocy się budzę i szukam go na łóżku... łóżko puste i zimne!.. I koszmar to, czy rzeczywistość?... nie wiem!.. Wiem tylko, że cierpię... ogromnie... że jeśli on umarł, to i ja już nie żyję...

Dnia jednego, chłopiec blady, kolega nasz, przyszedł do mnie:

— Gdzie on jest?—spytałem. Zdaje się, żem wszystkich tak pytał.

On wziął rękę moję. Chłodne miał dłonie... Ogarnęła mnie świeżość jakaś, jak powiew wiosennego wiatru.

— Ty cierpisz—powiedział—ja cię żałuję; jego kochałem. Czy chcesz, żebym jego zastąpił?.. żebym był tobie przyjacielem?...

— Jego zastąpił?... przyjacielem?!

Szał jakiś mną owładnął. Więc jego naprawdę tak zupełnie niema, że chcą go już zastąpić?...

Potém — nie wiem co się stało....

Gdym oprzytomniał, chłopak blady siedział na mojém łóżku... dłoń moję trzymał w swojéj, lecz już nic nie mówił...

Teraz często przychodzi i snuje się po izbie; ale dla mnie dziś wszystko senną marą. Jego już niema!.. Z nim — zniknęła rzeczywistość!

Jeśli to nie sen, jawa straszna niedługo potrwa — bo ja pójdę do niego.

W. Waleska.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Dr. Józefa Rostafińskiego Botanika szkolna dla klas niższych z kluczami do oznaczania 536 pospolitych roślin, ozdobiona podwójną tablicą barwną, oraz 374 figurami w drzeworytach. Kraków 1886, 8[0], str. 120 i 52.—Botanika szkolna dla klas wyższych ozdobiona podwójną tablicą barwną, 553 figurami w drzeworytach, oraz tablicą rozsiedlenia roślin. Krak. 1886, 8[0], str. 192.

Przeglądając nasze dzielka szkolne, służące do początkowego wykładu botaniki, widzimy w nich wielkie braki. Prócz kilku tłómaczeń, częścią zbyt dawnych, częścią bez wartości naukowéj, a co gorsza jeszcze źle tlómaczonych, które nikogo zachęcić a wielu zniechęcić do nauki mogły, nie mieliśmy dotąd nic, coby nawet najskromniejsze mogło zadowolić wymagania. Z dzieł na wyższym stopniu naukowym stojących, prócz wybornego przekładu botaniki Jussieugo przez dr. Tytusa Chałubińskiego, który dziś nawet pod względem terminologicznym za źródłowy uważać musimy, są tylko rzeczy tak przestarzałe, iż czytanie ich nie przyniosłoby innego skutku nad smutne przekonanie, że tak strasznie w tym kierunku za cywilizacyą zachodu opóźnić się zdołaliśmy. Tém też miléj przyjąć musimy dwie nowe książki prof. Rostafińskiego, znając bowiem jego talent pisarski, oraz wielkie zasługi naukowe, szczególniéj przez wprowadzenie do nas nowéj szkoły botanicznéj, musimy rokować z połączenia tych dwóch właściwości świetną przyszłość i zbawienny wpływ jego dwóm dzielkom. Zupełnie oryginalny podział przedmiotu, zaledwo w zarysach przypominający niektóre nowsze podręczniki francuzkie i angielskie, zmusza mnie do bliższego rozpatrzenia się w metodzie, jaką przyjął pan R. w swym kursie niższym i wyższym botaniki Zaczynam od Botaniki dla klas niższych.

Celem autora jest zapoznanie ucznia ze światem roślinnym otaczającym go, w formach najpospolitszych, codziennych towarzyszkach naszych przechadzek, przystępnych tak dla dzieci miasta jak sioła, a często już z życia im z nazwiska dobrze znanych. Dziecię wita więc w tym dziełku swych dawnych znajomych, zaciekawione tém dochodzi zwolna do zrozumienia ich budowy, co mu nader liczne a po części oryginalne rysunki ułatwiają; zrozumiawszy ich budowę, sięga daléj, bo zaczyna poznawać ich koléj życia, ich pokrewieństwa nasuwają mu się już same; grupując, dochodzi zwolna do ogólnych wyników, do zrozumienia życia przyrody, które raz już wpoiwszy się w umysł, pozostaje niezatarte na całe życie, jako najwyższa zdobycz nauki.

Dziełko swoje zaczyna pan R od krótkiego wyłożenia czém jest roślina, i z jakich części się składa. Budowa kwiatu, owocu i nasienia wyłożona jest na piwonii, któréj wcale udatna kolorowana podobizna zdobi tablicę tytułową samego dzieła. Mówiąc o jaskrze i pokrewnych, wykłada teoryę terminologii botanicznéj i sposób nazywania roślin, przy lnie zaś jest wytłómaczona budowa złożonéj zalążni, nasienia oraz cała fizyologia kiełkowania. Lak, kapusta, tasznik, wiśnia, śliwa, róża, grusza, jabłoń, jeżyna, malina, poziomka i groch są dalszemi typami, które służą panu R. do wyłożenia uczniowi grupy wolnopłatkowych. Jako nadzwyczajny dodatek, który pan R. radzi wziąć przy powtarzaniu, są muszec (muchotrzew), kąkol, ślaz, marchew, barszcz. Z grupy zrosłopłatkowych opisuje pan R. jak pierwéj, z zupełném wyjaśnieniem ich morfologicznéj budowy a po części i wytłómaczeniem ich czynności życiowych: wilczojagodę, ziemniak, jasnotę, karczoch, podróżnik i stokrotkę, z dodaniem, opisu bani i jéj pokrewnych.

Rośliny bezpłatkowe, których zrozumienie dla ucznia utrudnia nader drobna budowa ich kwiatu, omawia pan R. przy opisie tatarki, szczawiu, konopi, chmielu, wierzby, brzozy, dębu, dodając do nader jasnego opisu tak liczne rysunki, że zrozumienie roślin tych najmniejszéj nie może robić trudności. Nie wchodząc daléj w szczegóły, powyższe bowiem wyliczenie daje dostateczny obraz nader trafnego wyboru reprezentantów świata roślinnego, wspomnę tu tylko, iż w podobny sposób przechodzi pan R. rośliny jednoliścienne, nagozalążkowe i skrytokwiatowe. Skrytokwiatowe dzieli na Rodniowce i Plechowce, opisując przytém ich typy, podaje możność ogólnego obznajomienia się z tą, obecnie tak interesującą częścią świata roślinnego, która dotychczas w dziełkach tego rodzaju najczęściéj pomijaną bywała.

Przegląd świata roślinnego, odpowiedź na pytanie: co to są rośliny, oraz pogląd na postaci ciała roślinnego i jego narzędzi, obejmując krótko wszystko to, co pierwéj było powiedzianem, są tą ostateczną treścią, która przy możliwém zapomnieniu wszystkich nawet szczegółów daje wystarczający pogląd na cały świat roślinny.

Osobny rozdział, tworzący dodatek do całego dzieła, zawiera „Sposób poznawania roślin kwiatowych, pospolitych w naszym kraju“ wraz z uwagami „o zbieraniu, badaniu i suszeniu roślin kwiatowych.“ Pierwszy klucz służy tylko do oznaczania pospolitszych drzew i krzewów, drugi zaś do oznaczenia najpospolitszych ziół i roślin trwałych, którym autor starą a tak trafną nazwę „byliny“ przywraca. Oprócz praktycznéj strony w ułożeniu samego klucza, podnieść jeszcze muszę stronę tegoż naukową. Zamiast zupełnie nienaturalnego, dziś już tylko bezmyślność popierającego systemu Linneusza, używa pan R. sposobu naturalnego, opartego na stopniowym oznaczeniu, zacząwszy od rodziny, rodzaju a kończącego się dopiero na oznaczaniu gatunku. Oznaczając w ten sposób rośliny, jest zmuszonym młodziuchny badacz głębiéj wejrzéć w naturę i pokrewieństwo pewnego gatunku, gdy przeciwnie używając klucza Linneusza, dochodzi się tylko do nazwy gatunku, przyczém o saméj roślinie i jéj pokrewieństwach nie może się nabrać żadnego lub tylko złe wyobrażenie. Znaczenie zaś samego zbierania roślin dla nauki botaniki najlepiéj omawia w przedmowie do swego dziełka pan R. „Rysunki i modele są bezwątpienia koniecznie do wykładu potrzebne, ale natury nigdy nie zastąpią, trzeba więc zachęcić ucznia, żeby się zapoznawał z żywą przyrodą, żeby sam zbierał rośliny na ojczystéj niwie, żeby je porównywał, badał, poznawał ich obyczaje, wtedy bowiem będzie dlań botanika prawdziwie *scientia amabilis.*“

Przejdźmy teraz do dzieła drugiego, do Botaniki szkolnéj dla klas wyższych. Plan téj książki jest zupełnie innym aniżeli w dziełku dla klas niższych, przyczém jednak sposób przeprowadzenia saméj rzeczy przypomina bardzo dziełko pierwsze. Nie chcąc podobnie jak to pierwéj już uczynił, oddzielać anatomii, morfologii, fizyologii od systematyki roślin, omawia pan R. pojedyńcze te rozdziały przy odpowiedniéj sposobności, z którego to zadania tém się łatwiéj wywiązuje, iż zaczynając od roślin najniższych, pod każdym względem tak formy jak i czynności fizyologicznéj najprostszych, przez ustawiczne dopełnianie przedmiotu dochodzi do form tak morfologicznie jak i fizyologicznie najwyżéj stojących. Wstęp stanowi krótka historya botaniki wraz z nauką o systemie botanicznym. Przy wodorostach, których najzwyklejsze formy wybornie unaocznia barwna tablica, omawia pan R. anatomią i fizyologią komórki. Dalsze

części skrytokwiatowych, znacznie obszerniéj i w naturalnym porządku opracowane, dają pod każdym względem doskonałe wyobrażenie o ich formach i życiu. Rośliny jawnokwiatowe poprzedza ogólny rys anatomii tkanin, morfologii i fizyologii tychże, przyczém jednak pan R. trzymając się pierwotnego planu, omawia to częściowo przy odpowiednich grupach roślinnych. Przy opisaniu pojedyńczych rzędów roślinnych, które gdzieniegdzie jeszcze p. R. i na rodziny dzieli, trzyma się autor systemu Brogniarta z poprawką Eichlera. Pośród wolnopłatkowych pominął p. R. rząd *Frangulineae* i *Saxifrageae*, reprezentowany w naszéj florze przez rodziny *Vitaceae* i *Rhamnaceae*, *Saxifragaceae* i *Crassulaceae*, których to rodzin dodanie przedmiot by znacznie lepiéj zaokrągliło. To samo mogę powiedzićć i o grupie zrosłopłatkowych, których opracowaniu zarzucić muszę zbyt wielką zwięzłość. Ostatnie dwa rozdziały, zawierające paleontologią i geografią roślin, dają krótki zarys przeszłości świata roślinnego, tegoż powolny rozwój oraz stan obecny. Podział na grupy geograficzne względnie do ich klimatycznego rozprzestrzenienia się, lubo tenże niezupełnie zgadza się z najnowszemi zapatrywaniami, uważam za bardzo szczęśliwy, daje on bowiem nie tylko obraz najnaturalniejszy ale i najjaśniejszy.

W całém tém dziele kładzie pan R. nie tyle nacisku na stronę systematyczną, to jest na opisy form roślinnych, czém dawniéj wszystkie tego rodzaju książki były przepełnione, ile raczéj na porównanie ich budowy morfologicznéj i poznanie czynności fizyologicznych. Poznanie jakiegoś organu może nas dopiero wtedy zainteresować, gdy zrozumimy jego znaczenie życiowe, jego funkcyą fizyologiczną. Pan R. zapoznając uczniów z otaczającym ich światem roślinnym, mniéj zajmuje się opisywaniem tego, co oni sami widzą, idzie mu głównie o to, ażeby uczący się zrozumieli życie roślin, ich naturalne ugrupowanie, a więc i rozwój całéj przyrody. Zwięzły ale nader jasny tekst samych książek bardzo urozmaicają liczne figury w drzeworytach, bez których nawet najlepsza treść byłaby suchą i trudną do zrozumienia. Wykonanie rysunków, niektóre z nich są oryginalne, zaspokaja najzupełniéj wszelkie wymagania, dozwalając współubiegać się o lepsze dziełkom tym ze wszystkiemi tego rodzaju wydawnictwami zagranicy. Rzecz cała, nader jasno, prosto i pięknym językiem napisana, jest zdrowym, dobrze przyprawionym pokarmem umysłowym, czego niestety o poprzednich wydawnictwach szkolnych powiedzićć nie mogę.

Oprócz jednak zalet czysto pedagogicznéj natury muszę podnieść jeszcze i wielką zasługę naukową, jaką zdobył sobie pan R. przez wydanie tych dwóch dziełek.

Pominąwszy bowiem już to, że dają one doskonałą sposobność wykształcenia młodszych pokoleń, są one dziś jedynym i do tego wybornym materyałem, z którego wreszcie czerpać możemy nasze naukowe słownictwo. Nieco już liczniejsze prace naukowe, jakie zaczęły się pojawiać w dzisiejszych czasach, grzeszą albo zupełnie odrębnóm, dla wielu całkiem niezrozumiałém słownictwem, albo są przeładowane tak dla nas niesmacznemi wyrazami obcemi. Słownictwo, przyjęte przez pana R., tworzą przedewszystkiem co najlepsze nazwy, zaczerpane z dawnych zielnikarzy, niektóre z nich są już tak stare, że ich dziś zrozumiéć nie możemy, dane wyjęte z dzieł nowszych botanicznych i zupełnie nowe przez pana R. powiększéj części bardzo szczęśliwie utworzone słowa. Rzecz ta napozór nie wielkich rozmiarów, wymagająca jednak nader wiele pracy, jest jedną z największych ozdób tych dwóch książek, zmusza ona bowiem nawet naszych ludzi fachowych do zajęcia się na seryo temi, w zasadzie tylko dla dzieci przeznaczonemi dziełkami, aby czerpać z nich to tak długo nam zbywające słownictwo naukowe. Musimy téż uważać za niepomierną zasługę, skreślenie tych dwóch książek, pominąwszy bowiem już obszerne wstępne studya terminologiczne, najwięcéj właśnie wymaga pracy to, co ma być najprościéj i najprzystępniéj napisane. Usunięcie się chwilowe od studyów naukowych, dla zajęcia się tego rodzaju pracami, jest największém poświęceniem, na jakie może się zdobyć uczony, zadowolnienia bowiem, jakie nam daje nauka, nic innego zastąpić nie może. Tylko gorące przekonanie o obowiązku służenia krajowi może odsunąć na chwile uczonego od prac ścisłych i zwrócić plon pracy jego w kierunku czysto pedagogicznym.

W tym jednak razie plon, nader bogaty pod każdym względem, może zupełnie zadowolnić autora, który przez napisanie tych książek nie tylko dał nam wreszcie tak oddawna wyczekiwane podręczniki, ale jeszcze stworzył pod każdym względem tak wyborną całość, iż mimo dobréj znajomości obcych podręczników, nie wiem czy mógłbym który z niemi porównać. Przełożone na inne języki stały by się nawet wśród obcych równą ozdobą ich szkolnéj literatury, a kto wie, czy nie zdołały by wyprzéć ich domowych produktów. Dziś więc nikt się już żalić nie może, mamy własne książki, książki wyborne i nader tanie, czas więc odsunąć od nauki obce dzieła lub poronione przeróbki i tłómaczenia, które dziś niestety tak zdołały zalać pułki szkolne i cały handel księgarski, że wśród ich powodzi utonęła i sama nauka.

Dr. Ign. Szyszyłowicz.

Ród Gedimina. Przez Józefa Wolffa. Kraków 1886. 8-vo, str. VIII i 172.

Przybyła nam oto, po znanych już zaszczytnie monografiach historycznych — jak „Senatorowie i Dygnitarze w. ks. litew.“, „Pacowie“ i inne pomniejsze — nowa praca źródłowa niestrudzonego p. J. Wolffa pod tyt. „*Ród Gedimina* — Dodatki i poprawki do dzieł hr. K. Stadnickiego: Synowie Gedymina, Olgierd i Kiejstut i Bracia Wlad. Jagiełły.“

Sam tytuł tego poważnego przyczynku do dzieł znakomitego badacza zawikłanych stosunków rodowych domu Gedymina, jedną z gałęzi którego są i Jagiellonowie, dostatecznie wskazuje jego treść i wartość historyograficzną. Mimo szerokiego zakresu swych prac, hr. K. Stadnicki nie był w stanie ogarnąć ogromu całego szczegółów, jakie w sobie ukrywa badany przezeń przedmiot, a cóż dopiero szczegóły te wyczerpać. Tymczasem—próżna to rzecz—bez wyczerpującego poprzednio rozjaśnienia stosunków heraldyczno-genealogicznych wśród tłumnego zastępu kniaziów i możnego bojarstwa, niepodobna zrozumieć należycie i saméj istoty faktycznéj udzielno-feudalnego porządku rzeszy rusko-litewskiéj w epoce jéj uniowania się z Polską. Co więcéj, niepodobna zgłębić bez tego aż do źródeł pierwotnych owego potwornego oligarchizmu, który ze wschodniéj połaci przedewszystkiém zaciężył późniéj tak fatalnie i nad całą zuniowaną już Rzpltą, niby żywe szyderstwo z tyle umiłowanego przez rycerską drobnotę hasła: „szlachcic na zagrodzie równien wojewodzie.“ Próżna rzecz — powtarzamy: poważne badanie historyczne szczegółów heraldycznych przestaje być, jakby to się na pozór wydawało, bezowocném amatorstwem; nieodzowność takowego przy śledzeniu rozwoju wewnętrznych przedewszystkiém stosunków Rzeczypospolitéj, jako *p. ex.* szlacheckiéj, zbyt widoma. Takie więc prace, jak K. Stadnickiego, nabrały słusznie wagi niepospolitéj. Że zaś zostawało zawsze niejedno w nich do wyświetlenia; nie mała tedy zasługa p. J. Wolffa, gdy przedstawia nam on właśnie na podstawie nowych częścią materyałów, to co się dało tam już sprostować i uzupełnić. A jeśli i on sam nie zdołał oprzéć wszystkich swych, sprzecznych ze Stadnickim wywodów i domniemań na podstawach zupełnie niezachwianych, to zato pobudził żywiéj badaczy do dalszych na tém polu wyświetlań.

Rzućmy też okiem na wybitniejsze zaznaczenia autora.

P. Wolff zaraz we wstępném swém przemówieniu wskazuje, że K. Stadnicki dość pesymistycznie odniósł się do całego szeregu kniaziów, którzy we współczesnych źródłach występują jako krewni Jagiełły lub Witolda, i że kniaziów tych on albo całkiém pominął, albo

starał się połączyć ze znanemi już osobistościami. Pomiędzy innymi nie przyznaje wśród synów Olgerda z pierwszéj żony Fedora, identyfikując go z innym Olgerdowiczem-Wiguntem, skutkiem czego odrzuca pochodzenie od Gedymina kniaziów Koreckich, Pińskich, Trubeckich, Czartoryskich, Kobryńskich i Sanguszków.

Mniejsza tu zapewne o żale głośne i ciche, jakie kiedyś z tego powodu w pewnych sferach to się rozlegały, to były tłumione!

Synów Gedymina podaje autor w następującym porządku: Monwid, Narimont, Olgerd, Jewnut, Kiejstut, Koriat, Lubart.

Gdy każda z możniejszych z czasem rodzin litewskich starała się zaczepić swój rodowód co najmniéj o jakiego choćby gminowego kunigasa z zamierzchłéj epoki, śmielsze z nich przypytywały się do krwi Gedymina.

Od najstarszego z jego synów Monwida w w. XVI poczęła się wywodzić rodzina Moniwidów i pochodzące jakoby od niéj rodziny Zabrzezińskich, Dorohostajskich, Hlebowiczów i Wiażewiczów. Autor podaje rzeczywisty rodowód tych domów, dzieląc je na trzy grupy odrębne.

Miał szczęście do szlachty i drugi z rzędu syn Gedymina, Narimont-Hleb. Choć zbyt późno, odwołali się doń przecie Sapiehowie; rzeczywisty zaś ich protoplasta Sopeha był w latach 1440—50 pisarzem kancelaryi w. księcia a potém króla Kazimierza. Co do kniaziów Rożyńskich a raczéj Rużyńskich, wyprowadzonych również od Narimonta, nic — zdaniem autora — nie przemawia za tém, aby pochodzili rzeczywiście z książąt litewskich. W XVI w. zwali się oni także Rohowickimi. Były wszakże na Litwie i Rusi liczne téż rody, pochodzące istotnie od Narimonta. Najliczniéj rozrodzoném było potomstwo syna jego Patryka. Od tego pochodzą do dziś dnia kwitnące w Rosyi domy książęce Golicynów, Kurakinów i Chowańskich; jako téż wygaśli już ks. Koreccy. Ci — zdaniem autora — pochodzą nie od urojonego syna Olgerda, Butawy-Dymitra, lecz, co dlań niewątpliwe, od Aleksandra Patrykiejewicza, kn. starodubowskiego, któremu potém wydzielono pewnie Korzec. Od syna jego Semena poszła krótkotrwała linia kniaziów Koreckich na Moskwie, od Wasila zaś głośny ród wołyński. Inny syn Narimonta, Michał, odziedziczywszy po ojcu Pińsk, staje się protoplastą pierwszéj linii kniaziów Pińskich z rodu Gedymina, co zastąpiła tam Rurykowiczów, los których dalszy nie znany jest dokładnie (Czetwertyńscy?). Lecz cały rodowód kniaziów Pińskich-Narimontowiczów, podany przez autora, jest własnem jego zdaniem jeszcze bardzo niepewny. Z jednym z kn. Pińskich, Michałem Konstantynowiczem, starostą włodzimierskim przy Swidrygielle (1437) mieszają kn. Michała Kurcewicza. Gdyby

tożsamość ich okazała się istotną, w takim razie i tradycya o pochodzeniu kniaziów Kurcewiczów z książąt litewskich znalazła by potwierdzenie. Koriatowicze to przecie, jak chcą niektórzy. Po śmierci kniazia Iurija Semenowicza, Pińsk, spadły na króla, został 1471 nadany wdowie Semena Olelkowicza, ks. kijowskiego, Maryi i jéj potomstwu, które dało początek drugiéj linii ks. Pińskich z rodu Gedymina.

Trzeci z rzędu Gedyminowicz, Olgerd, miał aż 12 synów, których rozrodzenie się osobno traktowane. Z córek jego — przez Teodorę, żonę kn. karaczewskiego Swiatosława Tytowicza, wiąże się z domem Gedymina ród kniaziów Masalskich, pochodzący od syna ich Jurija; przez Helenę zaś wydaną za kn. Włodzimierza Andrejewicza, przezwanego „Chrobry", brata stryj. w. ks. Dymitra „Dońskiego" — występujący z czasem na Polesiu ród kniaziów Jarosławiczów. Pochodzili oni od syna ich Jarosława, udzielnego kniazia na Borowsku, wnuk którego kn. Iwan Wasilewicz Jarosławicz przybył za młodu na Litwę, gdzie od króla Kazimierza otrzymał Kleck a potém i Horodek Dawidowy (Dawidgrodek), założony widocznie przez kn. Dawida Dmitrewicza, męża córki tegoż Olgerda Maryi.

Jewnut-Iwan, czwarty syn Gedymina, miał po ojcu objąć Wilno razem z dostojeństwem w. książęcia. Prof. Włodz. Antonowicz fakt ten podał w wątpliwość, utrzymując, iż pierwiastkowo wszyscy synowie Gedymina byli równymi pomiędzy sobą, dopóki dwaj najzdolniejsi z nich Olgerd i Kiejstut nie położyli końca temu nieokreślonemu położeniu. Autor wszakże wątpliwość tę usunął, powołując się na świadectwo samego Witolda, który w jednym z listów do zakonu pisze: „dziad nasz Gedymin przeznaczył ostatnią wolą wielkie księstwo w Wilnie Jewnucie, Olgerdowi Witebsk, a memu ojcu Kiejstutowi Troki i t. d." Z synów Jewnuta kn. Semen schodzi widać bezpotomnie. Inna to wcale osobistość od kn. Semena Jamuntowicza, z rodu jakichś kniaziów drobnych czysto litewskiego pochodzenia, jako to wskazują imiona ich pogańskie, w istnienie których pan Stadnicki wierzyć nie chce. Kojałowicz od tych Jamuntowiczów wyprowadza najbezzasadniéj ród Chodkiewiczów; prędzéj można przypuścić, że pochodził z ich krwi żyjący na początku XVI w. kn. Semen Jamontowicz Podberezski. Drugi syn Jewnuta, Michał, jest protoplastą, jak wiadomo, rodu kniaziów Zasławskich na Litwie, różnych zupełnie od tejże nazwy rodu wołyńskiego z domu Ruryka. Jeden z linii tych kn. Zasławskich, Michał Iwanowicz, otrzymawszy po ostatnim z Lingweniewiczów Mścisław, począł się pisać kn. Mścisławskim. Od syna jego Fedora poszła gałąź moskiewska — wygasła w XVII w.

Kiejstut, piąty syn Gedymina, miał z dwóch żon 5-ciu synów, imiona których: Patirg, Wojdat, Butaw-Henryk, Witowd-Aleksander, Towtiwił Konrad, Zygmunt. Z tych trzej młodsi z Biruty. Ród Kiejstuta wygasł już na wnuku jego, kn. Michale Zygmuntowiczu. Wszelkie więc podania o pochodzeniu z tego rodu domów kniaziowskich a tém bardziéj szlacheckich należą do bajek. Tak kn. Kroczyńscy, mający pochodzić od Patirga czy Wojdata, wyszli z gniazda smoleńskiego; rodzina Zgierskich, wywodząca się, przez Piotra Białego i Kiszków, od Towtiwiła—nic z nim nie ma wspólnego; a cóż dopiero rodzina Żaglów herbu Trąby, którą przewodnik heraldyczny p. Kosińskiego (II. str. 683) wyprowadza od Michała Zygmuntowicza.—Synów Witolda—jakoby otrutych w Królewcu—autor nie przyznaje.

Koriat-Michał, szósty syn Gedymina, był ojcem czterech znanych książąt podolskich: Jurja, Aleksandra, Konstantego i Fedora, Mógł on jednak mieć jeszcze kilku synów, albo téż który z wyżéj wymienionych pozostawił potomstwo. Tych nowych Koriatowiczów p. Stadnicki, usiłuje zaliczyć do innego domu. Ród Koriata wcześnie znika z widowni. Kniazie Kurcewicze, którzy dziś używają przydomki „Koriatowicz“ i herbu Pogonia są widocznie pochodzenia ruskiego. Protoplasta ich kn. Michał Kurcewicz otrzymał 1451 przywiléj na Buremlę, zkąd niektórzy z jego potomków pisali się kn. Buremskiemi; żyjący zaś w poł. XVI w. kn. Wasil Kurcewicz nosił przydomek „Bułyha“. Nie mniéj bezzasadném jest wyprowadzanie (p. Paprockiego) od Koriata kn. Rużyńskich.

Lubart Dymitr, najmłodszy z synów Gedymina, również najniesłuszniéj był długo uważanym za przodka pewnych rodzin kniaziowskich na Wołyniu. Miał on syna Fedora (Fieduszka), znanego—razem z innymi imiennikami—stronnika Świdrygiełły. Fakt, że jedyny ten głośny Lubartowicz, umierając 1431, uczynił króla ogólnym swoim spadkobiercą, dowodzi zdaniem autora dostatecznie, że nie tylko nie pozostawił on żadnego potomstwa, ale nawet nie miał blizkich krewnych a mianowicie, potomków braci lub siostr. Na nim więc wygasł ostatecznie ród Lubarta. Wszelkie podania o jego potomstwie urosły w drugiéj połowie XVI-go w. i odnieść je należy nie do Fedora Lubartowicza, lecz do brata jego stryjecz. Fedora Olgerdowicza.

Przechodząc do synów Olgerda, autor dziwi się, iż p. Stadnicki, wyliczając braci Władysława Jagiełły, poszedł za rodowodem książąt litewskich przy kronice Woskreseńskiéj, ułożonym w XVI wieku. Niema bowiem zasady trzymania się go nawet dla poprawności niby podanych w nim imion Olgerdowiczów. Zestawiwszy te-

dy wszelakie źródła, przedstawia nam p. Wolff szereg 12-stu synów Olgerda w następ. porządku i pierwotném brzmieniu: Z pierwszéj żony jego ks. witebskiéj 5-ciu: Andrzej, Dymitr, Konstanty, Włodzimierz, Fedor; z drugiéj—ks. twerskiéj, 7-miu: Jagajło-Władysław, Skirgajło-Iwan, Koribut-Dymitr, Lingweni-Szymon, Korigajło-Kazimierz, Wigunt-Aleksander, Szwitrigajło-Bolesław. Co do imion samych tego licznego potomstwa Olgerda, uderza nas ta okoliczność, że synowie jego z pierwszéj żony noszą tylko imiona chrześciańskie a synowie drugiéj tylko pogańskie. Fakt ten zastanawiający rozjaśnia autor dosyć przekonawczo. Olgerd, powiada on, jeszcze przy życiu ojca swego otrzymał w udziale Krewo, a następstwie ożeniwszy się z dziedziczką księztwa witebskiego, posiadł Witebsk. Niema wątpliwości, że ochrzcił się on dla żony. W owym czasie Gedymin nie był przeciwnym chrześciaństwu: nie tylko zezwolił na ochrzczenie się synów swych Narimonta, Olgerda, Koriata i Lubarta, ale sam nosił się z zamiarem przyjęcia chrztu, jak tego dowodzi korespondencya jego z papieżem. Pod wpływem jednak rozbójniczych napaści Zakonu, chwilowy prąd ten się zmienił i na Litwie przeciwko chrześciaństwu silna wyrosła opozycya. Wielki książe musiał koniecznie być poganinem i Jewnut przyjął chrzest dopiero po strąceniu swojém z godności w. książęcéj. Olgerd nie będąc ani najstarszym z synów, ani ulubieńcem ojca, nie marzył o objęciu po nim najwyższéj władzy; przesiadywał spokojnie w Witebsku i synów wychowywał w wierze chrześciańskiéj. Imion pogańskich żadnego z nich (5-ciu) nie znamy. Po wyniesieniu jednak Olgerda na w. księstwo, stosunki się zmieniły: polityka wymagała aby w. książe do chrześciaństwa się nie przyznawał. Nie obcym wzmacniającemu się prądowi musiał być i Kiejstut, sam żonaty z poganką i gorliwy stronnik wiary i obyczajów swych przodków. To też synowie Olgerda z Julianny ks. twerskiéj, którą poślubił 1349 r, będąc już w. księciem, nie byli ochrzczeni przy urodzeniu, i po śmierci ojca występują tylko pod swemi pogańskiemi imionami. Autor odrzuca tedy dowodnie bałamutną wersyą, według któréj i wszyscy synowie Julianny byli wychowani przez matkę w obrządku wschodnim i obok trzech średnich, którzy istotnie późniéj przyjęli chrzest grecki, mieli nosić imiona: Jagajło-Jakóba, Korigajło-Wasila, Wigunt-Fedora lub Wasila a Szwitrigajło-Lwa. Teoryi téj hołduje większa część historyków: Długosz i jego naśladowcy, Narbut, Stadnicki i naturalnie źródła ruskie; obszerną rozprawę za nią napisał p. Smirnow (Jagiełło etc. Odesa, 1868). My jednak, powiada p. Wolff, w tych imionach Jakóba, Wasila, Lwa, widzimy z jednéj strony chęć pogodzenia sprzecznych kronikarskich podań, a z drugiéj wyraźną tendencyą politycz-

ną, która nie waha się wyprowadzać Gedymina od Ruryka. Na zakończenie tego trzeba dodać, iż Olgerdowicze starszéj linii wyraźnie różnią się od braci swoich przyrodnich: z bratem swym, królem Władysławem, w rzadkich pozostawali stosunkach, na dworze w Krakowie nie bywali etc.

Najstarszy z synów Olgerda, Andrzej, któremu bałamutnie kronika litewska przydaje imie pogańskie Wingolt (—tyle co Wigunt, imie rzeczywiste innego Olgerdowicza), uważanym jest nie mniéj mylnie przez naszych heraldyków za protoplastę, to kniaziów Łukomskich, to Połubińskich oraz Trubeckich. Sprzeczność zaś ta podań czyni i samo istnienie jakichś dalekich potomków kn. Andrzeja nieprawdopodobném.

Drugim z rzędu synem Olgerda był Dymitr (starszy) kn. brański. P. Stadnicki poplątał życiorysy jego i brata jego Koributa-Dymitra. Syn jego kn. Michał Dymitrowicz ma być, według rodowodu, protoplastą kniaziów Trubeckich. Faktycznie jednak tyle tylko wiemy, że Dymitr Olgerdowicz, który oprócz Brańska władał i Trubczeskiem, pozostawił syna kn. Michała, oraz że przodkiem kn. Trubczeskich był także żyjący jednocześnie kn. Michał. Bardzo więc być może, że Michał Dymitrowicz Olgerdowicz i Michał Trubecki są jedną osobą; jest to przecie tylko prawdopodobieństwo, powiada autor, i do odnalezienia jeszcze innych na to dowodów, fakt ten za zupełnie pewny uważanym być nie może.

Konstanty, trzeci syn Olgerda, mało znany. Źródła późniejsze każą mu władać Czartoryskiem i Czernihowem. Według rodowodu książąt litewskich Wasil, syn Konstantego Olgerdowicza Czartoryskiego, pozostawił synów kniaziów Iwana, Aleksandra i Michała Czartoryskich. Rzeczywiście w połowie XV-go w. występują w dokumentach kniaziowie Iwan, Aleks. i Michał Wasilewicze Czartoryscy; czy jednak ojciec ich, całkiem nieznany kn. Wasil, który musiał rezydować w Czartorysku na Wołyniu i kn. Wasil, syn Konstantego Olgerdowicza, są jedną osobą?—na to brak współczesnych dowodów, uważa to jednak autor za bardzo prawdopodobne. Daléj—występując przeciw negacyi w tym względzie p. Stadnickiego, wskazuje na to, iż kn. Aleksander Wasilewicz, podobnież jak kniaziowie z rodu Gedymina był nie mały czas namiestnikiem (kniaziem) we Pskowie oraz Nowogrodzie Wielkim. Pyta więc: gdy p. Stad. tak słusznie zauważył, iż miasta te zapraszały tych kniaziów z zasady, aby mieć zawsze księcia panującéj w Litwie dynastyi w swych murach—to czemuż by kn. Aleks. Czartoryski nie miał być jednym z tych książąt? Poczém przytacza p. Wolff tyle zakwestyonowany przywilej, jaki miał otrzymać 1442 w Budymiu kn. Michał Wasile-

wicz, towarzyszący królowi Władysławowi Warn. do Węgier, mocą którego król: troskliwy o godność trzech braci swoich Iwana, Aleks. i Michała kniaziów na Czartorysku, tym kniaziom krewnym swoim, pozwala używać pieczęci książęcéj, jakiéj od ojca i dziada używali, to jest zbrojnego jezdca trzymającego w ręku miecz dobyty. I zamyka rzecz uwagą, iż nie mamy najmniejszego powodu podejrzywać autentyczność tego dokumentu; nie zawiera on żadnego błędu, gdy i inne dokumenty, w tymże roku przez Władysł. Warn. w Bud. wystawione, pod względem pisania i świadków, wielkie z powyższym mają podobieństwo. Jak wiadomo, wnuk tego Michała kn. Aleksander Fedorowicz woj. wołyński na sejmie w Lublinie 1569 r. przedstawił królowi wzmiankowany przywiléj Wład. Warn. i na jego zasadzie domagał się dla członków swéj rodziny miejsca dziedzicznego w radzie w. książęcéj czy senacie. Dodać tu jeszcze można, iż nasi starzy heraldycy zawsze wyprowadzali ród książąt Czartoryskich od któregoś z synów Olgerda—jedni od Lubarta inni od Korigajły. Czy odtąd już spór ten o rodowód skończony?—wątpliwa.

Włodzimierz czwarty syn Olgerda, książe kijowski a potém kopylski, był protoplastą rozgałęzionego rodu. Od najstarszego z synów jego Aleksandra (Olelka) poszedł głośny dom Olelkowiczów. Syn tego kn. Semen Olelkowicz władał po ojcu Kijowem, lecz wnuk Wasil Semenowicz dzierżył już tylko Pińsk, który z ręką jego siostry dostał się potém kn. Fedorowi z ruskiego rodu Jarosławiczów. Drugi zaś syn Aleksandra, Michał Olelkowicz, kn. na Słucku i Kopylu dał początek linii książąt Słuckich, ostatnia latorośl których Zofia wniosła 1600 dziedzictwo swe w dom Radziwiłłów. Od drugiego syna Włodzimierza Olgerdow., Iwana poszli kn. Bielscy, którzy przenieśli się do Moskwy—gdzie byli kniaziowie tejże nazwy i z r. Ruryka.

Fedor Olgerdowicz. Pięć kronik ruskich i jedna litewska zaliczają Fedora do synów Olgerda z pierwszéj żony. Miał on sobie wyznaczony udział w ziemi chełmskiéj, który stanowiło Ratno z okręgiem. Historycy i heraldycy z dziwnym uporem starali się—powiada p. Wolff, usunąć możliwość istnienia Fedora Olgerdowicza: p. Stadnickiemu był on tak nie na rękę, iż dwa razy musiał się z opuszczenia jego tłómaczyć, zresztą każe Wiguntowi przyjąć chrzest ruski i imie Fedora; inni zaczepiają go to o Korybuta (Sokołowski) to o Lubarta (Radzimin.). Fedor Lubartowicz (jedyny) umarł bezpotomnie. Fedor Olgerdowicz zaś pozostawił—zdaniem autora—potomstwo, najpewniéj aż trzech synów: Sanguszkę na Ratnie, Romana na Kobryniu i Hurkę na Kraśniczynie (w z. Chełmskiéj). Sanguszko był protoplastą znanego rodu kniaziów na Wołyniu, który prostaczą formę pieszczotliwą imienia jego (jak Fedjuszko, Kostjuszko itp.) przybrał,

zwykłym dość w owe czasy trybem, za nazwę familijną. Sanguszko— tyle co Semen (a może Samuił), tak jak Hurko—tyle co Gurij, znane imie wschod. kalend. Sanguszko Fedorowicz miał między inn. synów: Aleksandra i Michała, od których poszły dalsze trzy gałęzie rodu. Syn Aleksandra Andrzej był twórcą linii na Niesuchojeżach, z któréj pochodził hetman polny kn. Roman a która wygasła w końcu XVI-go w.; wnuk jego Andrzej Michałowicz stał się głową linii Koszerskiéj wygasłéj w poł. XVII-go w., od syna zaś Michała Sanguszkowicza Wasila poszła linia na Kowlu istniejąca po dziś dzień. Jeszcze na początku XVII-go w. mylna tradycya o pochodzeniu kn. Sanguszków od Lubarta nie była ustaloną; występują oni wtedy jeszcze jako Olgerdowicze. Drugi syn Fedora Olgerdowicza Roman dał początek domowi kn. Kobryńskich, który już wygasł na jego wnuku. Z potomków zaś kn. Hurka, trzeciego Fedorowicza, znany tylko Janusz proboszcz wieluński, kanonik warszawski. Cały przecie ten rodowód kn. Kobryńskich i Sanguszków od kn. Fedora na Ratnie pan A. Boniecki (w Bibl. Warsz.) podaje stanowczo w wątpliwość.

Jagajło-Władysław szósty syn Olgerda, a najstarszy z drugiéj żony, przez ojca przeznaczony na następcę na w. ks. Robi przy nim autor słuszną uwagę, iż zostawszy 1386 królem polskim, przez lat sześć panował wspólnie w Polsce i Litwie i dopiero 1392 złożył godność w. książęcą w ręce Witolda, sobie tylko tytuł zwierzchniego księcia Litwy i Rusi zachowując.

Skirgajło-Iwan, siódmy syn Olgerda, pierwszy z drugiéj jego żony, co przyjął chrzest—w obrz. wschod. Uważają go pospolicie historycy za następcę po Jagielle na w. książęcą stolicę, co jest wielkim błędem, przeciw któremu autor w dowodnéj rozprawie występuje najenergiczniéj. Litwa, wskazuje on, w pierwszych latach po wyniesieniu Jagiełły na tron pols. przedstawiała stan bardzo nieokreślony, głównie z przyczyny, nieobecności panującego. W kolei starszeństwa zaraz idąc po Jagielle, był Skirgiełło na Litwie pierwszą osobistością po królu i miał nad młodszymi i przyrodnimi braćmi przewagę moralną, którą powiększało jeszcze posiadanie najznaczniejszego udziału; albowiem oprócz Trok, które otrzymał 1382 po ucieczce Witolda, król nadał mu jeszcze 1387 po Andrzeju Olgerd. Połock etc. To też mniemanie, iż w zastępstwie króla Wład. był w. księciem Litwy, było tak rozpowszechnionem, że już w 1416 w procesie polsko-krzyżackim na soborze konstanc. w wystosowanéj przez Zakon obronie, znajdujemy wzmiankę, że Skirgiełło w nieobecności króla sprawował rządy Litwy; nic więc dziwnego—twierdzi autor daléj, że mogli to powtórzyć, piszący późniéj, Długosz i kronikarz litewski a za nim wszyscy historycy. Że jednak Skirgiełło nie piastował godno-

ści wielkiego księcia lit., przekonywamy się ze współczesnych dokumentów, w których tytułuje się nie „wielkim ks. Litwy“, ale tak jak i inni książęta „wielkim księciem“ lub tylko „księciem litewskim i panem na Trokach i Połocku.“ Tak samo z tytułem „wieliki kniaź“ występują Michał Gedyminowicz, Andrzéj i Dymitr Olgerdowicze, Fedor Lubartowicz i Witold przed 1392 a „książętami litewskimi“ byli *de facto* wszyscy kniaziowie rodu Gedymina. Nadto kroniki poświadczają, że Skirgiełło w Wilnie nie rezydował. Tylko Wilno mogło być miejscem stałego pobytu panującego w. księcia; to téż w nieobecności Jagiełły żaden z jego braci stale w niém nie przemieszkiwał, a dowództwo nad zamkiem sprawowali z ramienia królewskiego starostowie, których król dla pewności wybierał między wypróbowanymi katolikami, jakim był Gasztold, lub polakami, jak Mik. z Moskorzewa i inni. Również mylném jest podanie, jakoby król Wigunta-Aleksandra, brata swego, uczynił zastępcą swoim w Wilnie i na Litwie. Jedném słowem wielkim księciem litewskim do 1392 był tylko Jagiełło.

Korybut-Dymitr, ósmy syn Olgerda. Życiorys jego p. Stadnicki niedostatecznie oddzielił od życiorysu przyrodniego jego brata Dymitra Olgerdowicza brańskiego. Nie Korybut ale Dymitr starszy władał Brańskiem, brał udział 1380 w wojnie w. ks. moskiew. z Tatarami i 1399 zginął nad Worsklą. Udziałem jego był Nowogródek-Siewierski. Trzej jego synowie wymarli bezpotomnie, podanie zatém jakoby od jednego z nich (Fedora) mieli pójść kniaziowie Zbarazcy i ich jednoplemienni nie ma żadnéj podstawy. Kwestyą tę podniósł pierwszy p. Stadnicki; jednak w pesymistycznych — jak nazywa autor — swych poglądach poszedł za daleko, gdy Zbarazkim nawet kniaziostwa nie przyznaje i każe im pochodzić od ziemiańskiéj rodziny Mokosiejów. Poszedł za tém zdaniem Bartoszewicz i inni. Dalsze śledzenie wszakże okazuje, iż potężny ów dom książęcy powstał z kniaziów Nieświckich (ze krwi Ruryka widocznie). Ród kniaziów Nieświckich, gniazdem którego miał być Nieświd pod Łuckiem istniał oddawna. Kn. Juri „Nieświeżski“ (?) poległ 1225 nad Kałką. W latach 1387, 1403 występuje kn. Iwan „Neswiski“. Potém głośny kn. Fedko „Nieswidski“ (może syn Iwana?), którego Długosz miesza z kn. Fedorem Ostrogskim, gorliwy stronnik Swidrygiełły. Ten przechodząc 1434 na stronę królewską, w zapisie na wierność zapewnia sobie potwierdzenie przez króla posiadania ojcowizny jego, to jest włości Zbarażskiéj i in. Widocznie jednak król nie potwierdził mu posiadania Zbaraża na wieczność ale tylko na dożywocie; 1442 r. bowiem, prawdopodobnie po śmierci kn. Fedki, Zbaraż, również do żywota, nadanym został przez w. ks. Kazimierza Deniskowi Moko

siejewiczowi i dopiero w następstwie powrócił znów do potomków kn. Fedki. Już syn jego Wasil niewątpliwie—zdaniem autora—otrzymał Zbaraż. Z synów tego kn. Semen Wasilewicz jeszcze (1461 r.) zwie się „Neswizskim“. Wszakże 1463 trzéj bracia Wasilewicze, kn. Wasil, Semen i Sołtan czynią jako „otczyce i dziedzice Zbarażscy“ między sobą dział, wskutek którego kn. Wasilowi dostał się Zbaraż, Semenowi Kołoden, a Sołtanowi Horodek i inne włości między któremi „dwa Wisznewcy.“ Odtąd o kniaziach Nieświckich na Wołyniu więcéj nie słychać; natomiast występuje głośna rodzina kniaziów Zbarazkich, od którego poszły gałęzie Wiśniowieckich, Poryckich i Woronieckich. Jakiś kn. Wasil Nieswizski miał na początku XVI w. wyjechać z Litwy do Moskwy, gdzie stał się protoplastą dotąd istniejącéj rodziny kn. Nieswickich.

Lingweni-Semen, 9-ty syn Olgerda, ks. na Mścisławiu. Ród jego wygasł na wnuku Iwanie Jurjewiczu Lingweniewiczu, w r. zaś 1499 Mścisław dostał się po kądzieli kn. Michałowi Zasławskiemu, który zarzuciwszy ojczyste nazwisko, przybrał tytuł kniazia Mścisławskiego.

Trzej najmłodsi Olgerdowicze: Korigajło-Kazimierz, Wigunt-Aleksander i Szwitrigajło-Bolesław potomstwa nie zostawili.

Jak z powyższego widzimy, przedstawił nam p. J. Wolff w ostatniéj swéj pracy sporą wcale wiązankę faktów, które uzupełniają i rozwidniają bardziéj, pożądane tyle dla należytego rozumienia wewnętrznych osobliwie stosunków Litwy a zawsze zmącone dosyć wiadomości nasze, dotyczące powikłanych wielce rozgałęzień rodu Gedymina. *A. J.*

— **N. Liubowicz**: 1) **Zimlerowskoje sobranije rukopisiej**, 2) **Otczet o zagranicznoj komandirowkie na lietnieje wakacionnoje wremia 1886 goda.** (*Warszawa. 1886*). — Po zmarłym w r. 1788 w Zurichu Janie Jakubie Simlerze pozostało 458 tomów rękopisów, zawierających obfity materyał do historyi reformacyi wszystkich państw europejskich. Rękopisy owe, będące obecnie własnością biblioteki miejskiej w Zurichu, przejrzał autor „Istorii reformacii w Polszie“ i z rezultatów poszukiwań zdał sprawę w pierwszéj z zatytułowanych broszurek. Dodał na końcu: 1) ciekawy manifest podkomorzego łęczyckiego Stanisława Lasockiego przeciwko biskupowi krakowskiemu Andrzejowi Zebrzydowskiemu z okazyi krzywd różnych, 2) list Marcina Kromera do drukarza bazylejskiego Oporina w sprawie wydania geografii Polski braci Grodzickich, 3) list Krzysztofa Tretzego (Threcius) do Bullingera z października r. 1561. Interesujący doda-

tek drugiéj broszury stanowi odezwa kalwinów wielkopolskich (z 17 lipca r. 1775) do rzeczypospolitéj genewskiéj z prośbą o zasiłek pieniężny i datowane w Leszna 23-go lutego r. 1776 podziękowanie za pomoc. *Sm.*

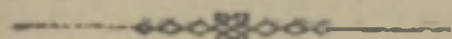
= **Nowe pisma techniczno-gospodarcze.** W końcu roku zeszłego pojawiły się dwa nowe pisma techniczno-gospodarcze. Jedno z nich *Tellus*, półmiesięcznik, zajmujący się sprawami rolnictwa i przemysłu rolnego, wychodzi już stale od 1 października. Drugie— *Przemysłowiec*, „tygodnik popularny, poświęcony sprawom przemysłu, rolnictwa i handlu", wypuścilo przed nowym rokiem jeden numer okazowy i jeden nadliczbowy, będący wyłącznie sprawozdaniem z „wystawy konfekcyi i przyborów mieszkalnych w Muzeum przemysłu i rolnictwa." Że pisma tego rodzaju mogłyby oddać wielką korzyść naszemu społeczeństwu przy dobrém ich prowadzeniu i szerokiém kole czytelników z właściwéj dla nich sfery, zaledwie o tém wzmiankować potrzeba. Czy prenumerata im dopisze, dziś przewidzieć trudno, lecz o *Tellusie* przynajmniéj, którego już 8 numerów leży przed nami, możemy bez wahania powiedziéć, że redakcya jego zrobiła wszystko, co do niéj należało. Spotykamy w nim świetny dobór artykułów z dziedziny rozmaitych gałęzi rolnictwa, oraz cukrownictwa, piwowarstwa, gorzelnictwa i młynarstwa, skreślonych piórem specyalistów, nierzadko znanych i uznanych. Dla zainteresowania czytelników przytoczymy tu kilka ważniejszych, jak np. *Nasze chmielarstwo i handel chmielem* przez Józefa Rzętkowskiego, *Kilka uwag o dyfuzyi* przez inżyniera Rudolfa Farkacza, *Kredyt rolniczy Banku państwa* i *Wekslowy kredyt rolniczy* przez J. Kirszrota-Prawnickiego, *Pszenica szklista i mączysta* przez d-ra A. Sempołowskiego, *O wyborze wysadków burakowych* przez d-ra S. Kudelkę, *Fermentacya alkoholowa przy fabrykacyi spirytusu* i *O działaniu diastazy w zacierach gorzelniczych* przez Wesołowskiego, gorzelnika w Strzałkowie, *Woda dla browarów* i *Jęczmień browarny* przez d-ra Al. Weinberga, *Przychód i rozchód* (w gospodarstwie rolném) przez J. hr. Łubieńskiego, *O możliwém zwiększeniu się współzawodnictwa Indyi z Król. Polskiém i Połud. Zach. prowincyami* przez Fr. G., wreszcie o plantacyach buraków, tytoniu i w. i. t. p. Nadto znajdujemy jeszcze pogadanki ogólniejszéj treści z dziedziny gospodarstwa, prowadzone głównie kompetentném piórem p. F. O. Wilkońskiego. W artykułach wstępnych porusza redakcya ważniejsze kwestye bieżące z zakresu pisma w sposób poważny i ujawniający prawdziwą znajomość rzeczy. Wreszcie dopełniają treści pożytecznego dwutygodnika korespondencye różne, krótkie wiadomości praktyczne, notatki o najnowszych wynalazkach przemysłowych, o próbach różnych nowych maszyn i utensyliów,

sprawozdania o handlu zbożem, mąką, wełną, cukrem i okowitą w kraju i na rynkach zagranicznych. — Obok wyrazów uznania dla staranności i umiejętnego kierownictwa redakcyi winniśmy jednak zanotować i jednę drobną usterkę, a mianowicie pomieszczenie projektu konwersyi długów, obciążających własność ziemską p. H. Wiercieńskiego. Żąda on, ażeby państwo dla uratowania upadających właścicieli ziemskich zabroniło ich wierzycielom, bez względu na wszelkie poprzednie umowy, pobierania wyższéj stopy procentowéj nad 5%. Ktoby z wierzycieli zażądał zwrotu swéj należności byłby obowiązany ją przyjąć w wypuszczonych *ad hoc* przez państwo 3% listach likwidacyjnych *po ich cenie nominalnéj.* Bezpieczeństwo zaś tych listów i procentów od nich opierałoby się *wyłącznie na dochodach* z dóbr zadłużonych, i w razie niewypłacalności dóbr *dochody jedynie* mogłyby być poddane egzekucyi. Naturalnie, że przy tak chwiejném i niepewném zabezpieczeniu, oraz niezwykle nizkiéj u nas stopie procentowéj owych listów, kurs ich rzeczywisty musiałby być bardzo niekorzystny i wierzyciele, żądający spłaty długu, otrzymaliby zaledwie część wypożyczonych przez się kapitałów. Na podobne załatwianie swych zobowiązań nie pozwala w żaden sposób poszanowanie cudzéj własności, nie mówiąc już o tém, że operacya taka zachwiała by bardzo i ograniczyła kredyt właścicieli ziemskich, przez co oddani by zostali wyłącznie na pastwę lichwiarzy, którzy wszelkie prawo obejść potrafią. W projektach, dotykających cudzych interesów, pamiętać zawsze należy, że *hodie mihi*, *cras tibi.*—Wracając teraz jeszcze do ogólnéj rekomendacyi *Tellusa,* polecamy go gorąco odnośnym sferom czytelników naszych. Pismo to powinnoby się znaleść w rękach każdego wykształconego i postępowego rolnika i przemysłowca rolnego. Prenumerata wynosi rocznie w Warszawie rs. 6, na prowincyi rs. 8. Każdy numer razem z ogłoszeniami zawiera 4 arkusze in 4°. — Tygodnik *Przemysłowiec* w numerze okazowym zapowiedział program podobny do *Tellusa.* Widocznie jednak spostrzegł, iż dwu pism o jednym kierunku byłoby dla potrzeb naszego społeczeństwa za wiele, bo w numerze drugim przedstawił swoje zadania i cele inaczéj, mówiąc, iż chce zająć w piśmiennictwie naszém stanowisko zawieszonego przed kilkoma laty *Ekonomisty.* Zamiarowi temu możemy tylko szczerze przyklasnąć, uznając w zupełności potrzebę i pożytek organu, rozpowszechniającego wśród szerszych kół publiczności znajomość zasad ekonomii. Nauka ta, niestety, pomimo całéj swéj doniosłości praktycznéj, jest u nas dotąd w zupełném zaniedbaniu. Oto jak *Przemysłowiec* streszcza jéj zadania: „Wszelka praca na najrozmaitszych polach działalności ludzkiéj przedsiębrana bywa zwykle w widokach korzyści indywidualnéj. Nie zawsze je-

dnak interes jednostki zgadza się z interesem ogólnym danego społeczeństwa, a często nawet praca korzystna dla jednostki, lub dla pewnéj grupy społecznéj, jest wprost szkodliwą dla społeczeństwa jako całości. Przestrzeganie pod tym względem harmonii, a więc wytykanie takich dróg dla pracy, które do obu tych celów zarazem, t. j. do uczynienia zadość interesowi jednostki i interesowi ogólnemu kraju prowadzą, jest zadaniem ekonomii społecznéj. Oprócz tego głównego celu zadaniem jéj jest także wskazywanie łączności i wzajemnego na siebie oddziaływania wszelkich zjawisk, podchodzących pod ogólne nazwy przemysłu, rolnictwa i handlu.“ W objaśnianiu kwestyi szczegółowych przyrzeka *Przemysłowiec* kierować się przedewszystkiém interesem społeczeństwa naszego i wskazówkami nauki, któréj postęp chce stale śledzić i popularyzować. Stając na stanowisku narodowém, zamierza nowy tygodnik we wskazówkach praktycznych dbać szczególniéj o rozwój i postęp gospodarczy żywiołu rdzennego w społeczeństwie naszém, oraz o jego obronę od zalewu niemieckiego i wyzysku ze strony spekulantów żydowskich. Jeżeli redakcya potrafi się w tym względzie kierować spokojną i sprawiedliwą oceną faktów, opartą na wszechstronném rozważeniu naszych stosunków społecznych, nie dając się unieść ślepéj nienawiści plemiennéj, a zwłaszcza zawziętemu antysemityzmowi na wzór i podobieństwo *Roli*, to będzie mogła w tym kierunku oddać krajowi prawdziwą przysługę. O wykonaniu programu nowego tygodnika na podstawie dwóch, a właściwie jednego numeru nic stanowczego powiedzieć nie możemy, dlatego nie wdajemy się w bliższą jego ocenę. Jako pismo popularne obliczony on jest dla szerokiego koła czytelników. Życzymy mu szczerze, ażeby je sobie wyrobić zdołał. Prenumerata *Przemysłowca* wynosi w Warszawie rs. 8, na prowincyi rs. 10 rocznie. *W. Wścieklica.*

= **Żywot kozaków lisowskich**, poemat Józefa Bartłomieja Zimorowicza, ocenił i wydał Korneli Juliusz Heck. Z 3-ma podobiznami. (We Lwowie. 1886, str. 35). — Utwór ten jako druk nie znajduje się obecnie w żadnéj ze znanych bibliotek; nie objęła go też Bibliografia p. Estreichera; p. Heck wydał go z odpisu, który sporządził przed laty Maurycy hr. Dzieduszycki, a który dziś znajduje się między rękopismami Zakładu Ossolińskich we Lwowie. Składa się on najprzód z satyrycznego 10-wiersza „na herb kozacki“ przedstawiony w rycinie, przedstawiającéj wojaka na beczce z kuflem w jednéj a szklanką w drugiéj ręce, w towarzystwie Marsa i Wenery, a następnie ze 168 wierszy uszykowanych w 4 grupy: 1) „ćwiczenie kozackie,“ 2) „prawa kozackie,“ 3) „obyczaje ciurów kozackich,“ 4) „potyczki kozaków lisowskich;“ całość kończy się czterowier-

szem rusińskim w formie rozmowy między *Iwanem* i *Kiwajłą*. Większość utworu ma charakter satyry wymierzonéj przeciwko mniejszym i większym wadom owéj drużyny wojackiéj, wsławionéj dzielnością ale zarazem i drapiestwem: „Gębą pić, czołem zaś bić — to kozacka sprawa; rąbać, strzelać, uciekać gonić—to zabawa“; „Jako magnes żelazem, grosze nimi władną; desperaci okrutni, upiwszy się, kradną:“ takie są według poety znamienne cechy tego wojska i jego ciurów. Jeden tylko ustęp, wspomnieniu samego Lisowskiego poświęcony, trzymany jest w poważnym tonie; czy-to co poeta mówi o działaniu lisowczyków podczas wojny trzydziestoletniéj w Węgrzech i Czechach należy brać poważnie czy ironicznie („Ażeby heretycy ślepi nie błądzili, wyście je od złéj drogi za łeb odwodzili: wyście Lutrom do nieba porobili mosty, obudziwszy pokutę i wskrzesiwszy posty“ itp.), to rozstrzygnąćby można wówczas dopiero, gdybyśmy znali poglądy 23-letniego Zimorowicza. Wydawca pod tym względem nie wyraził się jasno i stanowczo (str. 19), lubo wyróżnia „poważny nastrój“ pierwszéj połowy ustępu poświęconego „potyczkom kozaków lisowskich“ jako nie licujący „z treścią i tendencyą całości.“ W każdym razie dobrze ocenia tę całość pod względem formalnym (str. 21, 22), ale niewłaściwie łączy nieudatność rymowania z brakiem plastyczności i obrazowości jakoby rzeczy zawsze z sobą w parze chodzące, bo to są właściwości odrębne i mogące istniéć niezależnie od siebie. Za mniéj trafną uwagę poczytujemy podniesienie zalety poematu Zimorowicza, iż w nim makaronizmy tylko sporadycznie się napotykają, gdyż to powiedziéć można o wszystkich poematach wieku XVII. Objaśnienia dodane do poematu przez wydawcę są wogóle dobre; możnaby tylko zauważyć, że wyraz *derewnia* (na str. 34) nie oznacza budynku drewnianego, ale wieś, a wyrażenie: „rzadki kozak stary; jeszcze rzadszy, któryby zmarszy przyległ mary“ prędzéj znaczy, iż rzadko kozak na marach spoczywa, bo zazwyczaj ginie w bitwie, a tam o kładzeniu na mary nie myślą, niż, jak to autor wyjaśnia: „kozak nie ma nigdy takiéj tuszy, *aby sobą całe mary wypełnił*.“ Wstęp, którym autor poprzedził wydanie, o utworzeniu się i charakterze Lisowczyków oraz o tych, co ich czyny opisywali, bardzo dobrze przygotować może do czytania utworu Zimorowicza.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

„Potop“ chwili obecnéj.—Katon polski.—Początek ratunku.—Czytelnie ludowe.—Wyznanie wiary studentów krakowskich —Pisma o najwyższym tonie i ich gromy.—Wspomnienie z czasów szkolnych.—Obowiązki młodzieży uniwersyteckiéj, jej ideały i zrozumienie swego stanowiska.—Stosunek społeczeństwa i prasy do studentów.—Egoizm starszych i doktryny młodych.—Wykolejeni.—Powikłane drogi wychowania.—Pan Puciata jako oskarżony i oskarżyciel.—Insynuacya bez dowodów.—Towarzystwo Biblioteki Polskiéj w Jassach.

Są wypadki, wzbudzające we wszystkich jednakowe uczucia, a tak bolesne, że uskarżać się na nie głośno było by tém samém, co rozdrapywać ranę bez celu, zadawać sobie męczarnię nie do zniesienia, dręczyć się widmem przepaści, *mogącéj* pochłonąć nas i drogie nam istoty. Do takich wypadków należy sprzedanie przez p. M. Łyskowskiego dóbr Radłowa, będących własnością Banku Rolniczo-przemysłowego „Kwilecki, Potocki i s-ka.“ Sądząc z głosów zgnębienia i zniechęcenia, odzywających się tu i owdzie, wypadek wyżéj wspomniany wywarł wrażenie, dające się streścić w słowach: „kiedy do tego doszło, to nie ma co robić, kiedy tak postąpił człowiek, co się zaliczał do inicyatorów ratunku, to niema już na kogo liczyć.“ Po Ujściu i Kiejdanach można było z większą słusznością toż samo powiedzieć, a jednak stało się inaczéj. W chwili ciężkiego zgnębienia jesteśmy usposobieni do przesady, do nadawania rzeczom zbyt tragicznego cienia. Faktem pewnym jest to tylko, że p. Łyskowski nie pozostaje w żadnych stosunkach z nową instytucyą, ani instytucya z p. Łyskowskim. Jeżeli zaś pokładano dawniéj jakie nadzieje na dyrektorze banku „Kwilecki i s-ka,“ to stanowi to jeszcze jeden dowód staréj jak świat prawdy, że pozorami można wywieść ludzi w pole, i że pięknym słowom często nadajemy wartość cnoty. Katon potrafił tak szczelnie okryć się togą prawości, że osłonił nią nawet zyski, jakie ciągnął z lu-

panaru niewolnic swoich. Pan Łyskowski należał w Poznańskiém do najczęściéj i najdonośniéj mówiących o obowiązkach, o wytrwaniu na stanowisku itd. i, wzorem Katona, dla uchybień innych był surowy, nieubłagany. Dziś najlepiéj udrapowana toga nie zdoła zakryć plamy, jaką się okrył. Że zaś nie jest on zjawiskiem normalném nie stanowił typu, o tém świadczy niepokój i oburzenie opinii w Poznańskiém.

Dnia 17 grudnia r. z. zaciągnięte zostało w Poznaniu do rejestru firmowego nowe towarzystwo akcyjne pod nazwą „Banku Ziemskiego.“ Aby módz uczynić zadość wymaganiom pruskiéj procedury handlowéj, która żąda przedstawienia całéj sumy przy zapisie, początkowy kapitał oznaczono jedynie na 50000 marek, z tém zastrzeżeniem, że może być podniesiony w przyszłości do 10 milionów. Dnia 25 stycznia r. b. odbyło się pierwsze walne zgromadzenie, które ostatecznie urządziło bank i podniosło kapitał do 3 milionów tymczasem. Akcye nowéj instytucyi, wydawane na okaziciela, wystawione są po 1000 marek, na niższą sumę prawo nie dozwala. Uczestnik każdy odpowiada za interes i czynności banku tylko kapitałem, wpłaconym za nabyte przez siebie akcye, po za tém wolny jest od wszelkiéj odpowiedzialności. Akcyonaryusz ma prawo uczestniczenia na zebraniach walnych; każda akcya daje prawo do jednego głosu, lecz właściciel większéj ilości akcyj nad 20 nie może mieć ilości głosów, przenoszącéj tę liczbę. Zyski banku po odtrąceniu kosztów administracyi i odłożeniu pewnéj sumy na kapitał rezerwowy, dzielone będą między uczestników. Zarząd składa się z dyrektora i jego zastępcy, zostających pod kontrolą rady nadzorczéj z pięciu osób, wybieranych corocznie na walném zgromadzeniu. Zadaniem Banku Ziemskiego jest: 1) pośredniczenie w zaciąganiu pożyczek hypotecznych; 2) regulowania hypotek; 3) pośredniczenie w nabywajniu, wydzierżawianiu i parcelowaniu ziemi.

Niepodobna nam tu notować wszystkich pomysłów zagłady, stosowanych w Prusach, jak również wszystkich smutnych faktów, za które odpowiedzialni jesteśmy sami. Padają one na głowy nasze już nie jak deszcz, lub grad, ale jak potoki z rynny. Smutną tę kronikę dzienniki ledwie prowadzić wydążą. Gdy nawalna ulewa napadnie nas w drodze, a nie możemy się ani schronić ani osłonić przed jéj gwałtownością, najlepiéj jest wtedy znieczulić się siłą woli, zobojętnieć na działanie napastniczego żywiołu, nie zwracać uwagi, czy siła jego wzrasta, czy maleje, i iść daléj do celu, przyśpieszywszy tylko kroku. Chwilami zdaje się, że takie zachowanie się wobec powodzi klęsk publicznych sprawiło by ulgę. Byle tylko z oczu nie stracić jasnego celu, byle nie przestawać dążyć do niego.

Zwracamy uwagę czytelników na list p. Stanisława Bełzy, drukowany w 50 nrze „Kraju“ z r. z., a dotyczący stanu rzeczy w Poznańskiém. Autor nie pierwszy raz zabiera głos w téj sprawie i jak zawsze tak i obecnie przekonywa, że prawa wyjątkowe pozornie są tylko skierowane przeciwko garstce bezsilnéj dziś szlachty; w rzeczywistości ks. Bismarkowi chodzi o zniszczenie masy twardego w oporze chłopstwa polskiego. Jako dowód p. B. przytacza fakt, że wszystkie środki, z równą surowością jak w Poznaniu, stosowane są w Warmii, nad Notecią i na Szląsku Górnym, gdzie szlachty polskiéj wcale nie ma. Zdaniem więc autora, taka tylko działalność ratunkowa będzie brzemienną w poważne następstwa, taka tylko rozchwieje złe zamysły, która przedewszystkiém w rachubę weźmie najwłaściwszy i najpodatniejszy do skutecznéj obrony pierwiastek—lud. Parcelacya ziemi i osadzanie na niéj włościan polskich z Górnego Szląska, zakładanie kółek włościańskich, urządzanie jak najczęstsze chłopskich wystaw rolniczych, tworzenie banków i kas pożyczkowych ludowych—oto środki, które powinny być wzięte pod szczególną całego społeczeństwa naszego rozwagę. Ponieważ ani rozsądne słowa o środkach ratunku, ani taki punkt widzenia, jak autora listu do „Kraju“, nie są wcale czémś nadzwyczajném w prasie naszéj, nie powtarzalibyśmy więc myśli p. St. Bełzy, gdyby był on jedynie mówiącym literatem. W pracy przeciw-germanizacyjnéj bierze p. B. czynny udział i to oddawna. Zajmuje się zaś szczególniéj zakładaniem i rozwojem czytelni ludowych; niegdyś był współpracownikiem na tém polu ś. p. Karola Miarki. Przed kilku zaledwie laty założoną została w Poznańskiém taka czytelnia—bezpłatna......

Szczęśliwy wypadek nadarzył mi sposobność poruszenia, nie schodząc z gruntu spraw bieżących, kwestyi, która od dawnych już czasów leży mi na sercu. Chcę mówić o usposobieniu umysłów i uczuć, a przez to o kierunku pracy i działalności, jak również o pojmowaniu swego stanowiska wśród młodzieży uniwersyteckiéj.

W Krakowie prezes czytelni akademickiéj p. Płochocki wypowiedział, jakie według pojęć jego i kolegów, powinno być stanowisko i dążność młodzieńca, przygotowującego się do służenia krajowi działalnością ogólnie obywatelską i pracą w obranym zawodzie. Kwintesencya tego przemówienia była taka: student zapominać nie powinien, że jest synem tego a nie innego kawałka ziemi, że jest członkiem ludzkości, ale najpierwszym obowiązkiem jego jest *uczyć się*; uczyć się tych przedmiotów, które wykładają na odpowiednim wydziale.

Można było być z góry pewnym, że część przynajmniéj prasy galicyjskiéj rozedrze z tego powodu szaty, rzucając słowa klątwy na p. Płochockiego i jego wyborców. Tak się téż stało, grom padł ze szpalt „Kurjera Lwowskiego." Nie znam bliżéj tego pisma, ale słowa jego, użyte w tym wypadku, przypomniały mi setki artykułów, jakie czytałem w „Strażnicy", „Sztandarze", „Przyszłości", „Równości", „Przedświcie", „Kurjerze Paryskim", „Gminie" i t. d. — słowem we wszystkich tych gazetkach, które podobne są do człowieka, krzyczącego w uniesieniu, albo do śpiewaka, ćwiczącego się w braniu najwyższych nut: o sens słów nie chodzi, byle ton był wyciągnięty do najdalszéj granicy. Pisma takie mają pewną, ograniczoną ilość nie pojęć prostych, lecz ich gotowych kombinacyi, ujętych w stanowcze frazesy, często z wykrzyknikami lub z kropkami na końcu. Gdy jaka kwestya zaliczoną zostanie do jednéj z przyjętych kategoryi, to pismo wypowie o niéj wszystkie przepisane na ten wypadek maksymy. Kto dużo czytał takich rzeczy, ten z góry na pamięć wyrecytować może, co dane pismo wygłosi o jakimś wypadku, może pomylić się tylko w porządku zdań. Frazesy, używane w różnych gazetach tego rodzaju, nie zawsze naturalnie są jednakowe i zależą od barwy stronnictwa. Pochodzenie ich téż różne: czasem jest-to przebrzmiałe hasło jakiéj spóźnionéj partyi politycznéj, jako takie mogło ono być niegdyś w jednym wypadku dobrze użyte, ale zaraz po wydostaniu się na świat szeroki zwietrzało; czasami znowu paradoks jakiego domorosłego, swojskiego, lub cudzoziemskiego filozofa, śmiały, jak nie obciążony nauką umysł; nareszcie i najczęściéj, takim forsownie, a jednostajnie najwyższym tonem wykrzykiwane bywają pojęcia, zaczerpnięte bądź z marzeń utopijnych, bądź z poezyi. Gdy się od uczniów szkoły jakiejkolwiek wymaga, aby łamali, czego rozum nie złamie, lub żeby ziemskie kolisko wpychali na nowe tory, to się prostą drogą dąży do tego, aby kraj rok rocznie zamiast rozumnych pracowników, otrzymywał z uniwersytetu pewną ilość ludzi nic *gruntownie* nieumiejących, t. j. takich, którzy ani naukowego poziomu społeczeństwa nie podniosą, ani do spełnienia poruczonych obowiązków uzdolnieni nie są, ani na żadną szerszą obywatelską działalność poważnie patrzéć się nic nauczą. „Kurjer Lwowski" domaga się widocznie od studentów bohaterstwa, działalności politycznéj i przodowania społeczeństwu, gdyż rozsądne przemówienie p. P. nazwał *wstrętném*, *serwilistyczném*, *konserwatywném*. Czytelnia akademicka odpowiedziała na to odezwą z hasłem *„Audiatur et altera pars."* Zaimponował mi jeden ustęp odezwy. Zdarzało mi się słyszéć, jak jeden postępowy pisarz drugiemu perswadował: nie rób lub nie mów tego, bo cię okrzyczą za *konserwatystę*. Widocznie możność

spotkania się z tym epitetem przestrasza nawet ludzi poważnych. Tu młodzież, dowodząca swojej postępowéj działalności, powiada spokojnie: „Nie zarzut konserwatyzmu zrzucić z siebie chcemy, gdyż i konserwatysta, jeżeli pracuje uczciwie i w dobréj myśli, pracuje dla kraju.“ Brawo! W odezwie znajdujemy jeszcze taki ustęp: „Za przykład, za wzór, którego się trzymamy, wzięliśmy program, głoszony przez warszawskie „Ateneum“ i petersburski „Kraj“. Wybór ten cieszy mię dlatego, że obojętność względem czczonych gdzieindziéj *stanowczych* organów uchroni akademików krakowskich od straty drogiego czasu i pozwoli należycie skorzystać z lat spędzonych w szkole. „Kraj“ jest jedyném w granicach państwa rosyjskiego pismem polskiém, który decydował się powiedzićć studentom słowa prawdy, gdy się brali do nie swoich rzeczy.

Skłonność uważania się za siłę odpowiednią do pchania społeczeństwa na nowe tory, rzadko zapewne gdzie była tak silnie rozwiniętą wśród studentów, jak w Petersburgu za czasów mego tam pobytu w jednym z zakładów naukowych. Ile téż razy, rozmawiając dziś z kolegami, ubolewać musimy nad prądem, skutkiem którego straciliśmy tyle dni i miesięcy, lat nawet na próżnych szamotaniach się w walce wewnętrzéj bez treści, w gorączce, trawiącéj siły. Skutkiem najfałszywszych pojęć o zadaniu swojém i o stanowisku, robiliśmy wszystko, aby wyszastać uczucie na marne, choć szlachetne u źródła fantazye, wykoślawić umysły, a następnie całe swoje życie. Nie większość wprawdzie, ale część jakościowo lepsza nie rozumiała lub nie pamiętała, że jest w szkole, że wstąpiła do niéj po to *jedynie*, aby się wykształcić w zawodzie,— ba, pamiętający o tém byli nieraz przedmiotem pogardy i szyderstwa; natomiast żyło się niby w klubie politycznym, wśród walki partyi, mówiło się i działało z zacięciem i pewnością doświadczonych mężów stanu, powołanych i nieomylnych „akuszerów społecznych.“ Umysłowo nabyło się wtedy pewną ilość nazwisk uczonych i demagogów, zdolność mówienia, chwalenia i potępiania książek i autorów, których się nie czytało nigdy, a o których słyszało się wśród sporów od kolegów, również ustnie przez kogoś poinformowanych. O poczuciu i zrozumieniu potrzeby gruntowności w czémkolwiek mowy nie było. Dzisiaj widzićć już możemy owoce takiego biegu rzeczy. Zajęty w domu socyologią studyował w szkole medycynę lub nauki techniczne, matematyk oddawał się ekonomii politycznéj, prawnik — ludoznawstwa i t. d.... dzięki temu społeczeństwo zyskiwało ciągle byłych studentów bez patentu, lub upatentowanych partaczy, partaczy zarówno w medycynie, jak i w socyologii. Ci, którzy zdolni byli do wznioślejszego polotu, wyszafowali swe uczucia w epoce życia, kiedy się jeszcze nie umie racyonalnie używać sił.

Ponoć i dzisiaj choroba ta nie wszędzie i nie zupełnie grasować przestała. Przeczytanie jakiéjś broszury, zasłyszenie o nieznanéj dotąd idei zapala łatwo młodą głowę; wydaje jéj się wtedy, że jest w posiadaniu prawdy, któréj świat cały albo nie zna, albo poznać nie chce bądź przez głupotę, bądź przez egoizm kastowy, lub jaki inny. Dzięki temu, dobre mniemanie o sobie wzrasta niepomiernie; na wszystko, zewnątrz siebie i zewnątrz braci swych w prawdzie, spogląda się z wysokości niedoścignionéj. (Dowody takiego traktowania nawet uczonych o rozgłośnych nazwiskach widziéć możemy w artykułach pewnego pisma). Młodość zaczyna być uważaną nie za wiek, lecz za zaletę. Gdyby się patrzyło na pozę młodzieńca w takiém stadyum z zewnątrz czysto, nie współczując ani jemu, ani społeczeństwu, na posługi którego się wychowuje, miało by się zabawny widok; przypomniał by się nam Wojtuś z bajki, który głosi, że dosiada rumaka, a obejmuje nogami patyk, lub dziewczynka, udająca się z powagą dorosłéj damy na wizytę do drugiego pokoju. Ale po za śmieszną stroną jest inna, bardzo przykra; przez cały czas trwania choroby, dotknięty nią młodzieniec staje się niedostępnym dla wszelkich rozsądnych wpływów, marnuje czas. Społeczeństwu rzadko kiedy tylko wybryki studenckie przynoszą bezpośrednią szkodę, ale złém jest, że przez nią obniża się wartość przyszłych obywateli.

Z tego, co mówię, nie wynika wcale, aby idealem był mi zaciekły specyalista, niechcący nic wiedziéć po za sposobami rozwiązywania równań różniczkowych, lub nowemi odkryciami w embryologii. Owszem, pragnę gorąco, aby w młodzieży tętniły żywo uczucia, łączące jednostki z krajem i ludzkością. Niech studenci w marzeniach, a nawet w rozmowach usiłują łamać, czego rozum nie złamie, bratają niebo z ziemią; niech mają przekonania i uważają je za słuszne, bo kto tylko interesuje się tém, co się naokoło niego dzieje, ten musi wytwarzać sobie pojęcia jakieś; niech nie pozwolą, by ktokolwiek bezkarnie poniżał ich godność osobistą,—ale niech to wszystko koronuje zrozumienie swego stanowiska. Uczeń najwyższéj nawet szkoły rozumiéć powinien, że nie stoi na stanowisku żadnego sternika i że *obowiązkiem* jego jest ze spędzonego w uniwersytecie czasu wyciągnąć jak największą korzyść. Jeźli marnéj trawy wyhodować, lichego klombu z kwiatami doskonalić nie potrafi nikt, kto parę lat nie studyował i nie praktykował w tym zawodzie, — to tém bardziéj społeczeństwa nie zbawi ani jeden, ani stu entuzyastów, posiadających tymczasem prócz entuzyazmu bardzo niewiele. Aby pojąć i zrozumiéć stosunki ludzkie, trzeba wiele badać, wiele doświadczyć, wiele się nauczyć, a nauki nie daje Duch święty, tylko mozolna praca. Pożyteczna dla społeczeństwa działalność w szerszém

znaczeniu słowa wymaga nietylko wiedzy i talentu, ale także hartu, mocnego charakteru. Kto się jéj chce oddać, ten powinien dobrze poznać siebie i niejedną chwilę spędzić na badaniu duszy własnéj, jak Jezus na pustyni. Życie długie, dosyć czasu zostanie nawet po 30-tym roku do działalności obywatelskiéj, gdy umysł dojrzeje i sił się potrafi użyć lepiéj i właściwiéj.

Każdy, kto porównywał naszą młodzież uniwersytecką z zagraniczną, w pierwszéj chwili był przekonany o stanowczéj niższości drugiéj. Tamci to dzieciaki, gotowe na korytarzu szkoły bawić się w chowanego, nasi—statyści sami. Tymczasem, gdy na zachodzie nie brak w dojrzałym wieku ani serc gorących, ani umysłów wzniosłych, ani pracy olbrzymiéj, z naszych obiecujących młodzieńców wyrasta coś tak powszedniego, że w każdéj gałęzi życia czuje się nieustannie brak ludzi. Naturalnie różne przyczyny wywołują takie zjawisko, ale bez kwestyi jest tam i ta, że rozwój człowieka idzie bardziéj prawidłowo. Dziecko jest dzieckiem, młodzieniec młodzieńcem,—uczy się, słucha rozumu i daje mu się powodować; tam do życia przystępują ludzie z nabytą wiedzą, u nas często z rozczarowaniem i przesytem.

Zwykle studentów na właściwéj drodze trzyma wpływ profesorów, którzy pracy swojéj nie ograniczają na wygłoszeniu prelekcyi w audytoryum. Gdy zaś to miejsca mieć nie może, wpływ taki wywierać powinna cała inteligencya danego społeczeństwa. Jest-to jednak bardzo trudne. Młody umysł nie zawsze pojąć zdoła głębszą prawdę, a łatwo bardzo da się pociągnąć bezwzględnością paradoksu; dowodem tego jest uznanie, jakiém długo cieszyły się pisma Pisarewa, którego płytkości nie osłaniają nawet żadne pozory. Ażeby więc do młodzieży trafić mógł rozsądek, trzeba wprzód zdobyć zaufanie, zaimponować wiedzą. Profesorowi to się udać może łatwo, każdemu innemu śmiertelnikowi w wyjątkowych chyba wypadkach. Tém nie mniéj za panujący stan rzeczy odpowiedzialność w znacznéj części spada na ogół. Ci, którzy sami doszli do smutnego przeświadczenia o straconym czasie w uniwersytecie, nic robią nic, aby od tegoż samego uchronić młodszych kolegów. Wśród społeczeństwa i prasy istnieją co do studentów stare przesądy, które utrwalają wśród młodzieży chorobę na wielkość i złą jéj przysługę oddają.

Dawnemi czasy uczniowie szkół wyższych w Paryżu, w Wiedniu i gdzieindziéj przyjęli udział w wypadkach, które uzyskały późniéj sympatyą powszechną; od tego czasu uważani są za rodzaj legionu, gotowego zawsze do walki za narody. Stare to dzieje; podczas ostatniéj wojny francuskiéj starano się, aby kursy w zakładach naukowych nie przerwały się, szkoła politechniczna, mająca naj-

świetniejsze tradycye z dni walki, przeniesioną została z Paryża do Bordeaux i Littré tłómaczył zebranym słuchaczom, jak różne względem ojczyzny są obowiązki dla ludzi różnego wieku.

Im bardziéj na wschód, tém jaśniejsza aureola otacza młodzież szkolną; Turgieniew, który nie wahał się w powieściach smagać naiwność, zarozumiałość i inne wady *nowych ludzi*, w „Senilii“ ubolewa, że młode serca odwróciły się od niego, że nie ma wśród nich uznania. Zabawne żądanie i dziwna skarga: uznanie łatwo zdobyć sobie, schlebiając słabostkom i próżności; gdy się chłoszcze wybryki, trudno wymagać uznania od schłostanych. Nasza prasa jest także skłonna do wyśpiewywania różnych czułości w kierunku serc studenckich. Nawet w „Roli“ w odpowiedziach od redakcyi można znaleść taką mniéj więcéj deklamacyę: Drogiem nam jest szczególnie uznanie wolnych od egoizmu czystych serc młodzieży itd. Ludzie, którzy łatwo zrozumieją, że student nie może być skarbnicą mądrości, gotowi są przysiądz, że w téj sferze żyją same uczucia najwybrańsze. Jestto złudzenie. Ludzie nieskrępowani interesami osobistemi mogą miéć uczucia czystsze, to prawda, ale pamiętać należy, że w tym wypadku głos serca nie wydostanie się na zewnątrz, bo zawsze prawie myśli i mówi jakaś doktryna, nieubłagana, jednostronna, zapamiętała doktryna. Wiek młodzieńczy, gdy się umysł zacieknie w pogoni za widmami, jest nietolerancyjny, okrutny. Gdy się takich umysłów zbierze dużo, to panuje nad nimi najkrańcowszy, najbezwzględniejszy z nich, który znowu podbijają oklaski i uznanie. Wiemy, że w tym wieku nie rozumie się odmiennych pobudek, lub innego zdania. Każdy chłodniejszy głos — to syczenie zdrady; każdy powściągliwszy temperament—to idyotyzm, lub egoizm.

W stosunku prasy, a przynajmniéj pewnéj jéj części do młodzieży szkolnéj, jest jeszcze gorsza strona. Studenci stanowią bardzo liczny kontyngens prenumeratorów i nabywców pewnych wydawnictw i są głównymi ich protektorami wśród okolicy, z któréj pochodzą. Toż samo pismo, które zarzuca służalczość „Słowu“ lub „Niwie“ wobec szlachty, mocno się liczy ze zdaniem, gustem i usposobieniem wychowańców zakładów wyższych, i stale dba o ich względy. W ten sposób na opinią publiczną wywiera wpływ sfera, która go wcale miéć niepowinna.

Słowa moje wzięte będą naturalnie przez młodzież za objaw wstecznictwa, uczuć „burżuazyjnych,“ lub czegoś jeszcze gorszego. Niestety, doświadczenie starszych mało jest pouczające dla młodszych. Pochodzi to może stąd, że dla wykroczeń wiosny życia czujemy pewną słabość, stąd niedosyć energicznie występujemy przeciw nim u innych. Pewien pisarz, cieszący się za moich czasów

wśród ław uniwersyteckich wielką powagą, w powieści „Prolog do Prologu“ mówi: „kto z nas nie żałował tego, co zrobił w 24 roku życia.“ Sądzimy, że nikt nie żałował, jeżeli się w tym czasie nauczył chemii, lub historyi, żal, o którym mowa, stosować się tylko może do jakiejś roboty na zewnątrz; a jednak pisarz ten nigdy myśli swéj nie rozwinął, nie ostrzegł zwolenników i wpływ jego wciąż sprawiać może, że ludzie żałują lat straconych. I tu i za granicą wśród emigracyi widziałem tylu ludzi pełnych nadziei niegdyś, którym zbyt wczesne rzucenie się w wir działalności publicznéj wyjałowiło umysł, stargało siły i tak daleko odgoniło od prawidłowéj drogi, że na nią wrócić już nie mogą. Niezahartowane charaktery gięły się, pękały wśród demoralizujących wpływów. Niegdyś na nich skupiały się nadzieje starszych i rówieśników,—dziś stali się roztrajkotanemi katarynkami, które się tłuką po świecie, nie obchodząc nikogo, sprzykrzywszy się sami sobie. Dla tego téż nie mogę obojętnie patrzéć, na te stosunki i nie przestaje mnie gnębić myśl, że stan podobny trwa daléj, i że w ten sposób społeczeństwo wciąż marnieje.

Jak niewłaściwie u nas plączą się nieraz drogi wychowania, przez jakie ciernie i głogi przechodzić muszą zdolności zanim się wydostaną na właściwe pole—jeżeli się wydostaną—tego przykładów nie brak.

Od niejakiego czasu we wzmiankach prasy, w ogłoszeniach „Kuryera“ i nareszcie na okładkach broszury oddzielnéj spotkać można było nazwisko pana *Ryszarda Leona Puciaty*, którego bieg życia wymownym jest do pewnego powyższego zjawiska dowodem.

W roku 1878 skończył on wydział mechaniczny Technologicznego Instytutu w Petersburgu; potém jakiś czas zajmował się drobnemi i dorywczemi pracami technicznemi, następnie został nauczycielem, inspektorem, a w końcu i właścicielem szkoły ś. p. Ludwika Łopuskiego. Na co panu P. zdało się skończenie wydziału mechanicznego w pracy pedagogicznéj, albo na co się wziął do niéj po pięcioletniém kierowaniu się na technika—trudno zgadnąć. Jakie studya poprzedziły objęcie tak ważnego stanowiska, jak wychowywanie setek dzieci—niewiadomo. Gdy zakładano stacyę meteorologiczną w Warszawie, kierownictwo jéj poruczano byłemu profesorowi Szkoły Głównéj, człowiekowi wyjątkowo głębokiéj wiedzy, znającemu się na rzeczy na wylot. Zrozumiéć, jak urządzić należy stacyą meteorologiczną, daleko łatwiéj można z książki, niż nauczyć się prowadzić szkołę z jedno, czy dwuletniéj praktyki. A jednak uczony fizyk, obejmując swoje stanowisko, widział potrzebę przyjrzenia się podobnym urządzeniom za granicą, pojechał, zwiedzał, badał; pan P. zaś spokojnie od pewnego dnia zaczął rządzić, uczyć, karać. Jak się

tam działo, opisze może kiedyś jaki współpracownik pana P. Nareszcie pan P. szkołę zamknął z własnéj woli, a potém został kierownikiem zakładu w Studzieńcu. I znowu odrazu uznał się za zupełnie odpowiedniego do pracy w nowym zawodzie, do poprawiania małoletnich przestępców. Po niejakim, bardzo niedługim czasie pan Ryszard Puciata opuścił instytucyę studzieniecką, tą razą nie z własnéj woli. Wynikły nieporozumienia, które ściągnęły na zarząd Osad Rolnych nieprzyjemny proces, zakończony przegraną p. Puciaty. Gdy kto jest zadumnym, aby się ugiąć do usprawiedliwienia nawet przed społeczeństwem, ten... milczy. Pan Puciata nie zrobił ani jednego, ani drugiego, natomiast wydał na gwiazdkę broszurę pod tytułem: „*Co nam daje prasa Warszawska czyli podarek dla naszych wielkich napisał w obronie maluczkich Ryszard Puciata.*“ Po tytule znajduje się jeszcze bardziéj pretensyonalny wstęp, czy dedykacya, a późniéj napaść na prasę, która jakoby nie spełnia swoich obowiązków. O ile zrozumiéć się da, p. P. chciał powiedziéć, że prasa z początku rozzuchwala, a późniéj nie ściga zarządców instytucyj publicznych, którzy nadużywają swego stanowiska. Dzieją się okropne rzeczy, których się publiczność nawet nie domyśla; wszelkie sprawozdania, roczniki — to blaga, prasa często wie, że jest złe i milczy. Czy można nie pomyśléć, że tu mowa o Osadach Rolnych? Hola, panie Puciata, albo pan coś wiesz, posiadasz dowody i w takim razie *masz obowiązek* uwiadomić ogół szczegółowo o nadużyciach, albo nie odciągaj uwagi ogółu od własnych wykroczeń i nie mścij się na prasie i Zarządzie za swoje winy. Sumienie społeczne takiemi insynuacyami musi zostać zaniepokojone, w instytucyi za grosz, zebrany z trudem, dzieją się niby nadużycia, a niewiadomo jakie; trudno żądać od zarządu tłómaczenia, kiedy ten wiedziéć nie może o co go oskarżają. Jeden p. Puciata utrzymuje, że wie i mówić nie chce. Pan Puciata zgłaszał się do różnych pism z aktem oskarżenia, ale nieskładał dowodów, i następnie pomstował na przewrotność prasy. Przed 3 miesiącami słyszałem z własnych ust p. P. te utyskiwania, które brzmiały, iż w Warszawie nie może znaleść śmiałego literata, któryby ujął się za jego krzywdą. Na pytanie o dowody odpowiedział, że takowe posiada i że są aż nadto wystarczające. Prosiłem go o nie, upewiając, że znajdę mu i literata śmiałego i pismo dosyć odważne do wydrukowania skarg. P. P. wziął mój adres i nie pokazał się. Czy zamiast wydrukowania niedorzecznéj broszury, nie lepiéj nie właściwiéj było opublikować dowody? Jeżeli prasa taka niegodziwa, że milczy wobec występku, to dlaczego ją p. Puciata naśladuje? A wiesz, panie dyrektorze, jak się nazywają ludzie, co oskarżają przed opinią niesłusznie? Broszurami takiemi się pan nie wykręcisz.

Towarzystwo Biblioteki Polskiéj w Jassach w Rumunii nigdy nienależało do najruchliwszych kolonij naszych na obczyznie, ale było może najwytrwalszém. Zdaje się, wielka część zasługi przypada na pracę nieustanną i dbałość dr. Łukaszewskiego, znanego autora dzieł i artykułów polityczno-historycznych, człowieka bardzo czynnego. Ktokolwiek choć przez krótki czas brał udział jakiś w życiu Polaków na obczyznie, ten słyszéć musiał o dr. Łukaszewskim, który nie ogranicza się na pracy na miejscu, lecz utrzymuje stosunki z wieloma wybitnemi osobistościami, zachęca do łączności, podsyca życie. W tym roku, jak lat dawniejszych, wydał dr. Ł. sprawozdanie Towarzystwa. Prócz duplikatów, książek dla dzieci i ludowych zawiera obecnie biblioteka w 2678 numerach 4248 tomów. W 1886 r. powiększyła się ona o 158 dzieł, z których 83 darowanych, 75 kupionych; wydawnictw peryodycznych nadsyłano bądź darmo, bądź za zniżoną cenę 25. Członków towarzystwo liczyło 45. Opiekunów jest obecnie jedenastu, są to najszanowniejsze osoby z kraju i z zagranicy. Fundusz żelazny wynosi 7444 franki, obrót roczny 1043 fr. Towarzystwo pomagało biednym rodakom i grosz swój słało na potrzeby kraju.

Ludwik Straszewicz.

NEKROLOGIA.

† **Teofil Borzęcki,** najstarszy niewątpliwie z pedagogów naszych, był najprzód nauczycielem w t. z. „akademii szczebrzeszyńskiéj“, a po jéj zamknięciu kolejno nauczał w Łukowie, Kielcach i Radomiu. W r. 1862 wydał książkę p. n. „Treść logiki popularnéj, poprzedzona krótkim wykładem psychologii“ (Warszawa, w 8-ce, str. IV i 247), zaradzając potrzebie, wynikłéj z zaprowadzenia w Warszawie Szkoły przygotowawczéj. W 86-tym roku życia zmarł 26-go stycznia r. b. w Warszawie, gdzie osiadł jako emeryt.

† **Andrzéj Ruszyński,** urodzony 1861 r. w Mażucie, po ukończeniu szkół maryampolskich, wstąpił do seminaryum w Sejnach, potém w Żytomierzu, następnie do Akademii duchownéj w Petersburgu, którą ukończył r. 1884 i wyświęcony został na księdza. Prace swoje pomieszczał w „Przeglądzie powszechnym.“ Zmarł z przeciążenia pracą umysłową w Petersburgu w styczniu r. b.

OFIARA.

Pan Henryk Janowski z Petersburga nadesłał na ręce redakcyi „Ateneum“ rubli 5 na rzecz Kasy Imienia Mianowskiego.

SPROSTOWANIE.

W zeszycie stycznlowym r. b. na str. 84, w wierszu 14 od góry, zamiast „szesnastkowym“ czytać należy „sześćdziesiątkowym.“

Wydawca **W. Spasowicz.** — Redaktor **Piotr Chmielowski.**

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Grudnia 1886 i Stycznia 1887 r.

---

1. **Gawędy w listach Jordana do Pana Jana** przez autora „Wędrówek delegata“. Serya nowa, Warsz. Nakład Gebethnera i Wolffa. 1886, str. 250.
2. **Lat temu dwieście**, opowieść na tle dziejów Kroacyi *T. T. Jeża*. Warsz. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 1887, str. 291.
3. *Adolf Coste*. **Środki zaradcze przeciw nędzy czyli hygiena socyalna**, przełożył *Ignacy Świętochowski*. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1887, str. 546.
4. **Polska XVI wieku pod względem geograficzno-statystycznym** opisana przez *Adolfa Pawińskiego* tom III i IV: Małopolska. Warsz. 1886, str. 586 + C + 59a. („Źródeł dziejowych“ tom XIV i XV).
5. **Pieśń Lirnika**, powieść wierszem przez *Tadeusza Otawę*. Warsz., Teod. Paprocki. 1886, str. 47.
6. *Józefa Ungra* **Kalendarz** illustrowany na rok zwyczajny 1887. (Cena kop. 50).
7. **Dziennik** (konotatnik) za rok zwyczajny 1887. Warsz. Nakł. Józefa Ungra.
8. **Program postrzeżeń** psychologiczno-wychowawczych nad dzieckiem do 20 roku życia. Przewodnik ułatwiający poznanie dziecka, przez *J. Wł. Dawida*. Warsz., nakł. T. Paprockiego i S-ki, 1887, 4-o, str. 103.
9. **Pan Sędzia**. Obrazek z niedawnej przeszłości. Przez *Klemensa Junoszę*. Warsz., nakł. księg. T. Paprockiego i S-ki. 1887, 8-o, str. 222.
10. **Rocznik Zarządu** Akad. umiejęt. w Krakowie. Rok 1885. str. 139.
11. **Z dziejów teatru lwowskiego** (1830—1840). Dat kilka zebrał *Stanisław Błotnicki*. Lwów, 1886, 8-o, str. 13.
12. Pisarze dziejów polskich, tom X: **Historia diarii domus professae S. J.** ad S. Barbaram Cracoviae annos novem 1600—1608. Krak., 1886. 4-o, str. VIII i 285.
13. *Bolesław Londyński*. (Bruno Las). **Poezyje**. Warsz., 1887. 8-o, str. 238 i II (cena rs. 1, kop 20).
14. **Podręcznik statyki budowli** dla inżynierów, architektów i dla słuchaczów szkół politechnicznych z 284 rysunkami w tekście i 6 tablicami opracował *Maksymilian Thullie*.... docent pryw. szkoły politechn. we Lwowie. Lwów, 1886, 8-o, str. VIII i 312.
15. **Catalogus codicum manuscriptorum** Musei Princpum Czartoryski Cracoviensis. Edidit *Dr. Josephus Korzeniowski*. Cracoviae, 1887, 4-o, (zeszyt I, str. 96, NN 1—438).
16. **Pogawędka** o podawaniu pierwszej pomocy obumierającym czyli ludziom będącym w stanie śmierci pozornej. Napisał *Stanisław Szczepan Zaleski* dokt. med. Warsz., 8-o, str. 49. (Książ. dziesięciogr.)
17. Studya nad pismami Mikołaja Reja I. **„Żywot Józefa“** w stosunku do literatury obcéj. Napisał *W. A. Bruchnalski* (odbitka z „Muzeum“). We Lwowie, 1886, 8-o, str. 39.

Дозволено Цензурою, Варшава 24 Января 1887 г.